

Beletrystyka prawdziwsza
od literatury faktu.
NEWSWEEK

Arcydzieło. Klasyka.
THE TIMES

Intensywna,
bolesna,
doskonała.
SPECTATOR

Złote ptaki

Niewypowiedzianie
piękna.
ANN PATCHETT

Kevin
Powers

KEVIN POWERS

Żółte ptaki

przekład

Michał Strąkow

Tytuł oryginału
The Yellow Birds

Copyright © 2012 by Kevin Powers
All rights reserved

Little, Brown and Company
Hachette Book Group
237 Park Avenue, New York, NY 10017
www.littlebrown.com
First Edition: September 2012

Przekład

Michał Strąkow

Redaktor prowadzący
Tomasz Brzozowski

Redakcja i korekta
Jakub Szpak

Maria Brzozowska / textoria.pl
Dominika Pycińska

Skład i przygotowanie do druku
Tomasz Brzozowski

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone.
ISBN: 978-83-63944-13-1



Insignis Media

ul. Szlak 77/228–229, 31-153 Kraków
telefon / fax +48 (12) 636 01 90

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis
twitter.com/insignis_media

Mojej żonie

Raz żółty ptak
O żółtym dziobie
Za oknem mym
Przycupnął sobie

Zwabiłem go
Na zwykły chleb
A potem: jeb!
Zdzieliłem w łeb...

*Tradycyjna piosenka marszowa
armii amerykańskiej*

Być nieświadomym zła, które nadchodzi, i zapominać o złu minionym, to istniejące w naturze litościwe zabezpieczenie, dzięki któremu możemy przetrwać mieszankę naszych nielicznych i złych dni; nasze oswobodzone zmysły nie popadają z powrotem w bolesne wspomnienia, a naszych smutków nie podsycają do życia kolejne echa retrospekcji.

sir Thomas Browne

1

WRZESIEŃ 2004

Al Tifar, prowincja Niniwa, Irak

Wojna próbowała nas zabić wiosną. Gdy trawa zazieleniła równiny Niniwy i zrobiło się cieplej, patrolowaliśmy niskie wzgórza rozciągające się za miastami i miasteczkami. Przemierzaliśmy je niczym pionierzy, brnąc na ślepo w wysokich trawach i wydeptując ścieżki w ich smaganym wiatrem gąszczu. Kiedy spaliśmy, wojna modliła się, ocierając o ziemię tysiącem swych żeber. Kiedy wyczerpani parliśmy przed siebie, jej białe, rozwarłe oczy wyzierały z ciemności. Kiedy my jedliśmy, ona pościła, karmiąc się własnym głodem. Wojna kochała się, wydawała na świat potomstwo i rozprzestrzeniała się poprzez ogień.

Potem wojna próbowała nas zabić latem, gdy upał ogołocił równiny z wszelkich barw. Słońce napierało na naszą skórę, a wojna posłała swój lud, by pośpieszył ku cieniom rzucanym przez białe budynki. Sprawiała, że wszystko wokół przybrało odcień bieli, jakbyśmy patrzyli przez woal. Wojna próbowała nas zabić każdego dnia, lecz póki co nie zdołała tego dokonać. Nie dlatego, że bezpieczeństwo było nam pisane. Przetrwanie wcale nie było naszym przeznaczeniem. W istocie nic nie było nam przeznaczone. Wojna zagarniała wszystko, co tylko mogła pochwycić. Była cierpliwa. Nie dbała o cele ani o granice, nie obchodziło jej, czy kocha cię wielu, czy nikt. Tamtego lata wojna przyszła do mnie we śnie i objawiła mi swój jedyny cel: trwać. Trwać i nic poza tym. Byłem pewien, że dopnie swego.

Zanim nastał wrzesień, wojna zabiła tysiące. Ich ciała leżały w nieregularnych odstępach na podziurawionych uliczkach. Zalegały ukryte

w alejkach. Na wzgórzach poza miastami można się było natknąć na doły wypełnione stosami spuchniętych zwłok, których pozieleniałe i obrzmiałe twarze nosiły teraz znamiona alergii na życie. Wojna ze wszystkich sił starała się zabić każdego z nas: mężczyznę, kobietę, dziecko. Ale żołnierzy, takich jak ja i Murph, udało się jej zabić mniej niż tysiąc. Kiedy zaczęła się pora roku, która tam uchodziła za jesień, ta liczba nadal była dla nas istotna. Murph i ja byliśmy co do tego zgodni. Żaden z nas nie chciał być tym tysięcznym zabitym. Jeśli zginiemy później, trudno. Ale niech tamta liczba będzie kamieniem milowym dla kogoś innego.

Kiedy nadszedł wrzesień, nie zauważyliśmy niemal żadnej zmiany. Teraz jednak wiem, że wszystko, co odtąd miało się liczyć w moim życiu, zaczęło się właśnie wtedy. Być może światło oblewało miasto Al Tifar odrobinę wolniej niż dotąd. Spłynęło poniżej cienkich linii dachów ku krętym, pogrążonym w mroku promenadom. Padło na domy, białe i jasnobrązowe, zbudowane z glinianej cegły i zwieńczone dachami z blachy falistej bądź betonu. Niebo było bezkresne i pogrzebane pod chmurami. Od stoków odległych wzgórz, które patrolowaliśmy przez cały miniony rok, wiał chłodny wiatr. Ominął minarety wznoszące się nad cytadelą, po czym jego podmuch skierował się w dół, przemknął przez alejki z zielonymi, łopoczącymi markizami, a następnie opuścił Al Tifar i omiótł okalające miasto puste pola, by w końcu rozbić się o rozsiane tu zabudowania, najeżone lufami naszych karabinów. Nasz pluton przemieszczał się po swoim stanowisku na dachu budynku jak szare smugi w świetle przedświt. Lato chyliło się ku końcowi; wydaje mi się, że to była niedziela. Czekaliśmy.

Od czterech dni czołgaliśmy się po tym usłanym piaskiem dachu. Prześlizgiwaliśmy się po kobiercu z mosiężnych łusek – pozostałości po walkach, jakie toczyły się tu w ciągu minionych dni. Zwijaliśmy się w kłębek, przybierając absurdalne pozy i kuląc się za pobielonymi wapnem

ścianami naszego stanowiska. Amfetamina i strach nie pozwalały nam zasnąć.

Uniosłem tułów do góry i oparłem się o niski murek, starając się zlustrować wzrokiem tych kilka akrów świata, za które byliśmy odpowiedzialni. Przysadziste domy po drugiej stronie pola obserwowane przez mój celownik optyczny drgały w noktowizyjnej zieleni marnej jakości. Na otwartej przestrzeni, jaka dzieliła nasze pozycje od reszty miasta, zalegały porzucane ciała poległych podczas ostatnich czterech dni walk. Leżały w pyłe, połamane, potrzaskane, powyginane; ich białe luźne szaty ściemniały od krwi. Kilka ze zwłok leżących pośród krzaków jałowca oraz pojedynczych kęp trawy nadal się tliło, przez co w świeżym, rześkim powietrzu poranka dawało się wyczuć uderzającą do głowy mieszaną zapachu sadzy, oleju do konserwacji broni i płonącego ludzkiego ciała.

Odwróciłem się i z powrotem skryłem za murkiem, po czym zapaliłem papierosa, osłoniwszy ognek zwiniętą dłonią. Zaciągałem się długimi haustami i wydmuchiwałem dym na powierzchnię dachu, gdzie jego chmura najpierw rozchodziła się na boki, by następnie unieść się do góry i zniknąć. Słupek popiołu wiszący na końcu papierosa stawał się coraz dłuższy i wydało mi się, że zanim wreszcie spadł na ziemię, minęło bardzo dużo czasu.

Brzask rozlewał wokół migotliwe półświatło. Reszta naszego zgromadzonego na dachu plutonu zaczęła się poruszać, trącając się przy tym wzajemnie. Sterling, który ulokował się ze swoim karabinem na szczycie murka, przez cały czas naszego wyczekiwania przysypiał i raptownie się budził. Od czasu do czasu podrywał głowę i odwracał się, by sprawdzić, czy przypadkiem ktoś go na tym nie przyłapał. W rozjaśniającym się mroku zauważyłem, że posłał mi szeroki, niedbały uśmiech, a potem podniósł zgięty palec i wtarł sobie w oczy sos tabasco,

żeby nie zasnąć. Następnie odwrócił się w kierunku naszego sektora; jego mięśnie wyraźnie napinały się i drgały pod bojowym ekwipunkiem.

Dobiegający z prawej strony oddech Murpha działał na mnie uspokajająco i dodawał mi otuchy. Przywykłem do niego i do tego, jak Murph przerywał jego rytm wprawnymi splunięciami do kałuży cierpkiego, ciemnego płynu, która zawsze rozlewała się między nami. Uśmiechnął się do mnie. „Chcesz sobie possać, Bart?” Skinąłem głową. Murph podał mi pochodzącą z racji żywnościowych puszkę kodiaka, a ja upchałem sobie jego porcję pod dolną wargę, dusząc jednocześnie papierosa. Wilgotny tytoń szczypał i sprawił, że oczy zaszyły mi łzami. Splunąłem do kałuży między mną a Murphem. Rozbudziłem się. Z szarówki wczesnego poranka wyłoniło się miasto w całej swej okazałości. W kilku oknach budynków, które stały za usłanym martwymi ciałami polem, wisały białe flagi. Ciemne wnęki okien obramowane poszczerbionym szkłem tworzyły osobliwy koronkowy ornament. Pobielone wapnem ściany domów, w których osadzone były okna, w słońcu wydawały się jeszcze jaśniejsze. Rzadka mgła znad Tygrysu rozproszyła się, ukazując ślady życia, jakie jeszcze pozostało w mieście; białe rozejmowe płachty oraz zawieszzone poniżej zielone markizy trzepotały, poruszane lekką bryzą, która ciągnęła znad wzgórz ku północy.

Sterling postukał palcem w tarczę swojego zegarka. Zdawaliśmy sobie sprawę, że już wkrótce z minaretów popłynie zawołanie muezinów, którzy swą upiorną kompozycją minorowych dźwięków wezwą wiernych do modlitwy. To był sygnał, a my dobrze wiedzieliśmy, co on oznacza: że godziny oczekiwania upłynęły i że zbliżyliśmy się do naszego celu – tak samo mglistego i obcego, jak nieróżniące się od siebie poranki oraz zmierzchy, z których przemijaniem nadchodził.

– Gotować się, chłopaki! – zabrzmiał energiczny szept porucznika.

Murph usiadł i ze spokojem naniósł niewielką kroplę smaru na mechanizm zamka swojego karabinu. Następnie wprowadził nabój do komory i oparł lufę o niski murek. Wbił wzrok w szare narożniki ulic i alejek, które wychodziły na rozpościerające się przed nami pole. Mogłem dokładnie przyjrzeć się jego oczom, których białka przecinały czerwone pajęczynki. Przez minione kilka miesięcy coraz głębiej zapadały się w oczodoły. Zdarzało się, że gdy na niego spoglądałem, byłem w stanie dostrzec jedynie dwa małe cienie, dwa puste otwory. Pozwoliłem, by zamek wprowadził nabój do komory mojej broni i kiwnąłem głową w stronę Murpha.

– Znów się zaczyna – powiedziałem.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

– Znów ten sam szajs – odparł.

Do tamtego budynku dotarliśmy w pierwszych godzinach bitwy, kiedy w niebo wbił się ostry odłamek księżyca. Nie paliły się żadne światła. Przebiliśmy się naszym pojazdem przez lichą bramę, którą pomalowano kiedyś na ciemnoczerwono; od tamtej pory zdążyła już jednak zardzewieć do tego stopnia, że trudno było stwierdzić, jaką jej część pokrywa czerwona farba, a jaką rdza. Rampa opadła, a my pośpiesznie wybiegliśmy z pojazdu. Paru żołnierzy z pierwszej drużyny popędziło na tyły budynku, reszta plutonu zajęła pozycje od frontu. Kopniakami wyważyliśmy jednocześnie jedne i drugie drzwi, po czym wpadliśmy do środka. Budynek był pusty. Kiedy przeczesywaliśmy kolejno każde pomieszczenie, latarki z przodu naszych karabinów wycinały w ciemnych wnętrzach wąskie tunele światła; nie były jednak wystarczająco jasne, by zapewnić dobrą widoczność. W ich snopach unosił się wzbijany przez nas kurz. W niektórych izbach leżały wywrócone krzesła; tam, gdzie szyby zostały roztrzaskane przez kule, nad parapetami wisiały barwne plecione dywaniki. Nie było natomiast ludzi. Kiedy wchodziliśmy do niektórych pomieszczeń, wydawało się nam, że

kogoś widzimy; wrzeszczeliśmy wtedy dziko, rozkazując paść na ziemię ludziom, których tam nie było. Spenetrowaliśmy w ten sposób wszystkie wnętrza, aż w końcu dotarliśmy na dach. A kiedy już tam dotarliśmy, spojrzeliśmy z góry na pole. Było płaskie i pokryte pyłem, a za nim leżało ciemne miasto.

Pierwszego dnia o świcie, gdy siedziałem oparty o murek, nasz tłumacz Malik wyszedł na płaski betonowy dach i usiadł obok mnie. Nie zdążyło zrobić się jasno, choć można było odnieść takie wrażenie, ponieważ niebo było białe, zupełnie jak wtedy, gdy zasnują je ciężkie od śniegu chmury. Słyszeliśmy, że w mieście toczą się walki, ale do nas nie zdążyła jeszcze dotrzeć. Jedynie odgłosy rakiet, karabinów maszynowych i pikujących niemal pionowo w dół śmigłowców podpowiadały nam, że jesteśmy na wojnie.

– Mieszkałem kiedyś w tej okolicy – powiedział Malik.

Po angielsku mówił nadzwyczajnie. Jego głos, choć pobrzmiwały w nim krtaniowe głoski, nie był chrapliwy. Często prosiłem Malika, by pomógł mi z moim ubogim arabskim – próbowałem poprawiać wymowę tego czy innego słowa. *Shukran. Afwan. Qumbula*. Dziękuję. Proszę. Bomba. Malik pomagał, ale za każdym razem kończył stwierdzeniem: „Przyjacielu, ja muszę mówić po angielsku. Muszę ćwiczyć”. Przed wojną uczył się na uniwersytecie: studiował literaturę. Po tym, jak uniwersytet zamknięto, przyszedł do nas. Nosił zasłaniającą twarz chustę, spodnie w kolorze khaki i spłowiałą wizytową koszulę, która sprawiała wrażenie, jakby codziennie ją prasował. Nigdy nie zdejmował maski z twarzy. Gdy pewnego razu ja i Murph zagadaliśmy go o to, Malik wyprostował palec wskazujący i przejechał nim po frędzlach chusty, które zwieszały się wokół jego szyi. „Zabiją mnie za to, że wam pomagam. Zabiją całą moją rodzinę”.

Murph, który po naszym przybyciu na miejsce pomagał porucznikowi i Sterlingowi rozstawić karabin maszynowy po przeciwległej stronie dachu,

teraz pochylił się nisko i podbiegł do nas truchtem. Obserwując go, odniosłem wrażenie, że płaskość pustyni działa mu na nerwy. Że widok rozciągających się w oddali niskich wzgórz w jakiś sposób sprawia, iż nasza obecność na tej zalewowej równinie, porośniętej wyschlą brunatną trawą, staje się dla niego jeszcze bardziej nieznośna.

– Hej, Murph – odezwałem się. – Jesteśmy na starych śmieciach Malika.

Murph szybko zanurkował za murek i usiadł.

– Gdzie? – spytał.

Malik wstał i wskazał pasmo zabudowań, wyrastających niczym dziwne organiczne twory, w kształtach których trudno było dopatrzyć się kąta prostego. Znajdowały się po drugiej stronie pola, na początku naszego sektora. Nieco dalej od obrzeży Al Tafari był sad. Na skraju miasta paliły się stalowe beczki i sterty śmieci, a płomienie bez żadnej wyraźnej przyczyny wystrzeliwały w górę. Murph i ja nie podnieśliśmy się, ale i bez tego mogliśmy dostrzec miejsce, które pokazywał Malik.

– Pani Al-Szarifi sadziła na tym polu swoje hiacynty – rozłożył szeroko ręce i wykonał ramionami zamaszysty ruch, który przypominał mi uroczystość pożegnania absolwentów. Murph złapał za mankiet wyprasowanej koszuli Malika.

– Ostrożnie, wielkoludzie. Łatwo cię teraz zauważyć.

– To była zwariowana stara wdowa – Malik wsparł ręce na biodrach. Jego oczy szklily się zmęczeniem. – Kobiety z sąsiedztwa tak bardzo zazdrościły jej tych kwiatów.

Roześmiał się.

– Zarzucały jej, że to dzięki magii jej kwiaty rosną tak dobrze – to powiedziawszy, zrobił pauzę i położył dłonie na murku z wysuszonego błota, o który opieraliśmy się wraz z Murphem.

– Spłonęły zeszłej jesieni podczas walk. W tym roku nie sadziła ich już na nowo – dokończył gorzko.

Spróbowałem wyobrazić sobie życie w tym miejscu, ale nie potrafiłem, choć przecież patrolowaliśmy te same ulice, o których mówił Malik, i pijaliśmy herbatę w małych glinianych chałupkach, a mieszkający w nich starcy i staruszki brali moje ręce w swoje żylaste dłonie.

– No dobra, chłopie – odezwałem się. – Ale jak się nie schylisz, ktoś odstrzeli ci dupę.

– Szkoda, że nie widzieliście tych hiacyntów – powiedział.

I właśnie wtedy się zaczęło. Zdawało się, jakby przejście jednego momentu w kolejny miało swoją własną trajektorię; było to coś ograniczonego i ekspansywnego zarazem, coś na wzór nieskończonej podzielności osi liczbowej. Ze wszystkich ciemnych miejsc rysujących się na rozsianych po polu budynkach wystrzeliły pociski smugowe; kul było jednak o wiele więcej niż tych fosforyzujących smug. Słyszeliśmy, jak rozzierają powietrze wokół naszych uszu i z trzaskiem uderzają o gliniane cegły i beton. Nie widzieliśmy śmierci Malika, ale zarówno Murph, jak i ja, mieliśmy jego krew na naszych mundurach. Gdy otrzymaliśmy rozkaz wstrzymania ognia, wyjrzeliśmy zza niskiego murka: Malik leżał w piachu, wokół niego było mnóstwo krwi.

– To się nie liczy, co? – zapytał Murph.

– Nie. Nie wydaje mi się.

– Ilu już mamy?

– Dziewięciuset sześćdziesięciu ośmiu? Dziewięciuset siedemdziesięciu? Jak wrócimy, trzeba będzie sprawdzić gazety.

Nie zaskoczyło mnie wówczas okrucieństwo mojej ambiwalencji. Nic nie wydawało mi się wtedy bardziej naturalne od faktu, że ktoś został zabity. Teraz, kiedy siedzę bezpiecznie w ciepłej chacie położonej nad czystym strumieniem w Paśmie Błękitnym i zastanawiam się nad tym, co czułem i jak się zachowywałem jako dwudziestoletni chłopak, mogę powiedzieć sobie tylko tyle, że było to konieczne. Potrzebowałem trwać.

A żeby trwać, musiałem patrzeć na świat nieskażonym wzrokiem, musiałem koncentrować się na tym, co podstawowe. Zwracamy uwagę tylko na to, co rzadkie, a śmierć nie była dla nas rzadkością. Rzadkością była kula z wypisanym na niej twoim imieniem, ajdik zagrzebany w ziemi specjalnie z myślą o tobie. To były rzeczy, na które mieliśmy baczenie.

Po tym, co się wydarzyło, nie myślałem już raczej o Maliku. Był przypadkową postacią, która zdawała się istnieć wyłącznie w kontekście mojego trwającego nadal życia. Wtedy nie potrafiłem tego wyrazić, ale zostałem wyszkolony w taki sposób, by postrzegać wojnę jak wielką zjednoczycielkę, która bardziej niż jakakolwiek inna forma aktywności sprawia, że ludzie stają się sobie bliżsi. To bzdura. Wojna jest matką solipsystów: jak ty ocalisz dziś moje życie? Jednym ze sposobów może być twoja śmierć. Jeśli ty zginiesz, wzrośnie prawdopodobieństwo tego, że przeżyję ja. Cały sekret polega na tym, że jesteś niczym: mundurem w morzu wojskowych numerów, numerem w morzu pyłu. W jakiś sposób uznawaliśmy nasze numery za oznakę naszej nieważności. Sądziliśmy, że nie zginiemy, jeśli tylko pozostaniemy przeciętni. Błędnie uznawaliśmy korelację za przyczynę; przeglądaliśmy w gazetach zdjęcia zabitych, zamieszczane obok numeru miejsca, jakie zajmowali na wydłużającej się liście ofiar, i przypisywaliśmy owym zdjęciom wyjątkowe znaczenie, poczytując je za oznakę tego, iż wojna jest czymś uporządkowanym. Mieliśmy przy tym poczucie – coś w rodzaju przebłysku, trwającego nie dłużej niż przemknięcie impulsu przez synapsę – że nazwiska nieboszczyków pojawiły się na tej liście na długo przed tym, zanim zdążyli przybyć do Iraku. Że trafiały na nią już w chwili, gdy noszącym je osobom robiono zdjęcia portretowe – czuliśmy, że to już w tamtym momencie przypisywany był im numer na liście i miejsce śmierci. Kiedy zobaczyliśmy na niej nazwisko sierżanta Ezekiela Vasqueza, lat dwadzieścia jeden, z Loreda w stanie Teksas, numer 748, poległego od ognia z broni ręcznej

w Bakubie w Iraku, byliśmy pewni, że całymi latami chodził po południowym Teksasie jako duch. Wyobrażaliśmy sobie, że podczas lotu do Iraku był już martwy i że jeśli nawet obleciał go strach, gdy przewożący go samolot C-141 zakołysał się i zszedł z kursu nad Bagdadem, to tak naprawdę jego lęk był zupełnie zbędny. Wtedy nie miał się czego obawiać. Był niezwyciężony, absolutnie niezwyciężony – aż do dnia, w którym przestał takim być. To samo dotyczyło specjalistki Miriam Jackson, lat dziewiętnaście, z Trenton z stanie New Jersey, numer 914, zmarłej w amerykańskim szpitalu wojskowym w niemieckim mieście Landstuhl na skutek ran odniesionych podczas ostrzału mózdzierzowego w irackiej Samarze. Byliśmy zadowoleni. Nie dlatego, że została zabita, ale dlatego, że nie zabito nas. Mieliliśmy nadzieję, że była szczęśliwa, że zdążyła wykorzystać swój specjalny status, zanim nieuchronnie znalazła się pod spadającym pociskiem mózdzierzowym, kiedy wyszła na zewnątrz, by rozwiesić świeżo wyprany mundur na sznurku rozpiętym na tyłach jej mieszkalnego kontenera.

Oczywiście myliliśmy się. Naszym największym błędem było przypisywanie jakiegokolwiek znaczenia temu, co sobie myśleliśmy. Dziś absurdalnym zdaje się to, że w każdej śmierci upatrywaliśmy wówczas afirmacji naszego własnego życia. Wydawało się nam, że każda śmierć ma swój czas, a skoro tak, to ów czas nie był nam pisany. Nie wiedzieliśmy, że lista zabitych nie ma końca. Nasze myślenie nie wykraczało poza ów tysiąc. Nigdy nie braliśmy pod uwagę, że także i my możemy zaliczać się do grona żywych trupów. Zaprzeczanie ewentualności własnej śmierci kierowało moimi krokami; sądziłem, że sam fakt podjęcia lub niepodjęcia jednej decyzji w zgodzie z tą filozofią może zadecydować o tym, czy trafię na listę martwych, czy nie.

Teraz już wiem, że wcale tak nie było. Nie było kul z wypisanym na nich moim imieniem, ani kul z imieniem Murpha, skoro już o tym mowa. Nie

było bomby skonstruowanej specjalnie dla nas. Każda – równie dobrze jak innych z listy – mogła także zabić nas. Nie był nam pisany żaden czas ani żadne miejsce. Przestałem rozmyślać o tych kilku calach na prawo i na lewo od mojej głowy; o różnicy prędkości wynoszącej trzy mile na godzinę, która wystarczyła, by znaleźć się dokładnie nad eksplodującym ajdikiem. Tak nigdy się jednak nie stało. Nie zginąłem. Murph tak. I choć nie było mnie przy nim, kiedy do tego doszło, to wierzę niezachwianie, że te brudne noże, które go wówczas pchnęły, były przeznaczone „wszystkim zainteresowanym”. Nic nie czyniło nas wyjątkowymi. Ani życie, ani śmierć. Ani nawet przeciętność. Mimo wszystko wolę myśleć, że wówczas był we mnie jakiś cień współczucia i że gdybym tylko miał okazję zobaczyć tamte hiacynty, dostrzegłbym je.

Widok ciała Malika, które zmięte i połamane leżało u stóp budynku, nie wstrząsnął mną jakoś szczególnie. Murph podał mi papierosa i ponownie wyciągnęliśmy się pod murkiem. Nie potrafiłem jednak przestać myśleć o kobiecie, o której przypomniła mi rozmowa z Malikiem: kobiecie, która podała nam herbatę w małych filiżankach z drobnymi skazami. Jej wspomnienie wydawało się niewiarygodnie wręcz odległe, pokryte grubą warstwą kurzu, czekające, aż coś je odsłoni. Przypomniałem sobie, jak się zarumieniła i uśmiechnęła, i jak nie potrafiła nie być piękna mimo swego wieku, wydatnego brzucha, brązowego osadu na kilku zębach i skóry, która wyglądała niczym spękana, wysuszona latem glina.

Być może tak właśnie wyglądało to kiedyś: pole pełne hiacyntów. Inaczej niż wtedy, kiedy szturmowaliśmy tamten budynek; inaczej niż w cztery dni po śmierci Malika. Zielone trawy, które przedtem falowały na lekkim wietrze, spaliły się w ogniu i letnim słońcu. Z targowej ulicy zniknęli ludzie ubrani w długie białe szaty, wraz z nimi zniknął donośny gwar. Niektórzy z nich leżeli teraz martwi w podwórzach albo w plątaniu miejskich uliczek. Reszta wędrowała bądź jechała w poruszających się ślimaczym

tempem karawanach; jedni pieszo, inni w swych pomarańczowych lub białych gruchotach, jeszcze inni na zaprzężonych w muły wózkach; podążali zbici w grupki po dwie lub trzy osoby, kobiety i mężczyźni, starzy i młodzi, jedni cali i zdrowi, inni ranni. Tak oto w ponurej parady z miasta Al Tafari uchodziło życie. W drodze ku wyschniętym wrześnie wzniesionym wzgórzom ci ludzie mijali nasze bramy, nasze betonowe bariery i nasze gniazda karabinów maszynowych. Podczas godziny policyjnej nie podnosili wzroku. Byli wielobarwną linią w mroku. Byli zdecydowani stąd odejść.

W pomieszczeniach pod nami trzeszczała radiostacja. Porucznik spokojnym głosem przekazał raport z naszej sytuacji dowództwu. „Tak jest, sir”, powiedział, „przyjąłem, sir”, po czym raport został przekazany dalej. Trafiał do kolejnych szczebli dowództwa i stawał się od nas coraz bardziej odległy, aż w końcu – jestem tego pewien – gdzieś, w jakimś ciepłym, suchym i bezpiecznym pokoju ktoś otrzymał meldunek, że osiemnastu żołnierzy obserwowało nocą alejki i uliczki Al Tafari i że iks ciał wroga leży na zakurzonej polu.

Nad miastem i pustynnymi pasmami wzgórz zdążył już prawie wstać brzask, gdy niski, elektryczny dźwięk radia zastąpił odgłos butów porucznika, stąpającego lekko po prowadzących na dach schodach. Niewyraźne zarysy nabrały kształtu, a miasto, nocą nieuchwytnie i abstrakcyjne, teraz rozpostarło się przed nami w pełni wyraźne i materialne. Spojrzałem ku zachodowi. W świetle dnia wyłaniały się jasne brązy i zielenie. Wschodzące słońce wypierało szarość z glinianych murów oraz budynków i dziedzińców, uporządkowanych w strukturę przypominającą grubo plaster miodu. Nieco dalej na południe, w owocowym gaju, gdzie w regularnych odstępach rosły wątle drzewa, w kilku miejscach palił się ogień. Dym przebijał się przez nieco postrzępiony liściasty baldachim, rozpięty na wysokości nieznacznie tylko

przewyższającej wzrost człowieka, po czym posłusznie ugiął się pod wpływem podmuchów omiatającego dolinę wiatru.

Porucznik wszedł na dach. Zgiął się tak, że górna część jego ciała znalazła się w pozycji horyzontalnej, i szybko przebierając nogami, dotarł do murka. Usiadł, oparł się o niego plecami i gestem nakazał nam zebrać się wokół.

– Dobra, chłopaki. Sprawa wygląda tak.

Murph i ja oparliśmy się o siebie nawzajem, szukając punktu równowagi naszych ciał. Sterling przysunął się bliżej porucznika i zmierzył resztę naszej zgromadzonej na dachu grupy twardym, gniewnym spojrzeniem. Patrzyłem na porucznika, gdy mówił. Miał matowy wzrok. Zanim ponownie się odezwał, wydał z siebie krótkie, energiczne westchnienie i potarł dwoma palcami wysypkę koloru wyblakłych malin. Pokrywała niewielki owal na jego twarzy, ciągnący się od wyraźnie zarysowanej linii brwi do lewego policzka; wydawała się też zataczać łuk wokół jego oczodołu.

Porucznik z natury był pełen rezerwy. Nie pamiętam nawet, skąd pochodził. W jego zachowaniu było coś powściągliwego, coś więcej niż tylko zwykłe przywiązanie do zasady niefraternizowania się. To nie był elitaryzm. Porucznik robił wrażenie kogoś nieodgadnionego, może nieco nieobecnego. Często zdarzało mu się wzdychać.

– Będziemy tu mniej więcej do południa – poinformował. – Trzeci pluton uderzy na uliczki na północny wschód od nas i spróbuje wykurzyć ich stamtąd przed nasze pozycje. Miejmy nadzieję, że będą zbyt wystraszeni, by przyszło im do głowy do nas strzelać, zanim my...

Urwał i odjąwszy rękę od twarzy, sięgnął do ukrytej pod kamizelką kuloodporną kieszeni na piersi w poszukiwaniu papierosa. Podąłem mu swojego.

– Dzięki, Bartle – powiedział. Odwrócił się, by spojrzeć na płonący na południu sad. – Jak długo się tam pali?

– Chyba zaczęło się w nocy – odparł Murph.

– W porządku, ty i Bartle miejcie na to oko.

Uginający się wcześniej od wiatru słup dymu wyprostował się. Czarna, chwiejna linia przecinała niebo.

– O czym to ja przed chwilą...? – porucznik zerknął z roztargnieniem przez ramię i omiół spojrzeniem murek. – Że kurwa... – wymamrotał.

– Hej, żaden problem, poruczniku. Załapaliśmy, o co chodzi – odezwał się żołnierz z drugiej drużyny w stopniu specjalisty.

– Stul pysk, kurwa! – przerwał mu Sterling. – Porucznik skończy, kiedy sam powie, że skończył.

Wtedy jeszcze sobie tego nie uświadamiałem, ale Sterling najwyraźniej doskonale wiedział, jak mocno można naciskać na porucznika, by utrzymać dyscyplinę. Nie przejmował się tym, czy go nienawidzimy. Wiedział, co jest niezbędne. Uśmiechnął się do mnie, a jego równe białe zęby błysnęły reflekssem wczesnoporanego słońca.

– Sir, mówił pan, że przy odrobinie szczęścia będą zbyt wystraszeni, by przyszło im do głowy do nas strzelać, zanim...

Porucznik otworzył usta, zamierzając dokończyć myśl, ale Sterling ciągnął dalej.

– ...zanim pozabijamy tych hadzi-skurwieli.

Porucznik skinął głową, pochylił się, a następnie truchtem zbiegł po schodach. Skuliliśmy się na swoich stanowiskach, by dalej trwać w oczekiwaniu. W mieście pojawił się ogień, jednak mury i uliczki ukrywały jego źródło. Wyglądało to tak, jakby gęsty dym z setki rozsianych po całym Al Tazarze pożarów połączył się w jeden długi, unoszący się ku niebu kłąb.

Słońce zebrało się za naszymi plecami i pięło w górę po wschodniej stronie, ogrzewając kołnierz mojej bluzy i prażąc stwardniałe smugi skryształowanej soli, które oplatały nasze karki i ręce. Odwróciłem głowę

i spojrzałem w sam jego środek. Musiałem zamknąć oczy, ale nadal widziałem jego kształt, białą wyrwę w ciemnościach. Potem obróciłem się z powrotem w stronę zachodu i podniosłem powieki.

Spośród pokrytych kurzem miejskich zabudowań wyrastały niczym ramiona dwa minarety, które od czasu do czasu przesłaniał nam dym. Dwie wieże pozostawały uspione. Tego poranka nie dobiegł z nich żaden dźwięk. Długi sznur uchodźców, który przez ostatnie cztery dni wypełzał z miasta, poruszał się teraz wolniej. Między polem umarłych a zagajnikiem wędrowało, powłócząc nogami, kilku starych mężczyzn, zgiętych nad sfatygowanymi laskami z drewna cedrowego. Wokół nich hasały dwa wymizerowane psy, usiłujące podgryzać pięty starców; uderzone rejterowały, by po chwili doskoczyć ponownie.

I wtedy znów się zaczęło. Ze wszystkich stron dobiegł zgrany na podobieństwo orkiestry świst spadających granatów moździerzowych. I choć spadały na nas już od tyłu miesiący, na twarzach żołnierzy naszego plutonu także i tym razem malowała się zupełna dezorientacja. Spoglądaliśmy po sobie z otwartymi ustami, a nasze palce kurczowo zacisnęły się na rękojeściach karabinów. Nad Al Tafarem wstał bezchmurny wrześnieowy świt, a wojna nagle wydała się precyzyjnie zogniskowana, zupełnie jakby toczyła się wyłącznie w tym jednym miejscu; pamiętam, że poczułem się tak, jakbym wskoczył do zimnej rzeki w pierwszy ciepły dzień wiosny – mokry, wystraszony, ciężko dyszący, niemający innego wyboru, jak tylko zacząć pływać.

– Nadlatują!

Ruchy mieliśmy wyuczone na pamięć: ciała przywarły twarzą do ziemi, palce same splotły się z tyłu głowy, a usta otworzyły, by wyrównać różnicę ciśnień.

A potem w porannym powietrzu przetoczyły się echem odgłosy uderzeń. Nie podniosłem głowy, dopóki nie wybrzmiał ostatni z nich.

Powoli wyjrzałem zza murka, wśród zgiełku głosów wykrzykujących: „Czysto!” i „Jestem cały!”.

– Bartle? – sapnął Murph.

– Jestem cały, jestem cały – zapewniłem po cichu, oddychając bardzo szybko i rozglądając się po polu, gdzie otwarte rany ziały zarówno z ziemi, jak i z już wcześniej martwych i zmalretowanych ciał, a tam, gdzie uderzyły pociski, leżało też kilka wyrwanych drzewek jałowca. Sterling podbiegł tymczasem do otworu w dachu i ryknął w dół do porucznika: „Wszyscy cali, sir!”. Potem podszedł po kolei do każdego z obecnych na dachu, uderzając otwartą dłońią w tył naszych hełmów.

– Przygotować się, skurwysyny – powiedział.

Nienawidziłem go. Nienawidziłem tego, że był najlepszy, gdy szło o śmierć i brutalność, i dominację. Ale jeszcze bardziej nienawidziłem tego, jak był niezbędny; tego, jak bardzo go potrzebowałem, by popchnął mnie do działania, gdy tamci próbowali mnie zabić; tego, że czułem się tchórzem, dopóki on nie wrzasnął mi do ucha: „Wystrzelaj tych hadziskurwieli!”. Nienawidziłem tego, jak go kocham, kiedy pomału otrząsam się z przerażenia i odpowiadam ogniem na ostrzał, widząc, jak on również strzela, uśmiechając się przy tym i krzycząc, a cała wściekłość i nienawiść wobec tych kilku akrów ziemi żyje w nim i przetacza się przez niego.

I oto nadeszli, w oknach pojawiły się ich cienie. Wynurzali się zza tkanych modlitewnych dywaników i strzelali seriami, a kule ze świstem przelatywały obok nas, skulonych i nasłuchujących, jak pociski ze stukiem uderzają o beton i gliniane cegły, których małe odłamki fruwały we wszystkich kierunkach. Tamci biegli uliczkami usłanymi śmieciami, mijali płonące beczki i strzępy foliowych reklamówek, które wiatr przeganiał po wiekowym bruku niczym kępki ostu.

Tamtego dnia Sterling musiał długo wrzeszczeć, zanim wreszcie pociągnąłem za spust. Od harmidru dzwoniło mi już w uszach i wydało mi

się, że pierwszy pocisk, który posłałem w stronę pola, opuścił lufę mojego karabinu z głuchym puknięciem. Kiedy uderzył w ziemię, wzbił tam mały obłok kurzu, dookoła którego pojawiło się mnóstwo takich samych obłoczków.

Wystrzeliwane setkami pociski wzniecały pył z ziemi, strząsały go z drzew i budynków. Pył przykrył stary samochód, pognieciony i zapadnięty. Co pewien czas jakieś postaci przebiegały między zabudowaniami, za białymi i pomarańczowymi samochodami i po dachach domów, a wokół nich natychmiast pojawiały się obłoczki kurzu.

Na jednym z dziedzińców, kryjąc się za niskim murem, przemknął pośpiesznie jakiś mężczyzna. Następnie rozejrzał się, zdumiony, że wciąż żyje. W ramionach tulił broń. W pierwszym odruchu chciałem do niego krzyknąć: „Udało ci się, kolego, biegnij dalej!”, ale dotarło do mnie, jak dziwnie by to zabrzmiało. Nie minęło wiele czasu, zanim inni również go dostrzegli.

Mężczyzna spojrział w lewo, potem w prawo, a wokół niego wystrzeliły w górę obłoki kurzu. Miałem ochotę powiedzieć wszystkim, żeby przestali do niego strzelać; chciałem zapytać: „Co z nas za ludzie?”. I wtedy naszło mnie dziwne, na swój sposób zbawienne poczucie, że przecież ja nie jestem dorosłym mężczyzną, a tylko chłopcem; przyszło mi też do głowy, że tamten może się czuć przerażony, ale nie przejąłem się tym zbyt, bo przecież ja również się bałem. Nagle, zszokowany, zdałem sobie sprawę, że strzelam do niego i że nie przestanę, dopóki nie będę miał pewności, że jest już martwy. Poczulem się lepiej na myśl o tym, że zabijamy go wspólnie i że dzięki temu żaden z nas nie będzie miał pewności, że to właśnie on był tym, który rzeczywiście tego dokonał.

Ale ja wiedziałem. Strzeliłem do niego, a on osunął się za murek. Następnie został trafiony ponownie, już przez kogoś innego, a kula przeszła na wylot przez jego klatkę piersiową i rykoszetując, rozbiła donicę z rośliną

zwieszającą się z okna nad dziedzińcem. Mężczyznę dosięgnęła kolejna kula i upadł pod dziwnym kątem – leżał na plecach, jednocześnie klęcząc; jedna strona jego twarzy zupełnie zniknęła, wokół pojawiło się mnóstwo krwi, która rozlała się w kałużę na piasku.

Tymczasem na drodze pomiędzy sadem a polem umarłych pojawił się zmierzający w naszą stronę samochód. Wywieszane z tylnych okien dwie duże płachty białego materiału wydymały się od pędu powietrza. Sterling popędził na drugą stronę budynku, gdzie rozstawiony był karabin maszynowy. Spojrzałem przez mój celownik optyczny i dostrzegłem starego mężczyznę za kierownicą i starą kobietę na tylnym siedzeniu.

Sterling roześmiał się.

– No chodźcie, skurwysyny.

Nie mógł ich widzieć. Pomyślałem, że krzyknę. Powiem mu, że to starcy, niech pozwoli im przejechać.

Ale pociski już wgryzały się w zrujnowaną nawierzchnię drogi wokół samochodu. Uderzały w blachy karoserii.

Nie powiedziałem ani słowa. Śledziłem tylko samochód przez celownik. Stara kobieta przebierała palcami po sznurze białych paciorków. Miała zamknięte oczy.

Nie mogłem oddychać.

Samochód zatrzymał się na środku drogi, ale Sterling nie przestawał strzelać. Pociski przebijały się przez auto i wylatywały z drugiej strony. Przez dziury w karoserii wpadało do środka światło, w którym widać było wiszący w powietrzu kurz i dym. Otworzyły się drzwi i ze starego samochodu wypadła ona. Próbowwała dowlec się na skraj drogi. Pełzła. Jej starcza krew mieszała się z popiołem i kurzem. Znieruchomiła.

– Jasna cholera, ubiliśmy sukę – powiedział Murph. W stwierdzeniu tym nie było ani żalu, ani bólu, ani radości, ani współczucia. Nie wyrażało ono żadnego osądu. Murph był po prostu zaskoczony, zupełnie tak, jakby

przebudził się z długiej popołudniowej drzemki i zdeorientowany zdał sobie nagle sprawę, że świat nieprzerwanie trwa dalej, mimo dziwnych zdarzeń, które mogły zajść podczas snu. Równie dobrze mógłby powiedzieć, że jest niedziela, bo i tak nie mieliśmy pojęcia, jaki właściwie był dzień tygodnia. Przy czym, w chwili takiej jak tamta, wzmianka o tym, że akurat jest niedziela, byłaby oczywiście czymś niespodziewanym. Tak czy owak, stwierdzenie wygłoszone przez Murpha było zgodne z prawdą, a to, czy była to niedziela, i tak nie miałoby większego znaczenia. Od dłuższego czasu żaden z nas nie spał i w świetle tego faktu tak naprawdę zupełnie nic nie wydawało się nam szczególnie ważne.

Sterling usiadł za murkiem obok karabinu maszynowego. Machnięciem ręki przywołał nas do siebie i sięgnąwszy do spodni, wyjął z kieszeni na udzie kawałek ciasta, podczas gdy my nasłuchiwaliśmy ostatnich serii wystrzałów z dogasającej właśnie nerwowej wymiany ognia. Sterling połamał ciasto na trzy części.

– Bierzcie – powiedział. – Wsuwajcie.

Dym uniósł się i zaczął rozpraszać. Przyglądałem się krwawiącej na skraju drogi starej kobiecie. Poruszany wiatrem kurz falował ospale, miejscami tworząc lekkie zawirowania. Ponownie rozległy się strzały. Zza jednego z budynków wyszła ubrana w postrzępioną sukienkę mała dziewczynka z kasztanowymi lokami i ruszyła w kierunku starej kobiety. Zbłąkane kule wystrzelone z innych stanowisk wzbity wokół niej fontanny kurzu.

Spojrzeliliśmy na Sterlinga. Odprawił nas gestem dłoni.

– Niech któryś pójdzie i powie tym skurwielom przez radio, że to tylko dzieciak – polecił.

Tymczasem dziewczynka dała nura za budynek, by po chwili ponownie się zza niego wychylić i tym razem już bardzo powoli podejść do leżącej kobiety. Próbowwała wlec jej ciało – z twarzą wykrzywioną wysiłkiem

ciągnęła leżącą za nieuszkodzone ramię. Drepcząc wokół zwłok, wydeptywała kręgi w drobnym piasku. Drogę, którą przebyły, znaczyła krew: jej ślady ciągnęły się od dymiącego, palącego się samochodu, przez otoczony hiacyntami plac, aż do miejsca, gdzie leżała teraz martwa kobieta, przy której czuwało to małe dziecko, kołyszące się i poruszające ustami; być może śpiewało jakąś pustynną elegię, której nie byłem w stanie dosłyszeć.

Popiół z trawionych ogniem glinianych cegieł wymieszany z tłuszczem z wymizerowanych ciał kobiet i mężczyzn pokrywał wszystko. Jasne wieże minaretów górowały ponad dymem; niebo wciąż było blade niczym śnieg. Miasto sprawiało wrażenie, jakby usiłowało wydźwignąć się spod warstw osadzającego się stopniowo pyłu. Nasza rola dobiegła końca, przynajmniej na pewien czas. Był wrzesień i choć niewiele rośło tu drzew, które mogłyby gubić liście, to jednak trochę ich opadało. Odślaniały przy tym smukłe, pokaleczone gałęzie, na które napierał wiatr i padały promienie światła, zstępujące od strony wzgórz na północy. Próbowałem liczyć liście, które sfruwały ku ziemi, strząsane uderzeniami moździerzowych granatów i bomb. Obserwowałem, jak drżały w locie. Z każdego z nich zsuwała się warstewka pyłu.

Spojrzałem na Murpha, Sterlinga i resztę zebranego na dachu plutonu. Porucznik podchodził do nas kolejno i kładąc każdemu rękę na ramieniu, przemawiał do nas łagodnie, starając się przywrócić nam spokój tonem swojego głosu, tak jak zwykło się to robić z przerażonymi końmi. Być może nasze oczy były wilgotne i rozbiegane, być może obnażaliśmy zaciśnięte zęby. Mówił: „dobra robota”, „wszystko w porządku” i „będzie dobrze”. W to ostatnie trudno było uwierzyć, jak i w to, że dobrze walczyliśmy. Pamiętam jednak, jak powiedziano mi kiedyś, że prawda nie wymaga wiary.

Radiostacja odezwała się ponownie. Niedługo porucznik powierzy nam inną misję. Gdy się to stanie, będziemy zmęczeni, ale wyruszymy, bo przecież nie będziemy mieli innego wyjścia. Być może kiedyś je mieliśmy: inne wyjścia, inne drogi, którymi mogliśmy podążać. Ale w tamtym czasie nasza marszruta była już ustalona, nawet jeśli pozostawała jeszcze nieznana. Zanim się obejrzymy, nadejdzie zmrok. Wciąż żyliśmy, Murph i ja.

Ze wszystkich sił usiłuję sobie teraz przypomnieć, czy dostrzegałem wówczas jakikolwiek zwiastun tego, co miało się wydarzyć, czy Murphowi nie towarzyszył już wtedy jakiś cień, czy w jakikolwiek sposób mogłem wiedzieć, że już tak niewiele czasu dzieliło go od śmierci. W moich wspomnieniach tamtych dni, spędzonych wspólnie na dachu, Murph jest na wpół duchem. Ale wtedy tego nie dostrzegałem, bo nie mogłem. Nikt nie potrafi tego zobaczyć. Właściwie to chyba cieszę się z tego, że wówczas o niczym nie wiedziałem – bo wtedy, w ten wrześnieowy poranek w Al Tadarze, byliśmy szczęśliwi. Nadchodził dla nas czas wytchnienia. Dzień był pełen światła i ciepła. Zapadliśmy w sen.

2

GRUDZIEŃ 2003

Fort Dix, New Jersey

Pani LaDonnie Murphy, wiejskiej listonoszce, wystarczyło pierwsze słowo listu, żeby zorientować się, że nie został napisany przez jej syna. Nie otrzymywała jednak od niego zbyt obfitej korespondencji, kiedy więc pisałem, miałem nadzieję, że nie dysponuje szczególnie obszernym materiałem porównawczym. Przez pierwszych siedemnaście lat życia jej syna rzadko oddalała się od niego na więcej niż kilka mil. Na około pięć w linii prostej, zależnie od tego, gdzie akurat przebywał Daniel, gdy pani Murphy docierała do najodleglejszego punktu swojej pocztowej marszruty. Na siedem, uwzględniając głębokość, na jakiej się znajdował o północy, podczas trzech miesięcy przepracowanych w kopalni Shipp Mountain Mine, w której zatrudnił się po ukończeniu technikum zawodowego w Bluefield. Później, jesienią, Daniel przybył do Benning – tak daleko od domu nie był jeszcze nigdy; wysłał stamtąd do matki kilka krótkich, pisanych przed rozpoczęciem ciszy nocnej listów. Gryzmolił w nich swoje przemyślenia o czerwieni gliny i o przyjemności, jaką sprawiał mu sen pod niezliczonymi gwiazdami Georgii, a kiedy czas na to pozwalał, znajdował też miejsce na zapewnienia, które chłopcy tacy jak ja i Daniel zawsze ślą w końcu do swoich rodzin – zapewnienia potrzebne tak samo rodzinom, jak i nam samym. Resztę swojego życia spędził ze mną. Mniej więcej dziesięć miesięcy, licząc od chwili, gdy stanął w szeregu obok mnie w New Jersey, w dniu, w którym warstwa zalegającego śniegu sięgała znacznie powyżej naszych butów i sprawiała, że nasze „w lewo” i „w prawo zwroty” przypominały miękki szept. Mniej więcej dziesięć miesięcy od tamtego

dnia do dnia, w którym zginął. Mogłoby się wydawać, że to krótki czas, ale od tamtej pory całe moje życie było zaledwie dygresją, a teraz ciąży nade mną niczym spór, który nigdy nie doczeka się rozwiązania.

Kiedyś wyobrażałem sobie, że człowiek musi się zestarzeć, zanim umrze. Wciąż mam poczucie, że w tym stwierdzeniu jest ziarno prawdy, bo w ciągu dziesięciu miesięcy naszej znajomości Daniel Murphy zdążył się zestarzeć. I być może to właśnie potrzeba, by cokolwiek miało tu sens, skłoniła mnie, bym wziął do ręki ołówek i napisał list do matki nieżyjącego chłopaka – żebym napisał do niej w jego imieniu, poznawszy go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie miał w zwyczaju zwracać się do swojej matki „mamo”. Wiedziałem sporo, naprawdę. Wiedziałem, że w górach, z których pochodził Daniel, śnieg pojawia się wcześnie, niezawodnie już w listopadzie, a czasem nawet w październiku. Dopiero później dowiedziałem się, że kiedy czytała ten list, dookoła sypał śnieg. Że położyła kopertę obok, na siedzeniu pasażera, a potem przedzierała się swoim starym jeepem z kierownicą po prawej stronie w górę i w dół po wijącej się zakosami drodze, żłobiąc świeże ślady w białej pokrywie, która powstała minionej nocy. I że kiedy zjeżdżała po długiej, wysypanej żwirem ścieżce prowadzącej do ich niewielkiego domu w pogrążonym w zimowym śnie jabłoniowym sadzie – tym samym, który tak często wspominał Daniel – raz po raz rzucała ukradkowe spojrzenia na adres zwrotny. Tym spojrzeniom towarzyszyć musiał niezwykle jak na tak doświadczoną wiejską listonoszkę sceptycyzm; za każdym bowiem razem, gdy zerkała na adres, myślała, że okaże się inny. Wreszcie koła starego jeepa zatrzymały się, a cały ciężar metalu rocznik 1984 przesunął się ślizgiem po śniegu, pokonując ostatnie kilkadziesiąt centymetrów. Wtedy wzięła list w obie dłonie i przez krótki moment czuła się strasznie szczęśliwa.

Gdyby swego czasu zapytano mnie, czy sądzę, że ten śnieg miał jakieś znaczenie, odparłbym, że tak. Mogłem przypisywać pewien sens

występowaniu śniegu zarówno w dniu, w którym w moim życiu pojawił się Murph, jak i w dniu, gdy wcieliłem się w życie Murpha, które wcześniej mu odebrano. Możliwe, że w to nie wierzyłem, ale z pewnością chciałem uwierzyć. Cudownie jest myśleć, że śnieg może być wyjątkowy. Ciągłe słyszymy, że tak właśnie jest. Że wśród miliona milionów opadających płatków nie znajdą się dwa identyczne i że tak już pozostanie, na wieki wieków, amen. Spędziłem trochę czasu na spoglądaniu przez okno mojej chaty i obserwowaniu płatków śniegu, które drżąc, opadały powoli ku ziemi, niczym pióra ustrzelonego gołębia. Wszystkie wydawały mi się jednakowe.

Wiem, że napisanie tego listu było czymś okropnym. Nie wiem natomiast, jak to się ma do wszystkich innych okropieństw, które przychodzą mi na myśl. Gdzieś po drodze przestałem wierzyć w znaczenie czegokolwiek. Ład stał się dla mnie dziełem przypadku. Zaakceptowałem fakt, że są w życiu rzeczy niezmiennie. Pogodziłem się z tym, że nawet jeśli ta sama rzecz zdarza się w dwa różne dni, to nie czyni to z niej żadnego cholernego cudu. W rzeczywistości mogę być pewien tylko jednego: że bez względu na to, jak długo będę żył, i niezależnie od tego, jak swój czas wykorzystam, te dwie szale nigdy nie znajdą się w równowadze. Murph zawsze pozostanie osiemnastolatkiem i zawsze już będzie martwy. Ja zaś będę musiał żyć z obietnicą, której nie byłem w stanie dotrzymać.

Obietnicy, którą złożyłem, wcale nie zamierzałem składać. Jednak coś się wydarzyło w dniu, w którym Murph, wykonując przepisowe zwroty, przeszedł pomiędzy ustawionymi luźno szeregami naszego oddziału i stanął obok mnie, zajmując swoje miejsce w szyku. Podniósł wzrok i uśmiechnął się. Od niewielkich śnieżnych zasp odbijało się słońce i Murph lekko zmrużył niebieskie oczy. Dziś, po tylu latach, wyobrażam go sobie, jak stoi w postawie „spocznij”, z rękoma założonymi za plecami, i jak obraca się ku mnie, aby coś powiedzieć – a ja czuję, jakby te wygrzebane z zakamarków

pamięci słowa miały okazać się najważniejszymi, jakie kiedykolwiek usłyszę. Jednak tak naprawdę Murph wcale nie wydał mi się tamtego dnia wyjątkowy. Nie powiedział nic poza zwykłym „cześć”. Wzrostem sięgał mi tylko do ramienia, kiedy więc sierżant Sterling – nowo wyznaczony dowódca naszego oddziału – usłyszał stłumiony szept, zwrócił uwagę na mnie zamiast na szepczącego Murpha. Rzucił mi gniewne spojrzenie i zacisnąwszy zęby, warknął:

– Przestań, kurwa, hałasować, Bartle!

I to wszystko. Coś się wydarzyło. Spotkałem Murpha. Padła komenda: „rozejść się”. W cieniu koszar panował chłód.

– Bartle! Murphy! Dawać mi tu wasze głupie dupska! – zawołał sierżant Sterling.

Sterlinga przydzielono do naszej kompanii, gdy otrzymaliśmy rozkaz dyslokacji. Sierżant był już w Iraku podczas pierwszej ofensywy prowadzonej z Kuwejtu; został wtedy odznaczony, więc nawet wyższe szarże odnosiły się do niego z podziwem. Szacunek, jakim darzyliśmy Sterlinga, nie brał się wyłącznie z tego, że służył wcześniej w Iraku. Był surowy, ale sprawiedliwy, a jego profesjonalizm cechował się pewnym ewolucyjnym pięknem. Różnica między zachowaniem Sterlinga w porównaniu do pozostałych naszych sierżantów czy oficerów zdawała się wyłącznie kwestią intensywności. Podczas ćwiczeń na poligonie zauważyłem, jak jego tułów porusza się w doskonałej harmonii z karabinem, obracając się to w prawo, to w lewo na tle pokrytych śniegiem gałęzi liściastych drzew; nogi niosły go nieustępliwie naprzód, dopóki nie dotarł do polany – wtedy zatrzymał się i przyklęknął. Przyglądałem się, jak powoli zdejmuje hełm, odkrywając krótko ostrzyżone blond włosy, a jego niebieskie oczy lustrują zarośla na skraju lasu. Sierżant nasłuchiwał i obserwował, a my, cały nasz pluton, czekaliśmy, aż podejmie decyzję. Ufaliśmy mu, gdy wyznaczał nam kierunek i rozkazywał ruszać naprzód.

Gdziekolwiek by nie poszedł, podążanie za nim zawsze przychodziło z łatwością.

Murph i ja zbliżyliśmy się do Sterlinga i przyjęliśmy postawę „spocznij”.

– W porządku, człowieczku – odezwał się. – Chcę, żebyś wlaź do tylnej kieszeni Bartle’a i chcę, żebyś tam został. Zrozumiano?

Murph, zanim odpowiedział, spojrział na mnie. Wyrazem twarzy starałem się dać mu do zrozumienia, że odpowiedzi powinien udzielić szybko i że powinien ją skierować do sierżanta Sterlinga. Lecz Murph nie odpowiedział, więc Sterling trzepnął go otwartą dłonią w bok głowy, strącając mu przy tym czapkę na ziemię, gdzie wzbily się smuzki śniegu i nakreśliły ślady grudniowego wiatru.

– Zrozumiano, sierżancie – powiedziałem.

Pociągnąłem Murpha w stronę zadaszonego wejścia do koszar, gdzie grupka chłopaków z drugiego plutonu paliła papierosy. Idąc, usłyszeliśmy za sobą krzyk Sterlinga:

– Chłopaki, naprawdę musicie pozbierać się do kupy! Do żadnego z was to nie dociera!

Gdy dotarliśmy do drzwi, obejrzeliliśmy się na sierżanta. Stał z rękami opartymi na biodrach i z głową odchyloną ku niebu. Oczy miał zamknięte. Zmierzchało, ale on nie ruszał się z miejsca. Czekał, zupełnie jakby chciał czekać na ostatni cień, z którym nastanie wieczór.

Wszedłem wraz z Murphem do ośmioosobowej sali na trzecim piętrze naszych batalionowych koszar. Zamknąłem drzwi. Wszyscy pozostali włączyli się gdzieś po terenie bazy, korzystając z wieczornych przepustek. Byliśmy sami.

– Masz już swoją pryczę i szafkę? – spytałem.

– Tak – odparł. – Na końcu korytarza.

– Zgarnij swoje manele i znajdź sobie miejscówkę koło mnie.

Murph wyszedł z sali, szurając nogami. Czekaając na niego, zastanawiałem się, co mu powiem. Służyłem w wojsku od kilku lat. Ogólnie było mi tam dobrze; armia stała się dla mnie miejscem, w którym mogłem zniknąć. Nie wychylałem się i robiłem, co mi kazano. Nikt nie spodziewał się po mnie zbyt wiele, a ja w zamian o wiele nie prosiłem. Wcześniej nie zastanawiałem się specjalnie nad tym, jak to jest iść na wojnę – tymczasem teraz to faktycznie się działo, a ja wciąż nie odczuwałem niepokoju współmiernego do rozgrywających się w moim życiu wydarzeń. Pamiętam, że kiedy wszyscy inni z przerażenia odchodzili od zmysłów, ja w gruncie rzeczy czułem ulgę. Dotarło do mnie, że już nigdy nie będę musiał o niczym decydować. Ta świadomość wydawała się wyzwalająca, a jednak nawet wtedy w jakiś sposób mnie to gryzło. Tak naprawdę musiałem się dopiero nauczyć, że wolność to nie to samo co brak odpowiedzialności.

Murph wrócił do sali, chwiejąc się nieco pod ciężarem niesionego ekwipunku. Blond włosy i niebieskie oczy upodabniały go w sporym stopniu do Sterlinga. Murph sprawiał jednak wrażenie jego bardziej przeciętnej wersji. Sierżant był wysoki, szczupły i muskularny, czego nie dało się powiedzieć o Murphie. Nie był gruby – po prostu w porównaniu ze Sterlingiem sprawiał wrażenie niestosownie wręcz niskiego i przysadzistego. Linia szczęki Sterlinga wyglądała, jakby przeniesiono ją żywcem z podręcznika do geometrii, natomiast rysy twarzy Murpha były odrobinę niesymetryczne. Usta Murpha składały się do uśmiechu bez wysiłku, w przeciwieństwie do Sterlinga. Być może wszystkie moje spostrzeżenia były po prostu stwierdzeniem pewnego stanu rzeczy, jednakowego dla wszystkich zakątków świata: niektórzy ludzie są nadzwyczajni, inni nie. Sterling należał do tych pierwszych, choć czasem widziałem, jak bardzo drażniły go konsekwencje tego statusu. Kiedy po raz pierwszy zjawił się w naszej kompanii, kapitan przedstawił go nam, mówiąc: „Sierżant Sterling trafi na pieprzone plakaty rekrutacyjne. Jeszcze

wspomnicie moje słowa”. Po rozkazie rozejścia się przechodziłem obok Sterlinga; usłyszałem, jak zwraca się do kapitana: „Nigdy nikogo o to nie poproszę, sir. Nigdy”. Kiedy się oddalał, zauważyłem, że na swoim galowym mundurze nie nosił żadnego z odznaczeń, których listę kapitan odklepał przed nami z kiepsko ukrywaną zazdrością. Ale wojny potrzebują także zwyczajnych chłopaków.

Po tym, jak umieściliśmy rzeczy Murpha w zamykanej szafce, usiadłem na dolnej pryczy, a on usadowił się naprzeciwko mnie. Salę oświetlał blask jarzeniówek. Przez nieosłonięte okna widać było noc i śnieg, kręgi świateł latarni i czerwone cegły koszarowych budynków.

– Skąd jesteś? – zapytałem.

– Z południowo-wschodniej Wirginii – odparł. – A ty?

– Z małego zadupiaстого miasteczka koło Richmond.

Wyglądał na rozczarowanego moją odpowiedzią.

– Do diabła – powiedział. – Nie wiedziałem, że jesteś z Wirginii.

W stwierdzeniu tego faktu było coś, co mnie zirytowało.

– Tak – odparłem z nutą samozadowolenia w głosie. – Jesteśmy prawie że spokrewnieni.

Natychmiast pożałowałem tych słów. Nie chciałem być za niego odpowiedzialny. Nie chciałem być odpowiedzialny nawet za siebie samego, ale przecież to nie była jego wina. Zacząłem rozkładać swój sprzęt.

– Co porabiasz w swojej dziurze, Murph?

Wziąłem drucianą szczotkę do czyszczenia metalowych elementów mojego wyposażenia, małych guzików i sprzączek, po czym zabrałem się za usuwanie śnieży i śladów oksydacji, które pojawiły się, gdy leżąc w śniegu, przygotowywałem się do walki na pustyni. Kiedy Murph odpowiadał na moje pytanie, przyszło mi do głowy, że jeśli wystarczająco wiele osób podejrze do czegoś bardzo poważnie, to coś takiego może tylko stać się absurdem. Ponownie spojrzałem na Murpha, który opowiadał

o sobie, wyliczając kolejne fakty na palcach drobnej prawej dłoni. Nie zdążył dojść nawet do wskazującego, gdy przerwał.

– Tak, to chyba wszystko. Niezbyt wiele.

Nie słuchałem, co miał do powiedzenia. Widziałem, że czuł się zawstydzony. Spuścił lekko głowę, wyciągnął swoje rzeczy z szafki i zaczął robić to samo co ja. Przez jakiś czas byliśmy sami. Po sali rozchodził się cichy szmer – odgłos druczianych szczotek pocierających o zielony nylon i metal. Potrafiłem to zrozumieć. Jeśli pochodzisz z miejsca, w którym kilka faktów wystarcza, by cię zdefiniować, w którym kilka nawyków potrafi wypełnić całe twoje życie, przepełnia cię jedyne w swoim rodzaju poczucie wstydu. Mieliśmy swoje małe życia, pełne tęsknoty za czymś bardziej istotnym niż drogi gruntowe i skromne marzenia. Przybyliśmy więc tutaj, gdzie życie nie wymagało szczegółowych analiz i gdzie inni decydowali o tym, kim mamy być. Gdy skończyliśmy naszą robotę, poszliśmy spać, spokojni i wolni od żalu.

Mijały dni. Byliśmy coraz bliżej dnia naszego wyjazdu, którego datę Góra w dalszym ciągu utrzymywała w tajemnicy. My jednak czuliśmy, że to już wisi w powietrzu. Obecność wojny w naszym życiu stała się faktem. Przypominaliśmy panów młodych przed ślubem. Ćwiczyliśmy na pokrytych śniegiem polach. Nad ranem wychodziliśmy z koszar i szliśmy do sal wykładowych, gdzie odbywały się odprawy poświęcone strukturze społecznej i demograficznej niewymienianych z nazwy miast, o które mieliśmy walczyć. Sale wykładowe opuszczaliśmy w nocy, po tym, jak słońce opadło już jakby mimochodem i schowało się po zachodniej stronie, za otaczającym bazę ogrodzeniem z drutu kolczastego.

W ostatnim tygodniu pobytu w New Jersey do naszej sali przyszedł Sterling. Pakowaliśmy akurat sprzęt – ze świadomością, że do niczego nam nie będzie potrzebny. Góra poinformowała nas, że wkrótce otrzymamy przepustki i że będziemy mogli spotkać się z rodzinami po raz ostatni przed

relokacją naszego batalionu. Czekał nas jeszcze tylko ostatni dzień na strzelnicy, który włączono do programu po tym, jak stosowna sugestia sierżanta Sterlinga przeszła przez łańcuch dowodzenia. Sterling przestąpił próg i machnięciem ręki zbył naszą dość ospałą próbę przyjęcia przepisowej postawy.

– Siadajcie, chłopaki – powiedział.

Murph i ja usiedliśmy na mojej pryczy. Sterling, pocierając skronie, zajął miejsce naprzeciw nas.

– Ile macie lat?

– Osiemnaście – odparł niezwłocznie Murph. – W zeszłym tygodniu miałem urodziny – dodał z uśmiechem.

Poczułem się zaskoczony, że nic mi o tym nie powiedział; nieco mniej zdziwiło mnie, jak bardzo był młody. Miałem wtedy dwadzieścia jeden lat, więc osiemnaście nie wydawało mi się aż tak młodym wiekiem, dopóki nie usłyszałem tej liczby wypowiedzianej na głos. Spojrzałem na siedzącego obok mnie Murpha. Za wyjątkiem jednego pryszczka na brodzie jego skóra była zupełnie gładka. Uświadomiłem sobie wtedy, że Murph ani razu się nie golił. Miękki meszek na jego kościach policzkowych połyskiwał biało w świetle jarzeniówek. W uszach zabrzmiał mi mój własny głos, mówiący: „Dwadzieścia jeden”. Dopiero teraz, gdy to wspominam, czuję, jak młody wówczas byłem. Mogę poczuć swoje ciało sprzed czasu, gdy zostało okaleczone. Mogę sięgnąć dłonią do policzka i na chwilę przypomnieć sobie moją nieskazitelną wówczas skórę, która potem została rozdarta pod okiem, a następnie zasklepiła się niczym miniaturowe wadi.

– Dwadzieścia jeden – powiedziałem i poczułem, jak czas wypełnia po brzegi moje jestestwo.

Teraz mam prawie trzydzieści lat i jestem wystarczająco dojrzały, by spoglądając wstecz, umieć dostrzec, kim wówczas byłem. Ledwie

mężczyzną. Choć wcale nie. Było we mnie życie, ale rozprysnięte, niczym krople na dnie niemal pustej miski.

Rozkojarzeni spojrzeliśmy na Sterlinga.

– Kurwa – rzucił, a ja wiedziałem, że gdyby zdradził nam swój własny wiek, okazałoby się, że wcale nie jest dużo starszy od nas. – W porządku, słuchajcie – powiedział. – Jesteście moimi ludźmi.

– Rozumie się, sierżancie – potwierdziliśmy.

– Góra właśnie przydzieliła nam obszar operacyjny. Mamy przejebane. Musicie mi obiecać, że będziecie robić, co wam każę.

– Okej. Jasna sprawa, sierżancie.

– Nie wciskajcie mi takich głodnych kawałków, szeregowi. Tym razem nie będzie żadnej „jasnej sprawy”. Powiedzcie, że będziecie robić, co każę. Za. Każdym. Kurwa. Razem – Sterling wybijał rytm uderzeniami pięści w lewą dłoń.

– Będziemy robić, co pan każe, sierżancie. Obiecujemy – zapewniłem.

Sterling wziął głęboki oddech i uśmiechnął się. Opuścił nieco ramiona.

– Więc co to za miejsce, sierżancie? – zagadnął Murph.

– Al Tifar. Na północy, blisko Syrii. Dla hadżich to coś w rodzaju poligonu doświadczalnego. Czasem robi się tam naprawdę kurewsko gorąco. Miałem wam jeszcze o tym nie mówić, ale chcę, żebyście coś zrozumieli.

Górna prycza sprawiała, że siedział przygarbiony, pochylając się lekko nad białą powierzchnią lśniącą, wypłytkowaną podłogi.

Murph i ja popatrzyliśmy po sobie, czekając, aż sierżant ponownie się odezwie.

– Zginą ludzie – stwierdził beznamiętnie. – Taka jest statystyka.

Potem wstał i wyszedł.

Jakoś udało mi się zasnąć, ale mój sen był niespokojny. Od czasu do czasu budziłem się i spoglądałem na osadzających się na okiennych szybach

szron. Późną nocą, kiedy już zbliżał się świt, zagadnął mnie Murph. Zapytał, czy myślę, że wszystko będzie z nami okej. Wpatrywałem się uparcie w okno, chociaż noc pokryła je całe cienką warstwą lodu. Przez tę mętną zasłonę przeświecał bladopomarańczowy blask latarni. Powietrze w sali było chłodne i rześkie; owinąłem się ciasno szorstkim wełnianym kocem.

– Tak, Murph. Będzie okej – powiedziałem. Choć wcale w to nie wierzyłem.

Nad ranem, jeszcze przed pierwszym brzaskiem, wdrapaliśmy się do dwuipółtonowych ciężarówek i nasza kompania wyruszyła w konwoju na strzelnicę. W nocy opady śniegu przeszły w deszcz, założyliśmy więc kaptury, starając się naciągnąć je na hełmy najdalej, jak tylko się dało. Deszcz był zimny, bębniący. Wydawało się, że każda kropla ześlizgująca się po plecach naszych bluz i kurtek lada moment zamarznie. Nikt się nie odzywał.

Gdy dojechaliśmy na strzelnicę, uformowaliśmy okrąg na zszarzałym śniegu, by wysłuchać odprawy na temat bezpieczeństwa. Byłem zmęczony i skupienie przychodziło mi z trudem. Głosy wrzeszczących we mgle instruktorów strzeleckich przypominały chór, który nie przykładał się do prób. Patrzyłem, jak deszcz pada na martwe liście i sprawia, że niemal zupełnie nagie gałęzie zaczynają migotać. W rozrzedzonym zimowym powietrzu niósł się dźwięk ładowanych przez obsługę strzelnicy magazynków, dobiegający z podniszczonego składu amunicyjnego. Widok białej farby obłazającej ze ścian przywodził mi na myśl kościół, który jako dziecko mijałem w drodze do szkoły. Dziwny, mechaniczny hałas dochodzący z tamtej szopy brzęczał mi w uszach, aż w końcu nie byłem już w stanie usłyszeć ani jednego słowa wypowiedzanego przez instruktorów. Sterling i Murph zajęli miejsca w kolumnie, która miała zostać odprowadzona na stanowiska strzeleckie. Sterling obrzucił mnie gniewnym

spojrzeniem, po czym przytrzymał swój karabin w zagłębieniu łokcia i wskazał palcem na zegarek.

– Czekamy, szeregowy – powiedział.

Jeśli chodziło o trening strzelecki, Sterling był uważnym instruktorem. Tego dnia Murph i ja uzyskaliśmy swoje najlepsze wyniki w życiu. Sterling był z nas zadowolony i wyglądało na to, że wprawiliśmy go w dobry nastrój.

– Wszystko poniżej czterdziestu na czterdzieści to błąd strzelca – stwierdził.

Przenieśliśmy się na niewielki wzgórek, którego zbocze opadało przed linią otwarcia ognia. Sierżant, nie zważając na śnieg, wyciągnął się na pagórku w pozycji pólężącej, my zaś, odprężeni, usiedliśmy u jego stóp.

– Coś mi się zdaje, że wszyscy możecie dać sobie radę.

Milczeliśmy przez chwilę. Słowa aprobaty ze strony Sterlinga wystarczyły, byśmy poczuli satysfakcję. Słońce wciąż jeszcze wisiało wysoko nad nasypem po drugiej stronie strzelnicy, gdy odezwał się Murph.

– Sierżancie, jak tam jest? – zapytał z zakłopotaniem.

Siedział na śniegu ze skrzyżowanymi nogami; z karabinem ułożonym na podołku wyglądał, jakby tulił do siebie lalkę.

Sterling roześmiał się.

– Boże, co za pojebane pytanie...

Zaczął podnosić z ziemi kamyki i wrzucać je do mojego odwróconego kewlarowego hełmu.

Murph odwrócił od niego wzrok.

Sierżant odezwał się stanowczym głosem:

– Tamci nie będą wyskakiwać i czekać, aż ich zastrzelicie. Jeśli będziecie pamiętać o podstawach, dacie radę zrobić, co trzeba. Na początku jest ciężko, ale to proste. Każdy to potrafi. Musicie przyjąć stabilną postawę, mieć dobry widok, kontrolować oddech i pociągnąć za spust. Kiedy jest już

po wszystkim, niektórzy zaczynają mieć z tym problem. Ale większość chce to zrobić, gdy przychodzi pora.

– Ciężko to sobie wyobrazić – stwierdziłem. – To znaczy, do której grupy my będziemy się zaliczać.

Sterling zrobił krótką pauzę.

– Więc lepiej, kurwa, wysilcie wyobraźnię – ponownie zaniósł się tłumionym śmiechem. – Spróbujcie poszukać głębiej. I znaleźć w sobie to paskudne coś.

Nasłuchiwałem trzasku karabinów na linii ognia. Patrzyłem, jak gałęzie unoszą się i otrząsają ze śniegu, gdy siedzące na nich ptaki przestraszone odgłosami podrywają się do lotu. Słońce na niebie było małe i jasne. Deszcz zelżał i zmienił się w hałaśliwą mżawkę.

– Jak mamy to zrobić? – spytałem.

Sterling udał frustrację, ale ja wiedziałem, że nasz przykładowy występ na strzelnicy zagwarantował nam pewną dozę swobody.

– Nie martwcie się. Pomogę.

Zabrzmiało to tak, jakby miał coś chlapnąć, tylko w ostatniej chwili ugryzł się w język. Mój hełm pełen był kamyków.

– Cholera – rzucił Murph.

– Musimy po prostu ćwiczyć. Praktyka, praktyka i jeszcze raz praktyka – to powiedziawszy, Sterling oparł głowę o ziemię, a stopy o mój odwrócony hełm.

Murph zaczął coś mówić, ale położyłem mu rękę na ramieniu.

– Jasne, rozumiemy, sierżancie – zapewniłem.

Sterling wstał i przeciągnął się. Cały tył jego munduru był mokry, on jednak najwyraźniej nie zwracał na to uwagi.

– To był ich pomysł – powiedział. – Nie zapominajcie o tym. To za każdym razem jest ich pomysł. Zamiast zabijać nas, powinni zabijać siebie.

Nie miałem pewności, kim byli „oni”.

Murph wpatrywał się w ziemię.

– No to... to co mamy robić?

– Nie zamartwiajcie się tak strasznie, panienki. Wasza dwójka niech po prostu trzyma ogon. Wszystko będzie w porządku.

– Ogon? – zapytałem.

– Tak – odparł. – Pieprzenie psa zostawcie mnie.

Huk wystrzałów ustał. Nasze ostatnie zadanie tutaj dobiegło końca. Załadowaliśmy się z powrotem na ciężarówkę, spragnieni przepustek oraz spotkania z rodzinami. Myślałem o tym, co powiedział Sterling. Trudno było mi orzec, czy nie był przypadkiem szalony, ale wierzyłem, że był odważny. Teraz znam już rozmiary jego odwagi. Była co prawda wąsko wyspecjalizowana, ale też czysta i nieskażona. Stanowiła rodzaj elementarnego samopoświęcenia, wolnego od wszelkiej ideologii, wolnego od logiki. Sterling gotów byłby powędrować na szubienicę w zastępstwie innego chłopaka wyłącznie dlatego, że jego zdaniem stryczek lepiej pasował do jego szyi.

A potem zaczęliśmy świętować. Salę gimnastyczną w naszej bazie udekorowano transparentami i rozstawiono składane stoliki. Nasze rodziny patrzyły, jak stoimy w szyku, podczas gdy dowódca batalionu wygłasza porywającą, żarliwą przemowę na temat obowiązku, a kapelan okrasza szczyptą humoru ponure opowieści o Naszym Panu i Zbawcy, Jezusie Chrystusie. Były hamburgery i frytki, a my byliśmy zadowoleni.

Przyniosłem mojej matce talerzyk i usiadłem naprzeciw niej, w niewielkiej odległości od tłumu innych matek, uwieszonych u ramion swoich synów, a także towarzyszących im ojców, którzy brali się pod boki i uśmiechali jak na zawołanie. Matka płakała. Rzadko się malowała. Ale tego dnia makijaż spłynął do zagłębień wokół jej oczu. Zostawił smugę na nadgarstku, którym ocierała łzy, kiedy siedziała w naszym wiekowym złotym chryslerze na parkingu przed koszarami.

– Mówiłam ci, John, żebyś tego nie robił – powiedziała.

Zacisnąłem zęby. Wtedy nie zdążyłem jeszcze wyrosnąć z kiepskiej buntowniczej manieri. Przyjąłem taki styl bycia, odkąd skończyłem dwanaście lat, aż w końcu poczułem, że mam dość pustki, i opuściłem nasz dom, wezwawszy jedyną taksówkę, jaka kiedykolwiek uświetniła swoją obecnością nasz długi żwirowy podjazd.

– To już się stało, mamó.

Zamilkła i wzięła głęboki oddech.

– W porządku. Wiem – powiedziała. – Przepraszam. Spędźmy miło ten czas.

Uśmiechnęła się i poklepała mnie po wierzchu dłoni, które trzymałem na stoliku. Jej oczy zaszklily się łzami.

I rzeczywiście, tamten czas udało nam się spędzić miło. Poczułem ulgę. W noc przed ćwiczeniami na strzelnicy siedziałem do późna, pogrążony w apatii, a po głowie krążyły mi najróżniejsze ewentualności, jakie mogły mnie czekać. Najpierw byłem pewien, że zginę, następnie nabrałem pewności, że przeżyję. Potem uznałem, że na pewno zostanę ranny, w końcu przestałem być pewien czegokolwiek. Tyle tylko mogłem zrobić, by powstrzymać się od chodzenia po zimnych kafelkach i wypatrywania w oknie jakiegoś znaku albo światła latarni. Nie pozbyłem się niepewności. Ostatecznie stanęło na strachu przed tym, że zginę i że moja matka będzie musiała pochować syna, o którym sądziła, że wciąż się gniewa. Że weźmie do rąk flagę i będzie patrzeć, jak opuszczają mnie w głąb brązowej wirginijskiej ziemi. Że słuchając salw honorowych, dudniących w krótkich odstępach w powietrzu, przez cały czas będzie myśleć o tym, że przypominają jej huk drzwi, które zatrzasnąłem za sobą jako osiemnastolatek, podczas gdy ona właśnie zrywała z płotu wiciokrzew.

Wyszedłem na zewnątrz, żeby zapalić papierosa i odprowadzić matkę. Kiedy pocałowałem ją w policzek, zaskoczyła mnie siła, z jaką

przycisnąłem do niego usta.

– Powinieneś to rzucić – powiedziała.

– Wiem, mam. Rzucę.

Zduśliłem pod butem tłący się ognek. Matka przytuliła mnie i poczułem zapach jej włosów, perfum i całego życia, jakie wiodłem w domu.

– Napiszę, jak tylko będę mógł, dobrze?

Odsunęła się ode mnie powoli, podniosła dłoń, by mi pomachać, po czym odwróciła się i ruszyła w kierunku samochodu. Pamiętam, jak podążałem wzrokiem za jego tylnymi światłami, gdy z skręciła i wyjechała z parkingu. Obserwowałem, jak maleją, mijając boisko, po czym ponownie skręcają, kierując się ku budce wartowniczej przy wyjeździe z bazy. Tam zniknęły. Zapaliłem kolejnego papierosa.

Większość rodzin zdążyła już wtedy wyjechać. Większość, z wyjątkiem matki Murpha i kilku innych, których nie znałem. Przyglądałem się, jak Murph przemierza salę gimnastyczną, prowadząc matkę za rękę. Obrzucali krótkim, uważnym spojrzeniem każdą grupkę pozostałych na sali osób, po czym ruszali dalej. Nie zdawałem sobie sprawy, że to mnie szukają, dopóki Murph nie obrócił się w moją stronę. Dostrzegłem, jak porusza ustami, mówiąc coś do matki. Wstałem z krzesła i czekałem, aż przejdą przez namalowane na parkiecie linie boiska do koszykówki, które posłużyło nam za miejsce naszej uroczystości.

Pani LaDonna Murphy, witając się, przytuliła mnie mocno. Była niska i sprawiała wrażenie wątlej, jakby naturalnie zasuszonej, ale była młodsza od mojej matki. Patrzyła na mnie, uśmiechając się szeroko, a jej ręce wciąż oplatały mnie w pasie. Spoglądała w górę, demonstrując w uśmiechu lekko zbrązowiałe zęby palaczki. Jej spłowiałe blond włosy upięte były w kok; miała na sobie dzinsy i zapinaną na guziki błękitną roboczą koszulę.

– Ludzie, zostało wam jeszcze pięć minut! – zawołał jeden z podoficerów.

Pani Murphy wypuściła mnie ze swego uścisku.

– Jestem z was taka dumna, chłopcy – powiedziała podekscytowanym głosem. – Daniel tyle mi o tobie opowiadał. Czuję się, jakbym dobrze cię znała.

– Tak, proszę pani. Ja również.

– Więc wygląda na to, że wy dwaj będziecie dobrymi przyjaciółmi?

Spojrzałem ponad nią na Murpha, który przeprasząco wzruszył ramionami.

– Tak, proszę pani – odparłem. – Mieszkamy w jednym pokoju i w ogóle.

– W takim razie chcę, żebyście wiedzieli, że jeśli będziecie czegokolwiek potrzebować, zadbam o was. Będziecie dostawać więcej paczek niż inni.

– To naprawdę bardzo uprzejmie z pani strony, pani Murphy.

Sterling zawołał Murpha, żeby pomógł innemu szeregowcowi pozamiatać czerwone, białe i niebieskie confetti, zaścielające boisko w okolicy linii trzech punktów.

– Będziesz na niego uważał, prawda? – zapytała.

– Yyy... tak, proszę pani.

– A Daniel... Czy on dobrze sobie radzi?

– Tak, proszę pani, bardzo dobrze.

Miałem ochotę powiedzieć: Skąd do diabła miałbym to wiedzieć, paniusiu? Ledwo gościa znam. Przestań. Przestań zadawać mi pytania. Nie chcę być odpowiedzialny. Nic o tym nie wiem.

– John, obiecaj mi, że się o niego zatroszczysz.

– Oczywiście.

Jasne, jasne – pomyślałem. A teraz ty mnie uspokoź, a ja wrócę do siebie i położę się spać.

– Nic mu się nie stanie, prawda? Obiecaj, że przywieziesz mi go z powrotem.

– Obiecuję – powiedziałem. – Obiecuję, że przywiozę go pani z powrotem.

Sterling przyłapał mnie później, gdy wracałem z sali gimnastycznej do koszar. Siedział na podeście przed frontowym wejściem; na jego widok przestałem palić papierosa.

– Całkiem przyjemna noc, co, sierżancie?

Sterling wstał i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem.

– Słyszałem waszą rozmowę z matką szeregowego Murphy’ego.

– A, tak. Tamtą rozmowę.

– Nie powinniście byli tego robić, szeregowy.

– Robić... czego?

Przystanął i wziął się pod boki.

– Daj spokój. Obietnice? Poważnie? Składasz teraz, kurwa, jakieś obietnice?

Wkurzyłem się.

– Po prostu chciałem, żeby się lepiej poczuła, sierżancie – odparłem. – To nic wielkiego.

Błyskawicznie powalił mnie na ziemię i dwukrotnie uderzył w twarz: za pierwszym razem pod oko, za drugim prosto w usta. Poczułem, jak jego kłykcie wciskają mi wargi między zęby. Przednie zęby rozcięły górną wargę, a gorąca, metaliczna krew napłynęła mi do ust. Wargi spuchły w mgnieniu oka. Pierścień na prawej dłoni Sterlinga rozciął mi policzek i krew ciekła strużkami po twarzy, spływając do kąta oka i kapiąc na śnieg. Sierżant stał nade mną okrakiem i przyglądał mi się. Strzepnął obolałą ręką w zimnym powietrzu.

– Złóż na mnie skargę, jeśli chcesz. Nic mnie to już, kurwa, nie obchodzi.

Leżałem na śniegu jeszcze przez chwilę, rozpoznając na niebie konstelacje na tyle jasne, że z łatwością przebijały się przez sztuczne światło padające z okien koszar oraz z latarni stojących wzdłuż pobliskiej alejki. Dostrzegłem Oriona, dostrzegłem Wielkiego Psa. Kiedy w koszarach pogasły światła, dostrzegłem także inne gwiazdy, rozmieszczone tak, jak

przed milionem lat lub wcześniej. Zastanawiałem się, jak wyglądają teraz. Wstałem, po czym powlokłem się po schodach i dalej, do naszej sali. Murph usiadł, ale światła pozostały zgaszone. Zdjąłem mundur i wrzuciłem go do mojej szafki, a potem wślizgnąłem się pod ciasno dopasowaną pościel.

– Fajnie było dziś wieczorem – odezwał się Murph. Nie odpowiedziałem. Usłyszałem, jak obraca się na swojej pryczy. – U ciebie w porządku?

– Tak, wszystko gra.

Spojrzałem przez okno, poprzez czubki wiecznie zielonych drzew, które posadzono w rzędach pomiędzy budynkami koszar. Wiedziałem, że przynajmniej niektóre z widzianych przeze mnie gwiazd już nie istnieją – rozpadły się w nicość. Czułem się tak, jakbym patrzył na kłamstwo. Ale nie sprawiało mi to różnicy. Świat wszystkich nas zmienia w kłamców.

3

MARZEC 2005

Kaiserslautern, Nadrenia-Palatynat, Niemcy

Niedługo po opuszczeniu Al Tafari zacząłem się czuć bardzo dziwnie. Po raz pierwszy zwróciłem na to uwagę na autostradzie między bazą lotniczą a miastem Kaiserslautern. Drzewa za oknem taksówki zlewały się w srebrną plamę, ale dokładnie widziałem ich zielone pąki, wydobywające się spod pozostałości po zimie. Obudziło to we mnie wspomnienie wojny, choć dzielił mnie od niej zaledwie tydzień, a – z czego wówczas nie zdawałem sobie jeszcze sprawy – moje wspomnienia miały wydawać się tym wyraźniejsze, im bardziej odległe stawały się okoliczności, których dotyczyły. Teraz odnoszę wrażenie, że wspomnienia narastały – tak samo, jak rosną inne rzeczy. Obserwując z zacisznego wnętrza taksówki cienkie pnie drzew, rozmyślałem o wojnie i o tym, jak bardzo te dwanaście miesięcy, spędzonych przez nas na pustyni, sprawiało wrażenie pozbawionych pór roku, z wyjątkiem jesieni. Przechodzenie jednych dni w drugie naznaczał przenikliwy niepokój, a kurz pokrywał cały Al Tafari, sprawiając, że nawet kwitnące hiacynty stawały się swego rodzaju pogłoską.

Wyobrażałem sobie, że kiedy już znajdę się tam, gdzie panuje umiarkowany klimat z wyraźną zmianą zimy w wiosnę, będzie mi łatwiej. Tymczasem wcale tak nie było. Marcowe niemieckie powietrze, zimne i wilgotne, dla mojej skóry okazało się wstrząsem. Kiedy porucznik oświadczył, że nie dostaniemy przepustek – mimo iż nie mogliśmy wyjechać wcześniej niż nazajutrz, a do tego czasu pozostawało nam jedynie

siedzieć i czekać – doszedłem do wniosku, że przepustka i tak mi się należy.

Musiałem pokonać kilkaset metrów, zanim wyszedłem przez strzeżoną bramę, a następnie przejść trzy kilometry, nim po mojej lewej stronie pojawił się pierwszy rząd zabudowań. Niebo było teraz słabiej oświetlone, a w powietrzu wisiała nieruchoma, delikatna mgła. Kiedy siedziałem w samolocie, słońce optymistycznie górowało nad wszystkim, ale teraz schowało się za chmurami, przypominającymi wyblakłe szkice węglem. Nigdy nie przypuszczałem, że budynki mogą być tak kolorowe jak te, które wówczas zobaczyłem: z jasnymi, pastelowymi wykończeniami i ścianami pokrytymi grubą warstwą tynku w intensywnych odcieniach żółci i jasnego beżu. Idąc w kierunku miasta, przechodziłem obok subtelnie oświetlonych kawiarni, z których docierały przenikliwe domowe zapachy; mijalem podążających w pojedynkę ludzi z szyjami ciasno otulonymi kołnierzami płaszczy przeciwdeszczowych. Zatrzymywali na mnie spojrzenia, a gdy już mnie ocenili, za każdym razem odwracali się w stronę jakiegoś innego zwieńczenia swoich wędrówek.

Ten samotny spacer w deszczu, wzdłuż wysokich, równych szpalerów sosen i brzoź, sprawił, że poczułem się dobrze; spotykałem po drodze mieszkańców miasta i ogarnął mnie swego rodzaju spokój. Wtedy nie potrafiłem tego skojarzyć, lecz teraz, spoglądając wstecz, uświadamiam sobie, że ów spokój wziął się z braku jakichkolwiek rozmów. Przechodziliśmy obok siebie, nasze oczy spotykały się przelotnie, brukowa kostka lub ściany uliczek potęgowały stukot moich obcasów. Następnie opuszczaliśmy wzrok. Widok mojej skóry, ciemnej i spalonej słońcem, starczał im, by rozpoznać we mnie Amerykanina – nie mieli powodu, by się do niego odzywać, w końcu i tak nie zrozumiałby ich słów, a ja myślałem: dziękuję, jestem zmęczony i nie wiem, co właściwie miałbym wam powiedzieć. Tak właśnie mijaliśmy się za każdym razem. Miałem

przyjemne doznanie, płynące skądś spod mojego mostku, że to wyobcowanie da się wytłumaczyć, że to kwestia zwyczajnej nieznamomości języka; tak mogłem jeszcze przez chwilę być samotny z zupełnie innego powodu.

Dotarłem do ronda, przy którym czekały dwie srebrne taksówki. Podszedłem do pierwszej i zapukałem w okno od strony kierowcy. Taksówkarz, mężczyzna o dużych oczach i małych, niemal bezwargich ustach, wyprostował się. Opuścił szybę i nieznacznie wysunął głowę. Nachyliłem się ku niemu, trzymając obie ręce w przednich kieszeniach dżinsów.

– Miasto na „k” – odezwałem się cicho.

Przez chwilę znajdowaliśmy się bardzo blisko siebie, prawie się dotykając; taksówkarz powiedział coś, czego nie zrozumiałem.

– *No sprechen* – odparłem.

Westchnął, uśmiechnął się, po czym gestem ręki wskazał tylne siedzenie taksówki. Wsiadłem do środka.

I właśnie wtedy to się zaczęło, podczas tamtej krótkiej podróży do Kaiserslautern. Jechaliśmy w milczeniu, bez żadnych uprzejmych pogaduszek. Radio było wyłączone. Oparłem głowę o szybę i obserwowałem, jak skrapla się na niej mój oddech. Kreśliłem palcem proste linie na zaparowanym szkle; najpierw jedną, a potem kolejne, dopóki razem nie utworzyły kwadratu, przypominającego małe okno w oknie. Kiedy spojrzałem w stronę rosnących na skraju drogi drzew, poczułem, że moje mięśnie napinają się i zaczynam się pocić. Wiedziałem, gdzie jestem: na szosie w Niemczech, na samowolce, w oczekiwaniu na lot powrotny do Stanów. Lecz moje ciało nie zdawało sobie z tego sprawy: dla niego była to szosa, jej skraj i kolejny dzień. Moje palce zacisnęły się wokół nieistniejącego karabinu. Powiedziałem im, że żadnego karabinu wcale tam być nie powinno, lecz one nie chciały mnie słuchać i nadal obejmowały

przestrzeń, którą wypełniałaby broń; pot wciąż oblewał moje ciało, a serce biło nierozsądnie szybko.

Miałem być szczęśliwy, ale nie pamiętam, bym czuł wtedy cokolwiek poza tępym, pulsującym odrętwieniem. Byłem bardzo zmęczony, pewną ulgę przynosił mi widok srebrnej smugi drzew wzdłuż drogi, symbolizującej świeżość i ciągłość zarazem. Miałem ochotę wysiąść i przejechać dłońmi po korze. Byłem pewien, że jest gładka i – mimo iż wciąż padało, a krople, tak jak wcześniej, dziwnie zawisały w powietrzu – chciałem wyjść na zewnątrz, prosto w deszcz. Chciałem pozwolić mu opadać na mój śniady kark i dłonie, chciałem go poczuć.

Resztę drogi do miasta przebyliśmy tak samo, pogrążeni w ciszy; moimi dłońmi parokrotnie wstrząsnęły drgawki. Taksówkarz wysadził mnie na szerokiej ulicy. Na wpół schowane słońce wisiało w deszczu nad bladymi budynkami. Szare popołudnie oświetlał słaby blask kilku ulicznych latarni. Zapłaciłem kierowcy za kurs i ruszyłem w stronę obrzeży miasta, przechodząc po drodze przez świetlne kręgi, rzucane przez zbędne latarnie i wyglądające zza chmur słońce. Kiedy dotarłem do końca Turnerstrasse, światła zaczęły pojawiać się w miarowych odstępach, a moje przejścia przez nie odbywały się bardziej regularnie, stając się dla mnie czymś pewnym, czymś, czemu mogłem oddać się z zapamiętaniem. Podejrzywałem, że Sterling i część pozostałych chłopaków będą włóczyć się po knajpach i urządzać w nich jatki. Miałem nadzieję, że się na nich nie natknę, i to nie tylko dlatego, że byłem na samowolce. Na samą myśl o Sterlingu wzbierała we mnie żółć i czułem w gardle coś w rodzaju kwaśnego, piekącego refluksu.

Tępy chłód powietrza skłonił mnie do wślizgnięcia się do mijanej po prawej stronie dużej katedry. Oświetlenie jej wnętrza współgrało z bladym światłem na zewnątrz. W przedsionku znalazłem broszurę z historią kościoła po niemiecku i angielsku; rozłożyłem ją tak szeroko, jak tylko się

dało, w nadziei, że uda mi się za nią ukryć. Skuliłem się w ławce na tyłach transeptu. Jakaś szkolna wycieczka rozpoczęła popołudniowe zwiedzanie i choć przewodniczka mówiła po niemiecku, próbowałem nadażyć za wątkiem na tyle, na ile pozwalała mi trzymana broszura.

Katedra była stara. Słońce przesunęło się tak, że wpadające przez czerwone i niebieskie szkła wysokich witraży światło nie spływało na marmurową podłogę. Smugi z obu stron spotkały się w absydzie oraz w głównej nawie, wysoko między sklepieniem a rzeźbionymi kapitelami. Lekkie szurnięcia dziecięcych stóp wzbijały kurz, który w specyficzny sposób wisiał teraz w powietrzu, tak jak czasem się to zdarza.

W odległym końcu kościoła, za ołtarzem, ksiądz przygotowywał się do jakiejś ceremonii. Obserwowałem, jak gromadzi świece i kadzidło, i ustawia je starannie za sobą na małym stoliku.

Przewodniczka wycieczki zatrzymała grupkę dzieci. Gestem dłoni wskazała na swoje usta, potem na uszy, wreszcie na oczy. Wyglądało to tak, jakby całowała swój głos, słuch i wzrok. Wszyscy zastygliśmy w bezruchu: przewodniczka, dzieci i ja, i to chyba właśnie ten nasz bezruch zwrócił na nas uwagę księdza. Dzieci tymczasem zaczęły przechadzać się wzdłuż ścian; większość chichotała i błaznowała, pozostałe wydawały okrzyki zachwytu na widok portretów świętych. Odczytywałem imiona świętych z broszury i próbowałem wyobrazić sobie siebie jako małe dziecko, któremu pokazano ich podobizny.

Był tam piękny Sebastian, z którego piersi sterczały strzały. Krew z jego ran, przypominająca rozbryzgany воск, stężała i zakrzepła, dzięki czemu mógł teraz wisieć na ścianie kościoła w niezmienionej postaci, konając nieustannie przez tysiąc lat. Była tam także Teresa, jęcząca niczym kobieta, która pod wpływem palących ran osiągnęła orgazm. Był tam również święty Jan Vianney – nieulegający zepsuciu; żołnierz-uciekinię z armii Napoleona, który wysłuchiwał spowiedzi przez dwadzieścia godzin na dobę

i którego oddzielone od reszty ciała serce spoczywa w Rzymie, w surowej szklanej kasetce, nietknięte rozkładem i takie jak wcześniej, tyle że niebijące.

W zimnym wnętrzu katedry dzieci ponownie wydały okrzyk zachwytu. Ich oddechy połączyły w jeden mglisty oddech, który wzleciał cichym głosem ku górze i zawisł na krótką chwilę ponad naszymi głowami, przesłaniając ołtarz i wpadające przez witraże nikłe różowe światło, po czym zniknął. Słuchałem odgłosu ich małych obcasów, stukających o kamień. Podniosłem oczy ku sklepieniom katedry, spojrzałem na ramy świętych obrazów, na misterne filigranowe ornamenty, oplatające to miejsce niczym pozostawiony bez opieki bluszcz, po czym przeczytałem: „Wszystko, co wygląda na złoto, naprawdę nim jest”. Powiedziałem to do siebie. Powiedziałem to na głos. Opuściłem wzrok, by czytać dalej, ale nic więcej tam nie było. Broszura kończyła się tymi właśnie słowami.

Podczas gdy ja czytałem, ksiądz opuścił swoje miejsce za ołtarzem. Składając broszurkę, zauważyłem ze zdziwieniem, że stoi nade mną. Był niski i nosił okulary w drucianych oprawkach. Patrzył na mnie i uśmiechał się z zamkniętymi ustami; był to ten rodzaj uśmiechu, który mógł równie dobrze być współczujący, jak i protekcyjny, w zależności od tego, na czyjej twarzy się pojawił.

– Tutaj nie wolno palić – powiedział.

– Co? O cholera. Przepraszam.

Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że zapaliłem papierosa. Jego końcówka żarzyła się czerwono w słabym świetle, dopóki nie zgmiotłem jej na bucie. Niedopałek schowałem do kieszeni.

– Mogę panu jakoś pomóc?

Moja obecność musiała mu się wydać czymś osobliwym.

– Nie. Tylko się rozglądałem. Jestem na przepustce – skłamałem.

Wskazał na broszurę.

- Ciekawa historia, prawda?
- O tak... tak – wyjąkałem. – Z pewnością.

Wyciągnął ku mnie dłoń.

- Jestem ojciec Bernard.
- Bartle. Szeregowy Bartle.

Usiadł na skraju ławki, zachichotał lekko i wygładził przód swoich spodni.

- Też jestem kimś w rodzaju szeregowca, na swój sposób.

Przez chwilę milczałem.

- A, racja – powiedziałem w końcu.

- Czy mogę być z panem szczerzy?

- Oczywiście.

- Wygląda pan na zmartwionego.

- Zmartwionego?

- Tak. Jakby coś panu ciążyło.

- No, nie wiem. U mnie chyba wszystko w porządku, tak mi się zdaje.

– Wie pan, mam trochę doświadczenia. Gdyby miał pan ochotę, moglibyśmy porozmawiać.

- O czym? – spytałem.

- Myślę, że to pan mógłby zdecydować. Ja posłucham.

Zdałem sobie sprawę, że raz po raz wyłamuję sobie palce lewej ręki.

– Sam nie wiem, proszę księdza. Niezbyt się orientuję, jak to działa. Nie jestem katolikiem ani nic w tym stylu.

Roześmiał się.

– Nie musi pan być katolikiem. Złożyłem przyrzeczenie, że ludzie mogą mówić mi o rzeczach, o których nie chcę mówić innym. To wszystko.

Zdrapałem wąski pasek lakieru z sąsiedniej ławki.

- To chyba dobra rzecz. Chodzi mi o to, co ksiądz robi.

- Do tej sytuacji pasuje pewne stare porzekadło.

– Jakie?

– Jesteś tylko tak chory, jak twoje tajemnice.

– Na każdą okazję znajdzie się jakieś stare porzekadło, czyż nie?

– To prawda – uśmiechnął się ponownie.

Zastanowiłem się nad tym przez moment.

– Czyli... uważa ksiądz, że powinienem się wypowiadać albo coś w tym rodzaju.

– Nie... nie wypowiadać... jedynie... porozmawiać.

– Popełniłem po prostu błąd, to wszystko.

– Każdy popełnia błędy – powiedział.

– Nie – odparłem. – Nie każdy. Raczej nie.

Dzieci i wycieczki opuściły gęsiego katedrę. Światło nie wpadało już przez okna, które w słabej poświacie lamp i świec sprawiały wrażenie ciemnych dziur, zionących pustką pod kościelnym sklepieniem.

Rozsiadłem się wygodniej w ławce, a on siedział na jej krańcu, w niewielkiej odległości ode mnie. Przyszło mi do głowy, jakie to dziwne – być w tym miejscu, zimnym i wilgotnym, z pełgającymi płomykami świec. Czulem się tam obcy, nieznośnie i przytłaczająco obcy. Zapragnąłem uciec, lecz nie uciekłem.

Obaj zachowywaliśmy przez chwilę niezręczne milczenie.

– Doceniam to, ale lepiej już pójdę. Dziękuję, że poświęcił mi ksiądz swój czas. Jeśli szybko nie wrócę, dostanie mi się. Wie ksiądz, co mam na myśli.

Odwróciłem się i zacząłem wychodzić z transeptu w kierunku dużych drewnianych drzwi frontowych kościoła. Panowała cisza, zakłócana jedynie odgłosem moich kroków. Wtedy rozległo się wołanie księdza:

– Czy chciałby pan, żebym się za pana pomodlił?

Zastanawiając się nad pytaniem, które mi zadał, rozejrzałem się po katedrze. Była pięknym miejscem, najpiękniejszym, jakie widziałem od długiego czasu. Ale to piękno było smutne, jak wszystko, co powstało po

to, by ukryć brzydotę przyczyny swojego istnienia. Wyciągnąłem broszurę z kieszeni. Spisano w niej całą historię tego kościoła – tysiąc lat na trzech stronach. Jakiś biedak musiał zdecydować, co jest warte zapamiętania, i wyłożyć to przystępnie dla każdego, kto zechce tu wpaść i pozachwycać się. Ja z każdym dniem coraz gorzej panowałem nad moją własną historią. Pewnie mogłem uczynić w tym kierunku jakiś wysiłek. Prześledzenie przebiegu zdarzeń powinno być dość łatwe: zdarzyło się to i to, byłem tam, następnie wydarzyło się tamto; wszystko prowadziło nieuchronnie do chwili obecnej. Mogłem podnieść garść pyłu z ulicy przed katedrą, trochę wosku ze stojącej na nastawie ołtarza świecy, trochę popiołu z kołyszącej się kadzielnicy. Mogłem ścisnąć to wszystko w nadziei, że uda mi się wytłoczyć jakiś rodzaj esencji, która nadałaby sens tamtemu miejscu i czasowi. Nie zrobiłem tego. Pewność skapitulowała, oddając cały obszar mojego umysłu. W każdym razie zostałbym tylko z brudem na rękach, z niczym więcej. Stojąc w tamtym kościele zdałem sobie sprawę, że istnieje wyraźna różnica pomiędzy tym, co się pamięta, tym, co się mówi, i tym, co jest prawdą. I nie sądziłem, żebym kiedykolwiek zdołał ustalić, co jest czym.

– Nie, sir. Nie trzeba.

Doceniałem ten gest, ale sprawiał wrażenie obligatoryjnego, przez co pustego, jak zresztą wszystkie gesty.

– A może za przyjaciela?

– Miałem przyjaciela. Mam przyjaciela, za którego może się ksiądz pomodlić.

– Kto to? – indagował ksiądz.

– Daniel Murphy. Kumpel z oddziału. Zabity w Al Tafari. Zginął jak... – spojrzałem na ścianę, na której wisiały obrazy świętych. – Zresztą nieważne.

Cały kościół pogrążony był w mroku, z wyjątkiem kilku kul światła, roztaczanych przez płonące świece, i kilku słabych lamp.

Mimo to ujrzałem Murpha, niesionego prądem w kierunku tamtego zakola Tygrysu i przepływającego w cieniu wzgórza, na którym został pogrzebany Jonasz; jego oczodoły były już teraz ledwie naczyniami na wodę, która go unosiła, a ciało właśnie zaczęły rozszarpywać ryby. Czuję, że mam obowiązek zapamiętać go we właściwy sposób, wspomnienia są bowiem wyznacznikiem istotności, i nikt nie będzie już nigdy wiedział, co stało się z Murphem, może nawet ja sam. Nie udało mi się. Kiedy staram się naprawić wspomnienia, nie daję rady. Gdy usiłuję wyrzucić je z głowy, powracają tym szybciej i z jeszcze większą siłą. Nie osiągam spokoju. Co z tego. Zasłużyłem sobie na to.

– A o co się modlić?

Ponownie przypominał mi się Sterling.

– Pieprzyć ich – mruknąłem pod nosem. Odwróciłem się do księdza. – Dziękuję. Myślę, że może się ksiądz modlić, o co tylko zechce; cokolwiek, co zdaniem księdza nie będzie stratą czasu.

Wyszedłem na zewnątrz, na wybrukowane ulice, wbijając wzrok w stopy. Jestem pewien, że ludzie zwracali na mnie uwagę, bo kiedy szedłem, słyszałem kilka wyraźnych westchnień, lecz ani razu nie podniosłem oczu. Nie mogłem. Moja izolacja była zupełna.

Wędrowałem bez celu, dopóki w oknie budynku już prawie na obrzeżach miasta nie ujrzałem miękkiego światła lampy za czerwonymi zasłonami. Usłyszałem muzykę i głosy kobiet, dobiegające przez wąskie szczeliny nad parapetami. Nie szukałem tego miejsca specjalnie, ale pamiętałem, że w Al Tafarze zwiadowca z piechoty zmechanizowanej zapisał mi ten adres na wieczku oderwanym z paczki papierosów.

– Mówię ci, kurwa, w całych dziejach nie było lepszego miejsca, żeby zamoczyć sobie wacka. Nie do ominięcia – oświadczył.

Być może trafiłem tam, bo taki miałem zamiar. Czegoś chciałem, czegoś niezwykłego, choć trudno mi było sobie wyobrazić, żeby miało to być akurat zamoczenie mojego pieprzonego wacka. Zapaliłem papierosa i przez kilka minut stałem przed budynkiem. Deszcz wciąż delikatnie zraszał miasto, a ja byłem przemoczony już niemal do suchej nitki. Mokry był nawet wierzch mojego papierosa, który przez to palił się nierównomiernie, musiałem więc zaciągać się głębokimi haustami, by nie zgasł w deszczu.

Wyglądało na to, że mógłbym spędzić tam całkiem przyjemne chwile, ale tłok już wówczas zaczął sprawiać, że robiłem się nerwowy. „Gdyby tylko był tutaj Murph” – pomyślałem. Ale Murpha tam nie było. Nigdy już nie będzie. Byłem sam.

Może gdyby sprawy w Al Tafarize przybrały nieco inny obrót, mogłoby być inaczej. Ale stało się tak, jak się stało, bez względu na nasze pragnienie, by wszystko potoczyło się w inny sposób. Pomimo naszej odwiecznej instynktownej skłonności do poszukiwania wyjaśnień bardziej skomplikowanych, takich, których głębia wydawałyby się bardziej współmierna do zamętu panującego w mojej głowie, naprawdę było to aż tak proste.

Murph sam mi to powiedział, gdy staliśmy nad jasnym od słońca polem, pełnym porzrzucanych ciał, wymęczonych i pobladłych, przywodzących na myśl kawałki drewna wyrzucone na brzeg. „Jeśli coś nie jest sprzeczne z przepisami, to jest obowiązkowe” – wymamrotał pod nosem. Nie powiedział tego do nikogo konkretnego. W ogóle nie mówił wtedy zbyt wiele, więc kiedy już się odzywał, słuchałem go z uwagą. Od tamtej pory wiele razy zastanawiałem się, co właściwie miał na myśli. Zrozumiałem to dopiero stojąc przed tamtym domem, przez którego zasłony przeświecało światło. „Ludzie zawsze to robili” – pomyślałem. Poszukiwali krętej drogi, która omijałaby prostą prawdę. Prawdę o tym, że przyszłość jest nieznana, że nie istnieje przeznaczenie ani żadna żyłasta dłoń, wyciągająca się ku

naszemu życiu; że jest tylko to, co się zdarzyło, oraz my, przyglądający się temu. Ta wiedza okazywała się jednak niewystarczająca i dlatego ze wszystkich sił starałem się nadać temu jakiś sens – tak samo, jak wiele wieków wcześniej starali się to uczynić mieszkańcy terenów obecnych Niemiec, doszukując się jakiegoś schematu we wszelkich dziwnych zdarzeniach, pokrywając swoje twarze popiołem i barwnikami z jagód zebranych w odtajałych wiosną dolinach, stając nad ciałami chłopców, kobiet i starców przygotowanymi do spalenia pod warstwą liści lub trawą, i pod kamieniami, które miały przytrzymać zwłoki na wypadek, gdyby pod wpływem ognia, żaru oraz trzasku płomieni obudziły się ze swojego osobliwego snu.

Podczas gdy zaprzętały mnie własne myśli, otworzyły się drzwi. Wszedł stamtąd jakiś mężczyzna i rondem kapelusza starannie osłonił sobie twarz. Kiedy mnie spostrzegł, postawił kołnierz płaszcza, stając się kształtem owiniętym w tkaninę i przemykającym pośpiesznie ulicą. Drzwi pozostały otwarte i przez wąską szparę mogłem dostrzec wnętrze budynku. Kobiety śmiały się i roznosiły drinki po salonie. Kilku mężczyzn siedziało na podniszczonych meblach, wykręcając dłonie i czekając, aż kobiety przyniosą im drinka i usiądą im na kolanach. Kiedy się zbliżały, mężczyźni odrzucali głowy do tyłu i rozkładali szeroko ramiona, gotowi na ich przyjęcie. Wszedłem do środka, skąd dobiegała głośna muzyka brass bandu.

Pod ścianą na drugim końcu pomieszczenia upchnięto niewielki, prowizoryczny bar. Usiadłem na jednym ze stołków. Skórzana tapicerka było spękana i odłaziła dużymi płatami. Dziewczyna za barem odezwała się do mnie, ale nie zdołałem jej zrozumieć. Było głośno; dziewczyna zmierzyła mnie wzrokiem, ja wciąż siedziałem na swoim miejscu, nie odpowiadając. Miała gęste, rude włosy, które nawet w zadymionym wnętrzu zdawały się lśnić własnym blaskiem. Wyglądały na sztucznie

wyprostowane i opadały na plecy niezupełnie pionowo; kiedy dziewczyna się poruszała, wyobrażałem sobie, że ma loki, które miękko się kołyszają. Jej skóra była blada i pokryta piegami, a pod jej prawym okiem nabrzmiewał wielki, fioletowy siniak.

– Whiskey? – poprosiłem.

Zaniepokoił mnie cichy, nieśmiały ton mojego głosu, który z trudem przebił się przez dym i muzykę, ale wyglądało na to, że dziewczyna mimo to zdołała mnie usłyszeć. Sięgnęła po butelkę na górnej półce. Pokręciłem przecząco głową i wskazałem na dół.

– Niżej – powiedziałem.

Nalała mi, wypilem długi łyk, whiskey rozgrzała moje gardło i zapiekła w żołądek, po czym odstawiłem szklankę. Dziewczyna ani razu się do mnie nie uśmiechnęła. Przyglądałem się, jak krząta się po sali, dotykając ramion biznesmenów i nastolatków, którzy pili i oczekiwali na swoją kolej z jedną z pozostałych dziewcząt. Domyślałem się, że tego wieczoru dziewczyna zza baru była zwolniona z tego rodzaju obowiązków, może z uwagi na podbite oko, a może z innego powodu.

Przez długi czas byłem jedynym klientem przy barze. W przerwach pomiędzy napełnianiem mojej szklanki dziewczyna opierała się plecami o ścianę, krzyżując blade ręce na swoich drobnych piersiach. Nie spoglądała na mnie zbyt często; kiedy już to robiła, a ja odwzajemniłem to spojrzenie, szybko odwracała wzrok. Wokół jej niebieskich oczu widać było czerwone obwódki. Po kilku kolejkach whiskey zdecydowałem się do niej odezwać.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

Mój głos stawał się bełkotliwy.

Nie odpowiedziała. Wszystko, co udało mi się uzyskać, to zmarszczenie przez nią brwi, kiedy z butelką w ręku sprawdzała, czy chce kolejnego drinka.

W pewnej chwili usłyszałem, jak na schodach coś uderzyło z łomotem o ścianę. Po stopniach, zataczając się od ściany do ściany, schodził sierżant Sterling. Właściwie wcale mnie to nie zdziwiło. Nie mogłem być jedynym amerykańskim żołnierzem, który słyszał o tym miejscu. Był bez koszuli, z kącika ust sączyła mu się krew, a w lewej dłoni trzymał flaszkę jakiegoś bezbarwnego trunku. Butelka połyskiwała w wypełniającym pomieszczenie dymie i żółtawym świetle nagich, kołyszących się pod sufitem żarówek. Kiedy mnie zobaczył, wyszczerzył zęby i ryknął:

– Szeregowy Bartle!

Niewiele brakowało, a ześlizgnąłbym się ze sfatygowanego skórzanego siedziska mojego barowego stołka. Gdzieś na piętrze kilku innych znów narobiło hałasu, Sterling przez moment zakołysał się niepewnie, a wyraz jego pijanej twarzy świadczył, że odgłosy wydały mu się znajome. Modliłem się w duchu, żeby się odwrócił i poszedł z powrotem na górę, ale moje modlitwy, co do jednej, były daremne i dobrze o tym wiedziałem. Sterling zszedł i przyciągnął sobie stołek tak blisko mnie, jak tylko się dało; oddychał głęboko i nierówno. Tatuaze na jego piersi unosiły się i opadały w rytm jego oddechu, otoczył ręką moje ramiona i mocno ścisnął. W dalszym ciągu się uśmiechał, odsłaniając białe zęby, a jego oczy były szeroko rozwarte, nabiegłe krwią i błękitne niczym wysuszone gałązki lawendy.

Kiedy schodził po schodach, barmanka cofnęła się na jego widok. Teraz sierżant wypuścił mnie z objęcia i chwiejnym krokiem wszedł za bar.

– Nie dziś? – wybełkotał do dziewczyny. – Co, suko? Nie dziś?

Wolną ręką chwycił ją za twarz i zacisnął palce. Starła się wyswobodzić, a ja widziałem, jak w miejscach, za które ją trzymał, skóra dziewczyny staje się ciemnoczerwona, a policzki pod naciskiem jego palców zapadają między zęby. Próbowwała wyszarpnąć się z uścisku. Łzy spływały po pozostałościach tuszu do rzęs, ale delikatna szczęka dziewczyny

pozostawała zaciśnięta, a ona sama trzymała się na tyle prosto i pewnie, na ile tylko mogła w objęciu jego rąk.

– Sierżancie Sterling – wymamrotałem. – Niech się pan ze mną napije.

Wiedziałem, że mnie usłyszał – dostrzegłem nieznaczny skurcz mięśni za jego uszami i widziałem, jak naga skóra po bokach jego głowy delikatnie zmarszczyła się – ale nie puścił barmanki. Wzięłem długi wdech, wciągając głęboko do płuc otaczające mnie zatęchłe powietrze, po czym wrzasnąłem:

– No chodź, frajerze! Pij!

Zanim puścił dziewczynę, pchnął ją tak, że z głuchym odgłosem uderzyła głową o ścianę za barem. Na gipsowej gładzi pojawiło się małe pęknięcie, a barmanka rzuciła się do ucieczki, ale on pochwycił ją za ramię. Ścisnął jej łokieć, zmuszając do wyprostowania ręki.

– Wracaj tu.

Dziewczyna cicho szlochała. Czerwone ślady biegnące wzdłuż jej policzków przypominały wymalowany na twarzy smutny uśmiech klauna, a pod oczami widniały czarne smugi spływającego tuszu. Sterling tymczasem usiadł obok mnie, klepnął mnie w plecy i złapał za kark.

– Życie, kurwa, jak w marzeniach, szeregowy! – ryknął.

Sala już dawno opustoszała. Niektórzy z klientów udali się z dziewczynami na górę, a inni, nie chcąc, by przyłapano ich w towarzystwie bandy pijanych Amerykanów, opuścili budynek i zniknęli w nocnych ciemnościach. Na zegarze za barem dochodziła druga nad ranem.

– To się nazywa pełna wolność, bohaterze! – zaśmiał się. – Boże, jak ja to kocham.

Ciepły, cierpki zapach whiskey zaczął mnie powoli wyzwalać. Sterling siedział przez chwilę w milczeniu. Zapaliłem papierosa, którego dym zawisł w żółtym świetle nad naszymi głowami. Dziewczyna osunęła się plecami po ścianie i usiadła na łydkach.

– Hej, a pamiętasz wyraz jego twarzy, kiedy tamten hadzi wysadził się na stołówce?

– Czyjej twarzy? – spytałem.

– Murpha! No, daj spokój, człowieku! Murpha!

– Niezbyt, sierzancie. To był naprawdę pojebany dzień.

– Cholera. Ten hadzi zniknął, szeregowy. Bum. I zniknął – Sterling otoczył moją szyję ramieniem, ściskając ją mocno. – Bum. I zniknął.

– Mhm.

– Miał naprawdę śmieszny wyraz twarzy.

– Nie pamiętam.

– Myślałem, że ty wszystko pamiętasz. Jak jakiś jebany geniusz czy kim tam jesteś...

Chciałem obrócić to w żart.

– Urznął się pan, sierzancie.

– No. Ale teraz widzisz, jak kończy się ten syf?

– Jasne. Tak. Jasne, że tak.

– Ja tu dowodzę.

Zaśmiałem się nerwowo.

– Wiem.

– Kiedy ja dowodzę, wszystko dobrze się kończy. Ale kiedy dam się ludziom namówić na jakieś gówno... to wtedy, kurwa, wpierdaliśmy się w sytuację bez wyjścia.

Spróbowałem zmienić temat.

– Czemu przypomniał pan sobie o Murphie?

– Jebać Murpha.

Nic nie powiedziałem.

– My wiemy, co się stało. To wszystko, co mamy.

Był pijany. Nigdy nie widziałem go w takim stanie: na skraju utraty samokontroli, zasepionego, a zarazem sentymentalnego w pewien

charakterystyczny dla niego sposób. Można było wyczuć, że lada moment rzuci ze swoich barków jakiś ciężar. Nie byłem pewien, jaki, ale nie chciałem być w pobliżu, kiedy się to stanie.

Przystawił palec najpierw do mojej, a następnie do swojej piersi.

– My wiemy. Ja i ty. Jakbyśmy byli małżeństwem. Nie zapominaj o tym. Mam cię, szeregowy Bartle. Tak, kurwa, Jednolity Kodeks Prawa Wojskowego... Mogę go użyć, kiedy tylko zechcę. Rozumiesz? – wysunął kciuk i przytknął go do mojej twarzy, napierając stanowczo i nieśpiesznie na policzek. Następnie obrócił rękę i przycisnął kciuk do wykonanego z ciemnego, polakierowanego drewna blatu baru, poruszając nim tak, jak gdyby rozgniatał robaka.

– Właśnie taka jest twoja sytuacja. Mam cię w garści. A do tego jeszcze samowolka? Kurwa! To będzie aż za proste, szeregowy!

Wkrótce miałem wyjść z wojska. Mój trzyletni kontrakt dobiegał końca. Miałem opuścić armię po naszym powrocie do Stanów.

– Nie zrobi pan tego – powiedziałem. Ale wcale w to nie wierzyłem. Wiedziałem, że Sterling był zdolny do wszystkiego. – Ja też mogę pana wydać. To pan dowodził, pamięta pan?

– Ee... – burknął. – Nikt nie będzie truł sobie dupy Murphem.

Dotarłszy do szczelinowej spółgłoski w ksywie „Murph”, parsknął śmiechem. Na wargach czułem jego oddech. Kiedy mówił, jego oczy delikatnie połyskiwały, a ich barwa zdawała się płowieć i gasnąć.

– Wszyscy pozostali... Chłopie, oni wcale nie chcą wiedzieć! Gdyby im zależało, to by się dowiedzieli, zgadza się? Przecież on nie był jedynym poległym w jebanej akcji, jedynym z gównem wartymi medalami i z gównem wartą historią dla jego matki?

Wysączył do ostatka swój trunek, powoli przechylając nad głową butelkę. Przyglądałem się, jak jego grdyka porusza się, pompując bezbarwny płyn w dół gardła. Skończywszy, cisnął butelką w ścianę nad głową dziewczyny.

Nie roztrzaskała się. Grube szkło wytrzymało; uderzyło z brzękiem o ścianę, po czym upadło na podłogę.

– Moglibyśmy wszystko powiedzieć – odezwałem się. – Byle już mieć to za sobą.

Roześmiał się.

– No i znów zaczynacie, szeregowy. Jebany geniusz.

Obudziłem się na piętrze. Leżałem na łóżku, właściwie na dwóch materacach, ułożonych jeden na drugim. Ściany pokrywała odchodząca miejscami tapeta, żółta w brudnobiałe paski. Z korytarza dobiegał odgłos cieknącej wody. Przez otwarte drzwi w brudnym lustrze dostrzegłem odbicie barmanki. Nim ją poznałem, upłynęło kilka sekund. Wyszła z łazienki ubrana w wyświechtany różowy szlafroczek. Widziałem piegi rozsypane po jej dekolcie, rękach i długich, białych nogach.

– Poszedł? – zapytałem.

Dziewczyna przycisnęła wilgotną myjkę do mojego czoła. Zrobiło mi się niedobrze.

– Tak – odparła.

– Mówisz po angielsku.

– Oczywiście.

Nie mogłem rozpoznać jej akcentu. Ślady nakłuć na jej rękach. Żadna z niej święta. Ze mnie zresztą też. Zauważyłem, że siniak pod jej okiem pociemniał. Był teraz czarny. Ponownie się położyłem.

– Przepraszam – powiedziałem. – Powinienem być zrobić coś więcej.

– Próbowaleś. To już coś.

– Czy... – zacząłem. Sam nie wiedziałem, czego od niej chcę.

Przerwała mi wpół zdania.

– Poważnie? – twarz dziewczyny przybrała bardzo smutny wyraz, a jej dolna warga zaczęła lekko drżeć. Wymierzyła mi policzek.

– Nie. Nie to – zapewniłem, choć częściowo właśnie tego pragnąłem: mieć nad czymś kontrolę, choćby tylko przez dwie minuty. Z drugiej strony brzydziłem się sobą. Pomyślałem o żołnierzu, który dał mi ten adres. On pewnie to zrobił, a teraz pewnie był martwy. Wyobraziłem sobie jego zwłoki, zapadające się w sobie, ciało, które gnije, a potem znika, skórę na wargach, która pęka, aż wreszcie zostaje sama czaszka, pokryta cienką warstwą kurzu. Przyciągnąłem dłonie dziewczyny do mojego karku. Przesuwałem nimi tam i z powrotem po krótko przystrzyżonych włosach po bokach mojej głowy. W pewnej chwili zgiąłem się w pół i chwyciłem za stojący obok łóżka stary, metalowy kosz na śmieci, po czym do niego zwymiotowałem. Dziewczyna masowała mi plecy. Uklękła w nogach łóżka, ja usiadłem.

– Wszyscy jesteście tacy smutni – powiedziała.

Moją uwagę zwrócił dziwny świergot za oknem sypialni. Dostrzegłem tam kilka szpaków, śmigających w bladym świetle ulicznych latarni. Zataczały w locie kręgi, a gdy zebrało się ich więcej, cała grupa przelatywała przez snopy światła w drodze na dach lub na drzewo, które prosiło o zajęcie jego gałęzi, przynajmniej do czasu, aż rozwiną się jego liście i kwiaty, a zima odejdzie najdalej, jak to możliwe. Staliśmy tak przez chwilę. W końcu wypuściłem z objęć drobną talię dziewczyny i spojrzałem na nią.

– Czy wszyscy już wyszli? – spytałem.

Skinęła głową.

– Wrócę na dół i prześpię się tam, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Dobrze.

Wciąż byłem jeszcze nieco pijany i szumiało mi w głowie. Wszedłem za bar i odszukałem butelkę whiskey. Usiadłem na podłodze i spoglądając przez okno, wypilem resztę jej zawartości. Słońce weszło nad niewielkim

kanalem po drugiej stronie ulicy. Byłem bardzo zmęczony; utkwivszy wzrok ponad wąską wstęgą wody, zastanawiałem się, czy była zimna.

Kiedy otworzyłem oczy, była już szarówka. Uliczne lampy wciąż się paliły. W ustach czułem gorzki posmak. Rozejrzałem się, by zorientować się w sytuacji. Głowę rozsadał mi ból, a dłonie miałem lodowate. Zdałem sobie sprawę, że leżę twarzą do ziemi na brzegu wąskiego kanału, a moje zwieszona ręce zanurzone są w wodzie. Była przejrzysta i spokojna, drgała jedynie tam, gdzie lekko poruszały się moje dłonie. Wyciągnąłem je i zacząłem pocierać jedną o drugą, by odzyskać w nich czucie. „Boże, która to godzina?” – pomyślałem. Dom znajdował się po przeciwległej stronie ulicy. Na werandzie stały kobiety, przywodzące na myśl sfatygowane kariatydy – każda z nich opierała się o jeden z krzywych i łuszczących się filarów. Nie poruszały się; kiedy wstałem i zwróciłem się w ich stronę, pozostały nieruchome niczym na jakimś naturalistycznym tableau.

– Gdzie jest tamta dziewczyna? – krzyknąłem.

Kobiety trwały jeszcze przez chwilę w niezmienionej pozycji, po czym odwróciły się i jedna za drugą weszły do środka. Wewnątrz panowała cisza, tak mi się przynajmniej wydawało. Stałem tam, gapiąc się na dom, dopóki nie uświadomiłem sobie, że niedługo nastanie świt.

Gdy wróciłem do bazy, porucznik był zły. Nie krzyczał, powiedział tylko: „Umyjcie się, Bartle”. Zrobiłem to, a kiedy skończyłem, przebrałem się w świeży mundur i naciągnąwszy na ramiona połowę kurtkę, zasnąłem na ławce w terminalu. Jedynie kilku żandarmów i oficerów jeszcze nie spało.

Ze snu wyrwał mnie kuksaniec w ramię, potem mocniejszy wstrząs. Przewróciłem się na drugi bok, a sierżant Sterling wyszeptał:

– Zatuszowałem twój wyskok.

– Dzięki, sierżancie – wymamrotałem półprzytomny.

– Nie myśl sobie, że z tobą skończyłem, szeregowy.

Sterling odszedł. Na zewnątrz było ciemno i znowu zaczęło padać.
„Jestem już prawie w domu – pomyślałem. – Już prawie po wszystkim”.

4

WRZESIEŃ 2004

Al Tifar, prowincja Niniwa, Irak

Za dnia zmienialiśmy się na warcie: spaliśmy przez dwie godziny, a potem przez godzinę przysypialiśmy nad naszymi karabinami. Nie widzieliśmy żadnego wroga. Nie wmawialiśmy sobie, że dostrzegamy jakiegoś kątem oka. Nawet na to byliśmy zbyt zmęczeni. Widzieliśmy tylko miasto, przypominające niewyraźną, nieregularną mozaikę kształtów, naszkicowaną bielą i jasnym brązem pod wstęgą błękitnego nieba.

Obudziłem się na moją zmianę, gdy zachodzące słońce zanurzało się w wadi. Prześlizgnęło się za sadem, schowało za pasmem pagórków i zniknęło. Ogniska w sadzie wygasły, ale Murph i ja zauważyliśmy ich brak dopiero wtedy, gdy usłyszeliśmy dobiegający z oddali słaby trzask dogasającego żaru. Cienie budynków gospodarczych wydłużyły się i nim się spostrzeżliśmy, zakryły wszystko, a potem nastąpiła noc.

Staliśmy się niedbali. Porucznik rzadko nakazywał nam okopywać się i wówczas również tego nie zrobiliśmy; po prostu oparliśmy nasze plecaki i karabiny o wzniesione z gliny i błota pochyłe murki, oddzielające skupisko budynków od pola, na którym przyszło nam walczyć przez kilka ostatnich nocy. Porucznik miał małą radiostację z anteną i zieloną moskitierę, rozpiętą pomiędzy otwartym oknem a na wpół zwęglonym drzewem głogu. Czekaliśmy, aż coś nam powie, ale on oparł stopy na polowym stoliku i chyba spał, pozwoliliśmy mu więc odpoczywać w spokoju.

Po jedzeniu dostaliśmy pocztę, którą dostarczył goniec z dowództwa batalionu. Miał grube okulary, uśmiechał się do nas i bardzo uważnie chował się za murkami i drzewami, które, w jego przekonaniu, zapewniały osłonę. Jego mundur lśnił czystością. Wyszeptał nazwisko Murpha. Murph podziękował mu z uśmiechem, po czym otworzył list i zaczął czytać. Ja także odebrałem z rąk gońca małą paczkę. Sierżant Sterling wstał zza swojej osłony – stosu pociętych piłą pniaków gruszy, które jakaś od dawna nieżyjąca rodzina musiała kiedyś zgromadzić tu po to, by mieć opał na chłodne noce, jakie zima przynosi tam, gdzie równiny spotykają się z przedgórzem Zagros i gdzie czasem pada śnieg.

Sterling przywołał gońca do siebie.

– Szeregowy! – warknął. – Gdzie moja poczta?

– Wygląda na to, że nic do pana nie przyszło.

– Sierżancie... – mruknął Sterling.

– Słucham?

– Wyluzuj, Sterling. Zostaw dzieciaka – odezwał się porucznik, który zdążył już się obudzić, a teraz przerwał na moment prowadzoną przez radio rozmowę. Poza nią nie rozbrzmiewał żaden inny dźwięk. Goniec w ciszy pierzchnął w kierunku zapadających ciemności, pokonując tę samą drogę, którą wcześniej do nas przybył; sprawiał przy tym wrażenie, że jego ciało unosi się w powietrzu ponad ubitym pyłem.

Murph wyjął z hełmu jakąś fotografię i położył ją na liście w taki sposób, by zasłaniała dalsze słowa; w ten sposób mógł poświęcić każdemu wersowi należyłą uwagę, tak jak to czynią starzy ludzie, gdy czytają nekrologi przyjaciół, dowiadując się z opóźnieniem o różnych mało istotnych aspektach z ich życia i zastanawiając się, jak to się stało, że nie wiedzieli o nich wcześniej. Było zbyt ciemno, bym mógł przyjrzeć się fotografii z miejsca, w którym siedziałem. Nie przypomniałem sobie, by Murph kiedykolwiek mi ją pokazywał. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że

byliśmy na tej wojnie już tak długo, a ja ani razu nie widziałem tego zdjęcia. Murph oparł się plecami o murek, a zwisające nisko gałęzie głogu trącały go, poruszane lekkim wiatrem. Czerwienie zachodzącego słońca rozplynęły się, a ostatni słaby ślad rózu zniknął za miastem.

– Dobre wieści? – zapytałem.

– No, jakieś wieści na pewno – odparł.

– Co się stało?

– Moja dziewczyna idzie na studia. Pisze, że doszła do wniosku, że najlepiej będzie... no, sam wiesz.

Wciąż było słyhać ciche brzęczenie radiostacji. Nasze szepty przykrył głos porucznika, który stwierdził: „To dobre chłopaki. Będą gotowi, panie pułkowniku.”

– Twoją dziewczynę obraca jakiś cywil? – spytałem Murpha.

– Nie wiem. Nie wydaje mi się.

– Trzymasz się jakoś?

– Tak. To chyba bez znaczenia.

– Na pewno?

Między moim pytaniem a jego odpowiedzią nie rozległ się żaden dźwięk. Pomyślałem o domu i przypomniałem sobie pocierające skrzydełkami cykady w koronach sosen i dębów okalających staw za położoną pod Richmond posesją mojej matki. Tam był teraz poranek. Przestrzeń, jaka dzieliła dom – cokolwiek to słowo oznaczało dla każdego z nas – od naszych poranych brzdami pozycji bojowych, zapadła się w sobie. Już po chwili patrzyłem z góry na wodę. Uśmiechnąłem się. Przypomniałem sobie, jak wygląda tam późny listopad. Igły, zbrązowiałe od ciepłego wirginijskiego powietrza, zbierały się na brzegu jak porzucone koce. Przypomniałem sobie, jak wcześniej rano schodziłem w dół po wykoślawionych stopniach na tyłach naszego domu, a słońce snuło się ociężale za najwyższymi drzewami porastającymi wzgórze wokół doliny,

w której stał nasz dom. Światło, mocne, żółte, blade, wydawało się promieniować z ziemi, z jakiegoś innego, niewidzialnego wymiaru, gdzie – jak to sobie wyobrażałem, będąc jeszcze dzieckiem – musiały rosnać łąki pełne skoszonej trawy i ostów, które świecą swoim blaskiem, dopóki dzień ponownie nie przypomni im o swojej obecności. Przypomniałem sobie moją matkę, siedzącą wcześniej rano na werandzie, zaczytaną i sprawiającą wrażenie, jakby nie zauważała, że przechodzę obok, że szuram stopami po żółtych i pomarańczowych liściach, które wydawały przyjemny odgłos. Było zbyt ciemno, by mogła mnie dostrzec. Po tym, jak się zaciągnąłem, spędziłem całą noc poza domem. Pamiętam, że powiedziałem jej o tym jak gdyby nigdy nic. Próbowałem wtedy wślizgnąć się na podwórko przez furtkę w zbudowanym przez brata ogrodzeniu, a matka zawołała mnie łagodnie, nie czekając, aż jej oddech nadąży za głosem; zajęło mi dłuższą chwilę, zanim ją usłyszałem, ponieważ żaby byki wyrykiwały akurat swoje ostatnie ponure pieśni. Zerwał się lekki wiatr i rozproszył ptactwo, które zgromadzone jak zwykle w odległej zatoczce, pod wierzbami i dereniami, zaanektowało tamten kawałek żyznej, brązowej ziemi na brzegu stawu. Ptaki mąciły w locie wodę koniuszkami rozpostartych skrzydeł i rozbijały odbite w niej światła domu i gwiazd, które przypominały garście rozrzuconej soli. Zmarszczki na powierzchni stawu drżały, jak gdyby linie na jego lustrze były szarpniętymi strunami. Tyle że mnie tam nie było. To wszystko zdarzyło się znacznie wcześniej. Szedłem wówczas w ciemnościach pod baldachimem drzew, a ona sprawiała wrażenie, jakby już skądś o tym wiedziała – matki chyba zawsze wiedzą o takich rzeczach – i powiedziała: „Mój Boże, John, coś ty zrobił?”. A ja powiedziałem, że się zaciągnąłem. Zdawała sobie sprawę, co to oznacza. Było to niedługo przed moim wyjazdem. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, bym wiódł jakieś życie między tamtym dniem a chwilą obecną, gdy siedziałem pod murem wokół pola w Al Tatarze, niezdolny podnieść na duchu mojego przyjaciela,

który już wkrótce miał być martwy. Murph miał rację. To nie miało znaczenia.

Murph milczał przez chwilę.

– To wszystko jest tak cholernie zabawne.

Położył na kolanie złożony list i odchylił głowę do tyłu tak, że kontur jego twarzy zwrócony był w stronę nieba. Było w nim coś dziecinnie pięknego, a jego twarz, widoczna zza cienkich gałązek wyrastającego z pyłu głogu, łączyła długi, czarny, wyszywany gwiazdami woal nieba, który rozpościerał się nad nami, z niebem, pod którym znajdowała się wówczas jego dziewczyna. Tak, było w tym wiele chłopięcej naiwności, ale to nic złego, bo przecież byliśmy wtedy chłopcami. Nawet dziś jeszcze myślę o nim z miłością, gdy wspominam go, siedzącego pod drzewem głogu, smutnego z powodu porzucenia przez dziewczynę, ale wolnego od gniewu czy urazy, choć przecież zaledwie kilka godzin dzieliło go wtedy od morderczej jatki z zeszłej nocy. Murph siedział pogrążony w ciemności. Rozmawialiśmy ze sobą jak dzieci. Patrzyliśmy na siebie nawzajem niczym w zmatowiałe lustro. Przechowuję w sobie czułe wspomnienie tego, jaki był Murph, zanim przepadł, zanim wojna pochłonęła go bez reszty i zanim wykręcił się w powietrzu, gdy jego umęczone ciało – w którym być może nadal tliło się jeszcze jedno uderzenie serca – wyrzucono z okna minaretu.

Wyciągnąłem rękę i dałem znak, by podał mi fotografię. Zdjęcie z polaroidu przedstawiało Murpha i jego dziewczynę. Stali na nieutwardzonej drodze. Ziemia za nimi wznosiła się ku niewidocznemu na zdjęciu szczytowi. Górę porastały buki i magnolie, białe jesiony, klony i tulipanowce, a przedostające się między ich górnymi gałęziami promienie światła sprawiały, że kolory kwiatów były jasne i wyraźne. Dziewczyna miała na sobie sukienkę z niebieskiego muślinu, na tyle znoszoną, że na zdjęciu światło przeświecało częściowo przez cienki materiał, ujawniając kształt jej ciała. Brązowe włosy rozdzielały się na wiele osobnych pasm,

a kilka kosmyków spoczywało na jej różowych policzkach o wydatnych kościach. Usta miała zamknięte. Nie uśmiechała się, a jej oczy były szare i ciepłe; pod nimi widoczna była dłoń, która wyglądała na uchwyconą w momencie, gdy sięgała ku twarzy, by odgarnąć z niej zbłąkane kosmyki.

Obok niej stał Murph. Dłonie trzymał w kieszeniach niebieskich dżinsów. Druga ręka dziewczyny spoczywała na jego plecach, powyżej pasa. Murph był żywy. Jego twarz miała wyraz, jakiego nie widziałem nigdy wcześniej. Przekonywałem sam siebie, że jest to wyraz twarzy kogoś, kto wie; ale przecież on nie mógł wiedzieć. Zdjęcie miało w sobie coś ulotnego, choć wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy. Na ustach Murpha błąkał się łagodny półuśmiech, a jego oczy mrużyły się od światła. Czy to zdjęcie mogło zawierać coś niezmiennego? Zastanawiałem się, czy dziewczyna kiedykolwiek stanęłaby po raz kolejny w tym samym miejscu? A jeśli tak, to czy wyciągnęłaby rękę ku jego plecom?

– Kto je zrobił?

Murph przykucnął, opierając się na łydkach, wydobył tytoń do ssania, po czym umieścił porcję pod dolną wargą. Słodki, ostry zapach rozszedł się w nieruchomym powietrzu.

– Moja mama, w przedostatnie lato. Mieliśmy wtedy chyba po szesnaście lat, prawie siedemnaście. Marie to dobra dziewczyna. Nie mogę powiedzieć, żebym miał do niej pretensje. Jest za mądra, żeby się mnie trzymać.

Sterling przysłuchiwał się naszej rozmowie. Teraz wynurzył się z ciemności po drugiej stronie drzewa.

– Ja bym zabił taką sukę – wtrącił się. – Nie zamierzacie chyba tak po prostu przełknąć tego gówna, co, szeregowy?

– Zdaje się, że już nic na to nie poradzę, sierzancie.

Sterling oparł ręce na biodrach i sprawiał wrażenie, że czeka, aż Murph powie coś jeszcze. Jakby w pewnej chwili ciąg słów znalazł się poza

zasięgiem Sterlinga, który w postawie pełnej lekceważenia wyczekuje, by ponownie się do niego zwrócono. Ale Murph nie odzywał się. Zresztą ja też nie. Patrzyliśmy tylko na niego, na wpół oparci o mur. Za nami zapaliła się uliczna latarnia, jedyna, jaka przetrwała bitwę, i oświetliła pole, na którym leżały rozrzucone zwłoki i przelotnie opromieniła swoim blaskiem okaleczoną przez moździerzowe pociski ziemię. Lampa latarni migotała. W jej przerywanym świetle migał także Sterling, pojawiając się i znikając. Gdy światło przygasło na krótki moment, sierżant odszedł.

Teraz, gdy sobie to przypominam, chciałbym, żeby Murph się postawił. Nie tak, jak zasugerował to Sterling, niemniej jednak, żeby się postawił. Nie chodzi o to, że moim zdaniem powinien się łudzić, że coś mogłoby zmienić się w kwestii jego porzucenia; po prostu, patrząc wstecz, chciałbym móc powiedzieć: tak, Murph, walczyłeś, bardzo pragnąłeś żyć i bez względu na to, jaki błąd lub zrządzenie losu sprawiło, że zostałeś zabity, to twoją śmierć można wytłumaczyć inaczej, niż tym, że się poddałeś, a ja tego nie zauważyłem.

Murph spojrział na mnie i wzruszył ramionami. Oddałem mu zdjęcie, a on zdjął hełm i umieścił go na pylistej ziemi, między stopami. Z zapinanej na suwak kieszonki pod podpinką hełmu wyciągnął kartę obrażeń i położył ją na zdjęciu. Podniósł kartę i zdjęcie i w migoczącym świetle przyglądał się im, ja zaś odczytywałem z jego karty rubryki, które zdążył już wypełnić.

Na górze karty wpisał w odpowiednich miejscach wymagane informacje. Nazwisko, imię: Murphy, Daniel; numer ubezpieczenia; stopień wojskowy; jednostka. Poniżej znajdowały się kolejne pola, które pozostawały puste na wypadek, gdyby trzeba było szybko zaznaczyć różne informacje, stawiając obok krzyżyk. Takie pola widniały przy rubrykach „Zabity w akcji”, „Zaginiony w akcji” oraz „Ranny w akcji” (lekko albo ciężko). Były też pola dla rubryk: „Pojmany”, „Zatrzymany” oraz „Zmarły wskutek odniesionych ran”. Były również dwa zestawy pól „Tak” i „Nie”: jeden

przy rubryce „Ciało odzyskane”, drugi przy „Ciało zidentyfikowane”. Uwzględniono także miejsce na uwagi świadków oraz na podpis oficera dowodzącego lub członka personelu medycznego. Murph potwierdził krzyżykiem „Ciało odzyskane”.

– Tak na wszelki wypadek – powiedział, gdy zauważył moje spojrzenie.

Obaj podpisaliśmy już nasze karty.

Murph złożył zdjęcie razem z kartą i schował je z powrotem pod podpinką hełmu. Rozciąłem swoją paczkę i wyjąłem z niej butelkę Gold Label, przysłaną przez jednego z moich kumpli z liceum. Potrząsnąłem delikatnie butelką, mówiąc:

– Zobacz, co tu mamy.

Murph uśmiechnął się i odłożył hełm na bok, po czym przesunął się wzdłuż muru, by znaleźć się trochę bliżej mnie. Chciałem podać mu butelkę, ale on machnął odmownie ręką.

– Myślę, że ten zaszczyt powinien przypaść panu, sir.

Zaśmialiśmy się obaj. Pociągnąłem długi łyk whiskey. Poczułem, jak pali mnie w nosie, w gardle i w żołądku. Musiałem otrzeć wierzchem dłoni usta, bo wciąż się śmialiśmy. Murph wziął butelkę i wypił duży łyk. Na chwilę zapomnieliśmy o naszym beznadziejnym położeniu i byliśmy po prostu dwójką przyjaciół, pijących pod drzewem, opartych o murek, usiłujących stłumić śmiech, by nas nie przyłapano. Ciałem Murpha, próbującego powstrzymać się od śmiechu, wstrząsały spazmy, od których grzechotała jego kamizelka, a granaty delikatnie o siebie dzwoniły, aż wreszcie całe jego bojowe oporządzenie zaczęło lekko pobrzękiwać i Murph musiał wziąć się w garść. Z udawaną kamienną miną powtarzał: „w porządku, już dobrze”, dopóki w końcu się nie opanował. Wręczając mi z powrotem butelkę, westchnął głęboko.

– Spójrz tam.

Wskazał na niewysokie wzgórza wokół miasta. W oddali pojawiły się małe ogniska. Nieliczne światła miasta wraz z płomieniami na zboczach wzgórz przypominały postrzępioną kapę pikowaną spadłymi gwiazdami.

– Piękne – szepnąłem.

Nie byłem pewien, czy ktokolwiek mnie usłyszał, ale widziałem innych, którzy pokazywali palcami w kierunku ciemności.

Trwaliśmy tak przez jakiś czas. Noc zrobiła się chłodna, a zapach ognisk był intensywny i czysty i przeszywał powietrze niczym wiosenny wiatr, który zerwał się poza sezonem. Raz po raz przekazywaliśmy sobie butelkę i zaczynałem się już czuć lekko pijany. Oparliśmy nasze podbródki na rękach, ręce zaś na szczycie niskiego murka z glinianych cegieł i przyglądaliśmy się widocznym gdzie nie spojrzeć ogniskom, którymi miejscowi upstrzyli zbocza wzgórz.

– Całe miasto musi tam siedzieć – powiedział Murph, a ja myślałem o kolumnie ludzi, którzy cztery dni wcześniej wyjeżdżali, wychodzili bądź wybiegali z Al Tafari; o tym, jak cierpliwie czekali, byśmy odeszli, by odszedł wróg; o tym, jak powrócą tu po zakończonej walce i zaczną zamiatać łuski z dachów, jak napełnią wiadra wodą i z chlustem wyleją ją na zaschniętą, miedzianą krew na progach ich domów. Spoglądając na niskie wzgórza oraz połyskującą w ciemności pustynię, słyszeliśmy cichy lament.

Ledwo docierał on do naszych uszu. Nadal zdarza mi się go słyszeć. Dźwięk to zabawna rzecz, podobnie jak zapach. Po zachodzie słońca rozpalam ognisko za moją chatą. Po chwili dym opada ku niewielkim koleinom między kępami sosen. Zrywa się wiatr, który wieje przez pobliskie płytkie doliny i przelatuje ponad korytami strumieni. I wtedy to słyszę. Nie miałem pewności, czy naprawdę ów lament wydawały zgromadzone wokół ognisk kobiety, czy z rozpaczyny wydierały sobie włosy z głowy, czy nie, ale na pewno go słyszałem i nawet dziś niesłuchanie go

wydaje mi się czymś niewłaściwym. Zdjąłem hełm, położyłem na nim karabin i pozwoliłem uszom zestroić się z dźwiękami otoczenia, niosącymi się poprzez noc. Porucznik wyłączył radio i usiadł na krześle, pocierając dłońmi dziwne znamię na policzku. Przez moment wszyscy nasłuchiwaliliśmy, przyglądając się płonącym na tle nocy ogniskom. Poczułem ucisk w klatce piersiowej. W tym zawrocie było jednocześnie coś zwyczajnego i niebywałego, to samo dotyczyło sposobu, w jaki do nas docierało, unoszone przez wiatr, który zaczynał się w sadzie. Później w nocy dwa z widocznych w oddali świateł zaczęły się stawać coraz jaśniejsze, potem kolejne dwa i znowu dwa. Porucznik podszedł do każdego z nas i powiedział:

– Pułkownik chce się z wami zobaczyć. Przygotujcie się, chłopaki.

Oparliśmy nasze karabiny o mur i ścisnęliśmy mocno ich przednie uchwyty. Zgasiliśmy papierosy i wobec ciszy panującej na zewnątrz naszego małego obozu, utwierdziliśmy się w przekonaniu o naszej przewadze. Czuję, że jestem swoją własną karykaturą, że nasza siła jest sztucznie napompowana. Kiedy się odzywaliśmy, mówiliśmy szorstkim i cichym głosem, pogłębiając jego tembr.

Światła ustawiły się w bardziej regularnej linii i zaczęło nas dochodzić wycie silników, po czym światła zniknęły, a my ujrzeliśmy chmurę kurzu, przetaczającą się nad ziemią i zmierzającą ku nam od frontu budynku nieopodal drogi. Porucznik obszedł nasze pozycje obronne, nawołując cicho:

– Pozostańcie czujni. Pozostańcie żywi.

Zza budynku wynurzyło się w pośpiechu dwóch młodych sierżantów, którzy rozdzielili się i ruszyli ku dwóm przeciwległym krańcom muru. Następnie pojawił się pułkownik – był niski, rudowłosy i szedł z podniesioną wysoko głową, by wydawać się jak najwyższym. Miał ze

sobą reportera i kamerzystę. Porucznik zamienił z nim kilka słów, po czym obaj zwrócili się w naszą stronę.

– Jak tam wojna dziś w nocy, chłopaki? – zapytał pułkownik. Na jego widocznej w mroku twarzy zagościł szeroki uśmiech.

– Dobrze – odparł Sterling z tępym przekonaniem w głosie.

Pułkownik, jak gdyby potrzebując potwierdzenia, podchodził nieśpiesznie do każdego z nas i spoglądał nam w oczy, dopóki wszyscy nie zapewniliśmy go: „Tak jest, panie pułkowniku, dziś w nocy jest dobrze”.

Nawet w przerywanym świetle wyraźnie rzucała się w oczy świeżość jego munduru. Kiedy się do nas zbliżał, czuć go było krochmalem. Skrzyżował ręce na piersi i rozpoczął przemowę, a z jego twarzy zniknął uśmiech. Przez moment zastanawiałem się, która jego twarz była tą prawdziwą, a on tymczasem zdążył wyciągnąć kartkę papieru i zaczął z niej czytać, robiąc przy tym krótkie pauzy, by upewnić się, czy reporter go słucha.

– Kręcicie to?

– Proszę kontynuować. Niech pan udaje, że nas tu nie ma.

Pułkownik odchrząknął, wyciągnął z kieszeni okulary i umieścił je na grzbiecie nosa. Jeden z sierżantów zbliżył się i małą latarką oświetlił pułkownikowi kartkę.

– Chłopcy – powiedział pułkownik – wkrótce otrzymacie rozkaz użycia wielkiej przemocy w imię dobrej sprawy.

Przechadzał się w tę i z powrotem, a żaden z odcisniętych w drobnym pyłe śladów jego butów nie został przy tym zdeptany. Każdy krok był precyzyjnie odmierzony i kolejne przejścia służyły jedynie utrwaleniu i uczynieniu pierwotnych śladów jeszcze wyraźniejszymi. Sierżant z latarką kroczył tuż obok.

– Wiem, że nie muszę wam mówić, z jakiego rodzaju przeciwnikiem przyjdzie się wam zmierzyć – w miarę jak pułkownik nabierał wiary we

własne zdolności motywacyjne, jego głos przechodził w tępe *staccato*, brzmiał jak maczuga, wyrównująca wymęczone fałdy mojego mózgu.

– W tej oto ziemi pochowany został Jonasz. To tutaj prosił on Boga o nadejście bożej sprawiedliwości – ciągnął pułkownik. – My jesteśmy tą sprawiedliwością. Chciałbym móc wam obiecać, że wszyscy wrócimy do domu, ale nie mogę tego uczynić. Niektórzy z was z nami nie wrócą.

Wtedy czułem się poruszony, ale dziś z całej tamtej przemowy najlepiej pamiętam pychę pułkownika, jego zadowolenie z własnej bezpośredniości, a także lekceważenie, z jakim traktował nas – jednostki.

– Jeśli zginiecie, wiedźcie jedno: wsadzimy was do pierwszego samolotu lecącego do Dover. Wasze rodziny okryje największa możliwa chwała. Skoro tamte sukinsyny chcą walki, będą ją mieli.

Umilkł. Teraz sprawiał wrażenie bardzo roztkliwionego.

– Nie mogę pójść z wami, chłopcy – wyjaśnił z żalem – ale przez cały czas będę w kontakcie z wami w centrum operacyjnym. Zgotujcie im piekło.

Porucznik zainicjował oklaski. Mieliśmy zachować ciszę i zaciemnienie, ale rozkaz poszedł w niepamięć wraz z pojawieniem się ekipy telewizyjnej oraz gównianej imitacji Pattona. Widziałem, że pułkownik czuł się rozczarowany. Zerknąłem na pozostałych ludzi z mojego plutonu, żeby sprawdzić, czy zdołam wyczytać coś z ich twarzy. Murph wpatrywał się w czubki swoich butów. Sterling słuchał uważnie, przyklęknąwszy na jednym kolanie pod drzewem głogu. Ogniska widoczne w mroku zamieniły się w światełka, wirujące pod powiekami moich zamkniętych oczu.

Pułkownik dał znak porucznikowi, wyciągając ku niemu rękę z wnętrzem dłoni skierowanym do góry.

– Poruczniku, teraz należą do pana.

– Dziękuję, sir – porucznik odchrząknął trzykrotnie. – W porządku, chłopaki, dziś w nocy wartę trzyma połowa składu plutonu. Wyjdziemy

stąd tuż przed świtem i pod osłoną ciemności pokonamy tamten otwarty teren.

Kilka szybkich spojrzeń powędrowało ku pustej przestrzeni pomiędzy naszym stanowiskiem a właściwą częścią miasta. Było o wiele za ciemno, by móc dokładnie się jej przyjrzeć, ale mającące tam obrazy przypominały oglądane nocą akwaforty. Trupi odór odcinał się wyraźnie od innych woni, dochodzących z Al Tafari. Płonące śmieci, ścieki, ciężka woń suszonej baraniny, zapach rzeki – nad tym wszystkim górował smród rozkładu, unoszący się z martwych ciał. Miałem nadzieję, że podczas naszego nocnego marszu uda mi się nie wdepnąć w żadne z tych śliskich paskudztw; na samą myśl o tym moje ramiona zdrząły, wstrząśnięte krótkim dreszczem.

– Oczyszczimy otwarty teren i pójdziemy tą drogą, która biegnie wokół miasta. Zabudowania na przedmieściach zapewnią nam osłonę. Kiedy dotrzemy do sadu, rozproszymy się wzdłuż tego rowu – porucznik wskazał na mapę, oświetloną bladozielonym blaskiem chemiluminescencyjnej pałki. Mapa pokazywała wąską ryse w ziemi, za którą stały stłoczone budynki; od drzew rosnących na krawędzi sadu dzieliło to miejsce niespełna czterdzieści metrów. – Jakies pytania?

– Co potem? – zapytał ktoś.

Porucznik zerknął nieśmiało na pułkownika, przygryzł wargę i odparł:

– Właśnie tam są. Wchodzimy tam.

Zapadła cisza. Wyglądało na to, że wszyscy odmierzamy w myślach odległości, które mieliśmy pokonać nad ranem. Zakręty na drodze pomiędzy narożnikami budynków, tu niski mur, tam odwrócony do góry dnem pojemnik na śmieci, który mógł posłużyć nam za osłonę. Drzewa były na tyle niskie, że mogliśmy wkroczyć do sadu przygarbieni, idąc pośród liści i gałęzi, które ugiwały się niegdyś pod ciężarem oliwek oraz cytrusów; rzędy drzew były tam tak regularne, że wydawało się nam, iż

będziemy mieć widok na przestrzał z jednego krańca świata na drugi. Ale sad był na to o wiele za duży. Wtedy jeszcze nie mieliśmy o tym pojęcia, bo nigdy nie widzieliśmy go od środka. Rozciągał się na powierzchni wielu hektarów, pomiędzy dwoma wyższymi pasmami bezdrzewnej, porośniętej jedynie trawą ziemi, która opadała w kierunku miasta. Podłoże wąskiej doliny było miejscami płaskie, miejscami dźwigało się ku górze, całe porośnięte owocowym starodrzewem o dwu- lub trzykrotnie szczepionych gałęziach.

Naszą uwagę przykuł nagle głos pułkownika.

– Przez dwie godziny przed świtem będziemy zarzucać tę szczurzą norę granatami z moździerzy. Kiedy wy dotrzecie na miejsce, granaty będą nadal szatkować te małe drzewka. Liczymy na was, chłopcy. Naród Stanów Zjednoczonych na was liczy. Możliwe, że w całym waszym życiu nie zrobicie nic równie ważnego.

Energicznymi okrzykami ponaglił dwóch sierżantów i reporterów wojennych, których ze sobą przyprowadził. Puścili się truchtem spod muru w kierunku frontu budynku. Rozległ się dźwięk odpalanego silnika samochodu. Zanim odjechali, usłyszałem jeszcze, jak pułkownik pyta jednego z reporterów, jak wypadły zdjęcia.

– Niech to diabli – powiedział Murph.

– Co?

– Myślisz, że to naprawdę najważniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobimy, Bartle?

Wypuściłem powietrze z płuc.

– Mam nadzieję, że nie.

Porucznik ponownie usiadł na swoim krzeselku. Radio znowu zaczęło wydawać ciche trzaski i pomruki. Wiatr wydawał się przybierać nieco na sile, a my powróciliśmy do obserwowania płonących na wzgórzach ogni. Porucznik wyglądał na przestraszonego i zmęczonego; pocierał czubkami

palców skazę na twarzy. Zazwyczaj zapominałem o tym, że jest ledwie kilka lat starszy od reszty z nas, miał jakieś dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery lata. Nigdy nie znalazłem czasu, by go o to zapytać. Sprawiał jednak wrażenie o wiele starszego, zupełnie jak Sterling, i w taki też sposób się zachowywał. A może po prostu to my przypisywaliśmy mu kilka dodatkowych lat, ponieważ zdążył już robić rzeczy, których my nigdy nie doświadczyliśmy: pił na imprezach w college'u w towarzystwie dziewczyn wystarczająco szalonych, by podpuszczone przez kolegów wbiegały do obcych pokojów; poza tym jeździł fabrycznie nowym samochodem.

– Ile razy byliśmy już w tym sadzie i w tym mieście, sir? – spytał starszy szeregowy z trzeciej drużyny.

– My, czyli nasze wojska?

– Tak, sir.

– To będzie trzeci raz.

– Za każdym razem jesienią?

– Tak, wychodzi na to, że walczymy o to miasto co roku.

Pomyślałem o wojnie mojego dziadka. O tym, że mieli wtedy jakieś cele i do czegoś dążyli. A także o tym, że nazajutrz będziemy maszerować pod słońcem wiszącym nisko ponad równinami na wschodzie. Wrócimy do miasta, które rokrocznie walczy w tej bitwie; zorganizujemy powolną, krwawą jesienną paradę, która uświetni zmianę pór roku. Wyprzemy ich stamtąd. Zawsze ich wypieraliśmy. Wyzabijamy ich. Oni będą do nas strzelać i urywać nam kończyny, umykać ku wzgórzom i wadi, wycofywać się do alejek i zakurzonych wiosek. A potem wrócą, my zaś zaczniemy wszystko od nowa, pozdrawiając ich machaniem, gdy oparci o latarnie i rozwinięte zielone markizy będą popijali herbatę przed swoimi sklepikami. Patrolując ulice, będziemy rzucać cukierki ich dzieciom, z którymi jesienią za kilka lat przyjdzie nam walczyć.

– Może zrobią z tego coroczną imprezę – burknął Murph.

Sterling wyszedł z za drzewa głogu, gdzie zajmował się czyszczeniem i ładowaniem broni, a także zaklejaniem luźnych, ruchomych części ekwipunku taśmą samoprzylepną, żeby zapobiec ich pobrząkiwaniu.

– Patrz i słuchaj, chłoptasiu – powiedział do Murpha, po czym podskoczył, trzymając ręce wzdłuż ciała. Cisza. Jedynym dźwiękiem, jaki dało się słyszeć, był miękki odgłos jego butów, ubijających drobny piasek. – W porządku. Dobrze. Bartle, podejdź no tu, proszę.

Podszedłem do Sterlinga i Murpha i przyjrzałem się, jak Sterling zakleja czarną taśmą izolacyjną lśniące metalicznym blaskiem elementy wyposażenia, które podczas naszego marszu w przedświcie mogłyby sterczeć i odbijać światło w stronę jakiegoś okna. Murph stał nieruchomo, podczas gdy Sterling wprawnie i starannie poprawiał jego ekwipunek. Na jego twarzy malowało się skupienie. Przygryzł wargę, zmarszczył brwi, a kąciki ust wykrzywił lekko ku dołowi. Kiedy skończył, przesunął dłońmi wzdłuż ciała Murpha w niemalże pieszczotliwym geście.

– Spróbuj – polecił.

Murph obejrzał się na mnie i podskoczył; ani jedna rzecz nie drgnęła ani nie brzęknęła.

– Twoja kolej, Bartle.

Sterling powtórzył ze mną całą procedurę, z taką samą troską na twarzy. Kiedy podskoczyłem, nie rozległ się żaden dźwięk, a Sterling klepnął ręką w mój hełm.

– Sierżancie – spytałem – myśli pan, że będziemy tu walczyć co rok?

– Do diabła, tak, szeregowy! – odparł. – Byłem tu za pierwszym razem. O tym gównie będzie głośniejsze niż o meczu Ohio State z Michigan.

Zachichotał. Wyczuł, że znowu jestem zdenerwowany.

– Nie martwcie się. Poradzimy sobie jutro, nie? Po prostu idźcie za mną, róbcie, co mówię, i zanim się obejrzyicie, będziemy z powrotem w bazie.

Uśmiechnął się do nas obu. Osobliwe światło latarni sprawiało, że wydawał się łagodniejszy.

– Okej, sierżancie. Jasne. Będziemy za panem szli przez cały czas.

Nad ranem obudził nas przenikliwy świst pocisków mózdzierzowych, które zakreślały łuk nad naszymi pozycjami, po czym spadały na sad, wciąż pogrążony w ciemnościach. Niebo miało barwę jasnego węgla drzewnego. I wtedy stało się ze mną to, co zawsze przydarzało mi się przed walką: opanowało mnie uczucie, jakiego nie doświadczałem nigdy wcześniej, zanim nie pojechałem walczyć na tej wyżynnej pustyni. Za każdym razem, gdy się pojawiało, szukałem wytłumaczenia, dlaczego w mojej piersi zaciska się węzeł; szukałem czegoś, co pomogłoby mi zrozumieć drżenie opanowujące moje uda i narastającą śliskość i niezdarność moich palców. Murphowi niemalże udało się kiedyś to opisać. Pewien reporter pytał nas wtedy, jakie to uczucie, znaleźć się w boju. Miał na sobie ubranie w kolorze khaki, przyozdobione kieszeniami, a także lotnicze lustrzane okulary, które mogły cię oślepić z odległości stu metrów. Wkurzało nas, że się nam pęta pod nogami, ale rozkazano go tolerować, kiedy więc pewnego razu w bazie podszedł do naszej grupy, wylegującej się na zakurzonej ziemi pod wielkim cienistym drzewem, i zagadnął: „Powiedzcie mi, w czym tkwi całe sedno, chłopaki, bo chciałbym zrozumieć, skąd bierzecie tego kopa przed walką”, większość z nas go zignorowała, a kilku poradziło mu, żeby się odpiardolił; tylko jeden Murph spróbował mu to wyjaśnić. Powiedział: „To coś jak wypadek samochodowy. Rozumiesz? Ta chwila między uświadomieniem sobie, że to się wydarzy, a momentem, w którym już faktycznie pakujesz się w ten drugi samochód. Czujesz się naprawdę całkiem bezradny; jedziesz sobie jak zwykle, po czym nagle masz to tuż przed oczami i gównem możesz zrobić. I zdajesz sobie z tego sprawę. Śmierć lub coś innego: albo nastąpi, albo nie. To coś w tym rodzaju – ciągnął dalej – coś jak tamten ułamek sekundy w rozbitym samochodzie, tyle tylko, że tutaj może to trwać całymi

cholernymi dniami”. Na chwilę przerwał. „Dlaczego nie wybierzesz się z nami i nie przekonasz się na własnej skórze? Wtedy na pewno zrozumiesz”. Po tym reporter się wycofał, coś w naszym śmiechu sprawiło, że zająknął się pod nosem i opuścił miejsce zajmowane przez nasz pluton. Ale Murph miał rację co do tego uczucia, bo za każdym razem, kiedy go doznawałem, moje ciało mówiło mi, że nie potrafi wytrzymać napięcia mięśni, i pociło się. Skoro jednak ciągle tak miałem, starałem się nie zwracać na to uwagi.

– Od teraz obowiązuje cisza i zaciemnienie, chłopcy – wyszeptał porucznik.

Cieszyłem się, że nie idę na szpicy. Że nie jestem tym, który pierwszy przełożył nogi ponad niskim murkiem oddzielającym nasze stanowisko od otwartego pola i ruszył w kierunku szarych kształtów miasta.

Podczas gdy nasza drużyna czekała na swoją kolej do wymarszu, Sterling wyjął z plecaka małą puszkę soli. Pamiętam, że na etykiecie zobaczyłem obrazek dziewczyny z parasolem. Sól Mortona, jak sądzę. Sterling odkręcił wieczko i zaczął wytrząsać zawartość puszek na ziemię pod drzewem głogu. Popatrzyłem na Murpha, który odwzajemnił moje pytające spojrzenie, i obaj podeszliśmy do Sterlinga.

– Yyy... wszystko w porządku, sierżancie? – spytał Murph.

Sterling rozsypywał sól w miejscu, w którym siedzieliśmy minionej nocy.

– To z Księgi Sędziów – odparł, praktycznie nie zwracając na nas uwagi. Potem podniósł wzrok i nie dostrzegając nas, popatrzył w dal, gdzie ponad linią horyzontu koniec nocy szykował się do tego, by objawić się jako dzień. – Zbierajcie się, chłopaki – powiedział. – Ja po prostu tak robię.

Wyruszyliśmy więc. W oddali, ledwo widoczny, podążał za nami Sterling, rozrzucający sól po polach i drózkach, rzucający ją na martwe ciała i kurz, który wydawał się pokrywać cały Al Tifar. Rozrzucał ją wszędzie tam, gdzie przechodził, przez cały czas śpiewając lub mrucząc coś tonem,

jakiego żaden z nas nigdy u niego nie słyszał. Był to przyjemny, przyjazny głos, który, choć nie byliśmy w stanie rozpoznać poszczególnych słów, napawał nas przerażeniem.

– Bart, jemu chyba coś się zaczyna pierdolić – odezwał się Murph.

– Chcesz mu o tym powiedzieć? – zapytałem.

Pociski z moździerzy wciąż spadały. Kilka razy na minutę wzdrygaliśmy się od huku głośnych uderzeń, brzmiących tak, jakby w sadzie ktoś walił w kotły. Płonęły niewielkie pożary. Dym wznosił się pośród postrzępionych liści. W pewnej chwili, kiedy już niewiele dzieliło nas od brzasku, Murph oświadczył:

– Sprawdzę, co kombinuje Sterling.

Uniósł karabin, by spojrzeć wstecz przez celownik optyczny.

– No i?

Nastąpił krótki rozbłysk światła, pierwsze słabe promienie słońca wspięły się właśnie na pagórki na wschodzie i padły na dachy i blade fasady budynków. Obejrzałem się do tyłu i przyłożyłem dłoń do brwi, starając się skupić wzrok na postaci Sterlinga, ledwo dostrzegalnej w ustępujących ciemnościach.

– No i? – powtórzyłem. – Co on robi?

Postać w oddali nie poruszała się. Być może cała sól została już rozsypana na tym niewielkim skrawku przedmieść Al Tafari. Byliśmy bardzo blisko sadu i moje nogi nie przestawały dygotać ze strachu.

– Murph, co on tam robi?

Murph opuścił karabin. Usta miał otwarte. Zamknął je, a potem przemówił.

– Nie wiem, człowieku. Dorwał jakieś zwłoki – Murph spojrzał na mnie wybałuszonymi oczami. – I już się nie uśmiecha.

5

MARZEC 2005

Richmond, Wirginia

Chmury zalegały nad Atlantykiem niczym brudna pościel na nieposłanym łóżku. Przyglądałem im się ze świadomością, że gdyby można było w dowolnym momencie przeprowadzić stosowne pomiary, to pokazałyby one, jak bardzo wątła jest władza mojego umysłu nad sercem. Takie drobne ustalenia nadają życiu znaczenie i choć ciężko nawet w przybliżeniu zdefiniować, czym właściwie jest owo serce, to bez wątpienia właśnie ono ponagla mnie do wyrwania się z nawiasów, jakimi były początek i koniec mojej wojny: tamto minione życie zaczęło znikać w wiszącym nad Niniwą, kłębiącym się kurzu, zanim jeszcze zdążyłem je sobie przypomnieć lub za nim zatęsknić, życie młode i nieukształtowane, które nawet w moich najwcześniejszych wspomnieniach jawi się już jako złamane. Wracalem do domu. Ale przywołanie jego obrazu również przychodziło mi z trudem; jeszcze trudniej było mi wykroczyć myślami poza ostatnią pofałdowaną połąć pustyni, gdzie, niczym jedno z niezliczonych ziaren piasku, pozostała większa część mnie. Tak jak poddany procesowi wietrzenia kamień ostatecznie nie jest już całością, lecz tym, co skruszało, rezultatem i przykładem powolnej erozji przedmiotu na skutek uderzeń wiatru lub fal, tak samo każdy, kto uczestniczy w wojnie, kończy na podobieństwo mułu osadzonego u ujścia rzeki lub na jej dnie, w mieście, które jest wszystkim, co potrafi sobie przypomnieć.

Mówią, że ciągu dalszego łatwo się już domyślić. Moim zdaniem to bzdura. Dalszy ciąg zależy od wyobraźni albo nie ma go wcale, a i tak musi być, ponieważ wszystko, co zostało na tym świecie stworzone lub

wytworzone, może zostać zniweczone, cofnięte; włókna, z których spleciono linę, można rozpleść. A jeśli lina ta służy za prowadnicę promu, który bez niej nie dotrze na drugi brzeg, to trzeba wymyślić sposób, by spleść ją ponownie, bo inaczej utoniemy w prądach przecinających nasz szlak. Obecnie pogodziłem się już z faktem – choć, prawdę mówiąc, zajęło mi to trochę czasu – że przyzwolenie na konieczność jest w nią bezwarunkowo wpisane.

Przebaczenie to całkiem inna sprawa. Nie układa się w żaden regularny wzór, jest z nim inaczej niż z grupą chłopaków, którzy mogą stać się wyznacznikiem tego, co pozostanie nieopłakane, których ramiona osuwają się w fotelach wycarterowanego samolotu, kiedy siedzą oddzieleni pustymi miejscami, a gdyby Bóg spojrział na nas podczas tego powrotnego lotu do kraju, mógłby uznać, że pogrążeni w obezwładniającej pustce naszego snu przypominamy tkaninę, gotową do narzucenia na meble w tysiącu opustoszałych domów.

Wpatrywałem się w okno, próbując dostrzec przez nie ocean – robiłem to, odkąd koła samolotu oderwały się od ziemi. Na pokładzie rozległ się wtedy przytłumiony okrzyk, który przetoczył się od kabiny pierwszej klasy aż po miejsca z tyłu samolotu, zajmowane przez szeregowców. W chwili, kiedy samolot wzbił się w powietrze, zostawiając pod sobą ziemię, z naszych piersi wydobyło się głębokie westchnienie, które zmieniło się w wybuch radości. Oficerowie i podoficerowie odwrócili się w swoich obszernych fotelach, zaczęli wymachiwać rękami i krzyczeli, my również zaczęliśmy krzyczeć i uśmiechać się, powoli, jak gdyby nasze ciała znajdowały się pod wodą.

Samolot osiągnął wysokość przelotową. Lot z Niemiec do Stanów był względnie krótki. Ocean Atlantycki stanowił ostatnią przeszkodę na naszej drodze do domu, do kraju ludzi wolnych, reality show, outletowych centrów handlowych i zakrzepicy żył głębokich. Ocknąłem się z głową opartą

o okno, nie zdając sobie sprawy, że spałem. Moja dłoń drgnęła, by zacisnąć się wokół kolby karabinu, którego tam nie było. Siedzący pod drugiej stronie przejścia podoficer z trzeciego plutonu zauważył to i uśmiechnął się.

– Mnie zdarzyło się to dzisiaj już dwa razy – powiedział.

Nie poczułem się przez to lepiej.

Spojrzałem na ludzi z naszego batalionu, rozrzuconych po samolocie. Ilu było takich, którym się nie udało? Murph. Trzech specjalistów z kompanii Bravo, zabitych przez zamachowca samobójcę w stołówce. I kilku innych w ciągu całego roku. Jeden z kompanii sztabowej, zabity na terenie bazy przez pocisk z moździerza. I jeszcze jeden, którego nie znałem, ale słyszałem, że zabił go snajper. Jeszcze dziesięciu innych? Dwudziestu?

Ogorzała skóra tych, którzy przetrwali, odcinała się teraz od niebieskich siedzeń i okrywających ich cienkich kwadratowych koców. Wzdrygali się, postękiwali i przewracali się z boku na bok w fotelach klasy biznes. Wyrzrałem przez okno i zorientowałem się, że noc jeszcze nie zapadła, choć moje ciało już kilka godzin wcześniej wyczuwało jej nadejście. Podróżowaliśmy wraz ze słońcem, więc przynajmniej przez jakiś czas byliśmy wolni od jego dyktatu światła i ciemności. Kiedy przerzedziły się chmury, zacząłem obserwować rozpościerający się przede mną ogrom oceanu. Skupiałem wzrok – zdawało mi się, że całymi godzinami – na spienionych grzbietach przechodzących w doliny, które następnie wypiętrzały się i zmieniały w białe grzywy, a wszystko to przypominało łamanie jakiegoś pradawnego paktu, zawartego przez te wrogie sobie siły.

Grupa pracowników administracji, którzy nie spali, wciskała raz po raz przyciski wzywające obsługę samolotu, żeby zmusić stewardesy, by krążyły po pokładzie i pochylały się nad nimi, roztaczając duszny aromat bzu i wanilii, którym pachniały ich opalone dekolty. Te starsze wykonywały swoje zadanie z widoczną rutyną, mocno ściągając do tyłu ramiona i demonstrując skórę, przypominającą brązowy woskowany papier.

Po jakimś czasie zabawa ta chyba się w końcu urzędnikom znudziła, bo w samolocie zapadła cisza. Uszy wypełniało mi już tylko monotonne buczenie silników. Przekroczyliśmy linię brzegową z piasku, skał oraz krzaków ostu, a ja rozpoczynałem w myśli wciąż to samo zdanie, którego nie potrafiłem dokończyć. „Chcę wrócić do... Chcę wrócić... Chcę...” I wtedy wybrzeże zazieleniło się – wlecieliśmy dalej w głąb lądu. Ziemię znaczyły tam niebieskie niecki basenów, brązowe pola boisk oraz labirynty z domów, ułożonych obok siebie niczym własne dziwaczne kopie. I do tego zieleń. Było tam niesamowicie wręcz zielono. Drzewa zdawały się wyrastać z każdego cala kwadratowego powierzchni. Była wiosna i niektóre z nich rozkwitały, lecz z tej wysokości nawet ich kwiaty wydawały się zielone i było tak zielono, że gdybym tylko mógł, wyskoczyłbym z samolotu, byle przez moment unosić się ponad tą zielonością, by pozwolić jej się zmaterializować i stać się tak zupełną i obfitą, jaką ją sobie wyobrażałem. I kiedy myślałem o tym, jak wyglądałby mój lot w dół i że tuż przed rozprysnięciem się po powierzchni zaczerpnąłbym ostatni oddech zieleni, przypomniałem sobie ostatnie słowo: dom. Chcę wrócić do domu.

– Wstawaj. Jesteśmy na miejscu – oznajmił porucznik.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem tablicę na zewnątrz terminalu, wystawioną na tarposzące podmuchy wiatru. Dziękowała nam za naszą służbę i witała nas z powrotem w Stanach.

To był już koniec. Drzwi otworzyły się i niepewnym krokiem ruszyliśmy po trapie w kierunku jasnych świateł portu lotniczego. Na widok jego lśniącego wnętrza oraz wijących się kształtów małych neonowych liter na tle białych ścian i białych podłóg poczułem zamęt w głowie. Mój umysł zaszedł mgłą. Zobaczyłem wyłaniającą się z ciemności krainę. Rozścielała się stopniowo, najpierw przedgórza i niewielkie góry, a potem, u stóp zachodniej ściany Pasma Błękitnego, w różowym świetle zmierzchu, pod zalegającymi godzinami, rozpostarły się miękko równiny. Pomiędzy

wybrzeżami, niczym kwiaty nawłoci i białe kule dmuchawców na orszynie, wyrósł rok, który nie był moim udziałem.

Przeszliśmy przez specjalną bramkę i stanęliśmy w zimnym, sztucznym świetle lamp, nasłuchując ich brzęczenia i szmeru. Jeszcze tylko kilka ostatnich słów ze strony oficerów i starszych podoficerów i będziemy wolni. To, co zwyczajne, stało się niezwykle, to, co niezwykle, stało się nudne, natomiast wszystko to, co mieściło się pomiędzy, budziło we mnie jedynie otępiającą konsternację.

Porucznik wygłosił krótką pogadankę na temat bezpieczeństwa. Standardowe kwestie:

– Pamiętajcie o gumkach. Nie prowadźcie po pijanemu. Jeśli dziewczyna zacznie was wkurzać, to pamiętajcie...

– ...zamiast dać jej po pysku, pomyślcie o uścisku! – dokończyliśmy zgodnym chórem.

Staliśmy w szeregu, dopóki pierwszy starszy sierżant nie zakrzyknął: „Rozejść się!”, ale nawet wtedy nie zrobiliśmy tego od razu. Pozostałości naszego oddziału rozchodziły się powoli, odrywając się od środka formacji, co przypominało rozlewanie się kropli oleju upuszczonej na wodę. W oczach niektórych żołnierzy dostrzegłem zmieszanie. Usłyszałem nawet, jaki kilku mówi: „I co teraz?”. Mnie również przemknęło przez głowę to pytanie, ale zacisnąłem wtedy dłonie, wbijając paznokcie w skórę, dopóki nie pękła, i pomyślałem: „Nie ma mowy, do diabła, nie ma mowy, teraz już coś innego”.

Przy każdej z mijanych bramek widziałem puste siedzenia, a na nich duchy zmarłych: chłopców, których mózdzierze, rakiety, pociski i fugasy pokieroszowały do tego stopnia, że kiedy próbowaliśmy wsadzać ich do pojazdów ewakuacyjnych, skóra ześlizgiwała się im z ciała, a kończyny ledwo się trzymały. Pomyślałem, że byli młodzi i mieli swoje dziewczyny, a także marzenia, które, jak im się zdawało, czyniły ich życie ważnym.

Mylili się, rzecz jasna. Kiedy jesteś martwy, nie masz żadnych marzeń. Ja marzę. Marzę na jawie, choć nie jest to coś, za co mógłbym być wdzięczny.

Skierowałem się do jedyne­go otwartego w terminalu baru i usiadłem na stołku, który sprawiał wrażenie, jakby jeszcze tego samego wieczoru przywieziono go z fabryki. Wszystko, zarówno w barze, jak i na całym lotnisku, wydawało się nowe i sterylne. Płytki na podłodze były tak czyste, że mogłem dostrzec na nich drobne ślady pyłu, pozostawione przeze mnie trzy minuty temu, zupełnie jakby później miały wskazać mi drogę powrotną. Zamówiłem piwo i położyłem pieniądze na kontuarze z jasnego drewna, polakierowanym do takiej gładkości, że jego powierzchnia przypominała lustro. Kiedy ujrzałem na niej dziwne, sosnowe odbicie mojej twarzy, odsunąłem nieco stołek. Zauważyłem sprzątacza, który mył mopem długą, wyłożoną ceramicznymi płytkami alejkę między bramkami, przełknąłem łyk piwa i zacząłem przyglądać się drobinom pyłu, tworzącym na podłodze mój ślad.

– Hej, szefie! – zawołałem.

Sprzątacznik był starszy, ale nie stary; przyciągnął do mnie mopa i oparł na jego czubku skrzyżowane ręce.

– Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale czy nie miałbyś nic przeciwko, żebym przetarł twoim mopem podłogę? – zacząłem podnosić się ze stołka z zamiarem wytarcia smugi, którą pozostawiłem na podłodze, gdy zauważyłem, że mężczyzna spogląda w dół.

– Po co?... Na podłodze nic nie ma, synu. Nie przejmuj się. – Wyciągnął rękę, żeby klepnąć mnie po ramieniu, ale ja odwróciłem się w stronę baru, wziąłem swoje piwo i dopiłem je. Pokazałem na kontuar i położyłem kolejne dolary na tych, których barman nie zdążył jeszcze zebrać.

– Przepraszam. Pomyślałem sobie... – musiałem na chwilę odpłynąć myślami, bo nie zauważyłem, kiedy sprzątacznik się poruszył. Dostrzegłem za to, jak końcówka mopa zatacza wąskie łuki po wskazanym przeze mnie

wcześniej fragmencie podłogi. Następnie mężczyzna oddalił się, ciągnąc za sobą po hali brudnoszare frędzle mopa.

Nasze postaci odbijały się nie tylko w wypolerowanym do lustrzanego połysku barze, ale także w wychodzących na pas startowy oknach; sprawiało to żółte światło, które w specyficzny sposób wypełniało budynek lotniska. Piłem dalej.

– Wracasz czy wyjeżdżasz? – zagadnął barman.

– Wracam.

– Skąd?

– Irak.

– Pojedziesz tam jeszcze?

– Nie sądzę. Nigdy nie wiadomo – powiedziałem.

– Pilnujecie tam swoich tyłków?

– Tak. Najlepiej jak się da.

– To okropne, jeśli chcesz znać moje zdanie.

– Co takiego?

– Szlag mnie trafia, że musicie tam siedzieć.

Uniosłem piwo w jego stronę.

– Dzięki.

– Powinniśmy zrzucić tam atomówkę i cofnąć tych piaskowych czarnuchów do epoki kamienia łupanego. – Zaczął wycierać ścierką kontuar. Dokończyłem piwo, położyłem pięć dolarów na barze i poprosiłem o kolejne. Postawił je przede mną i dodał: – Zmienić całe tamto miejsce w szkło.

Nie odpowiedziałem.

– Z tego, co słyszę, pełno tam dzikusów.

Podniosłem wzrok i spojrzałem na barmana. Uśmiechał się do mnie.

– Tak... Coś w tym rodzaju.

Lot, na który czekałem, był jednym z ostatnich z tej nocy. Z głośników usłyszałem komunikat, że samolot do Richmond kołuje już na swoje stanowisko. Stosik pieniędzy nadal leżał na barze.

– Jestem winien za piwa – powiedziałem.

Barman pokazał na żółtą wstążkę, przypiętą do ściany pomiędzy dużym, błyszczącym fotosem gwiazdy jakiejś telenoweli, a wyblakłym wycinkiem z gazety, który przedstawiał mężczyznę z gigantycznym sumem leżącym na masce czerwonego forda pikapa z zardzewiałym przednim nadkolem.

– Co to oznacza?

– Że ja stawiam – uśmiechnął się barman. – Przynajmniej tyle mogę zrobić.

– Nie. Chcę zapłacić.

Nie miałem ochoty uśmiechać się i dziękować. Nie chciałem udawać, że zrobiłem cokolwiek ponad to, że przetrwałem.

Barman wyciągnął ku mnie rękę, by uścisnąć mi dłoń, a ja podniosłem pieniądze, wręczyłem mu je, po czym odwróciłem się i wyszedłem.

Kiedy wszyscy pasażerowie zajęli już swoje miejsca, pilot wygłosił komunikat. Poinformował nas, jak bardzo jest zaszczycony, mogąc podrzucić do domu amerykańskiego bohatera. „Pieprzyć to” – pomyślałem. Z tej okazji dostałem cztery darmowe kolejki jacka danielsa z colą i nieco dodatkowego miejsca na nogi. Potem, późną nocą, kiedy przelatywaliśmy przez czarne, bezgwiazdne niebo nad Wschodnim Wybrzeżem, podczas gdy inne samoloty, z innymi żołnierzami na pokładzie, wzbijały się w powietrze z dziobami skierowanymi ku kolegom z liceum i osiemnastoletnim dziewczynom, ku imprezom pod gołym niebem oraz brzegom strumieni i stawów, gdzie młodzi chłopcy godzinami spacerowali w milczeniu po tym, jak ujmowali w dłonie piegowate ramiona dziewcząt, wyczuwając ich skórę pod muśnięciami rudych, brązowych lub złocistych włosów i nie wiedząc, co robić dalej, w te same dłonie, które później składali

w modlitewnym geście i modlili się, nie zdając sobie sprawy, że się modlą – „Boże, proszę, nie pozwól, żeby świat zawsze wymykał mi się z rąk” – i porzucali płonące jasno ogniska i odgłosy śmiechu, wychodzili poza krąg zaparkowanych na polu samochodów, przechodząc przez środek smug światła rzucanych przez ich reflektory i potykając się, wchodzili w zarośla, gdzie czuli, jak zwinięta pięść ich samotności zaciska się na jakiejś kości w ich piersiach, tak jakby była to najdelikatniejsza i najbardziej krucha kostka, jaką Bóg kiedykolwiek stworzył, potem, po tym wszystkim, zapadłem w pijany sen. Śniłem o drewnianych deskach na werandzie domu mojej matki, o tym, jak trzymają słoneczne ciepło na długo po zachodzie słońca; leżałem na ciepłym drewnie w chłodnym powietrzu, myśląc tylko o odgłosach wydawanych nad wodą przez żaby byki i cykady, i pragnąłem, by zawsze śnił mi się wyłącznie ten dźwięk.

A później znalazłem się na miejscu, tak po prostu i bez uprzedzenia. Siedziałem na zewnątrz, obok strefy dla palących, opierając policzki na dłoniach i zabawiając się liczeniem kulek gumy do żucia, którymi upstrzony był beton, kiedy usłyszałem zbliżający się warkot silnika. Nie podniosłem wzroku. Musiała dotknąć rękami mojej twarzy, dopiero to wyrwało mnie z zamyślenia.

Przycisnęła mocno dłonie do zagłębień w moich policzkach, potem cofnęła się.

– Och, John – powiedziała.

Ponownie zbliżyła się i mocno objęła mnie w pasie. Jej ręce naciskały i gładziły moje ciało. Poklepała przód mojego munduru, po czym raz jeszcze przysunęła dłonie do mojej twarzy i przycisnęła je do niej. Zauważyłem, że jej ręce były pomarszczone nieco bardziej niż pamiętałem, ich cienkie kostki przebijały nawet przez wewnętrzną stronę dłoni. Czy to na pewno był tylko jeden rok? Jej uścisk był silny, dotykała mnie mocno,

jakby chciała się upewnić, że nie jestem jedynie ulotną zjawą. Dotykała mnie tak, jakby robiła to po raz ostatni.

Odsunąłem jej dłonie od mojej twarzy i złączyłem je przede mną.

– Ze mną wszystko dobrze, mam – zapewniłem. – Nie rób sceny.

Rozpłakała się. Nie lamentowała ani nie zawodziła, po prostu powtarzała raz po raz moje imię.

– Och, John, och, John, och, John, och, John.

Po tym, jak oderwałem od twarzy jej ręce, wyszarpnęła jedną z nich i wymierzyła mi siarczysty policzek, trafiając w usta. W oczach stanęły mi łzy i oparłem głowę na jej piersi. Matka była niska, więc aby to zrobić, musiałem się nachylić. Przytrzymała mnie w tej pozycji, wciąż powtarzając:

– Och, John, teraz jesteś już w domu.

Nie wiem, jak długo tak staliśmy – ona i ja, przygarbiony, by móc znaleźć się w jej objęciach, ale zapomniałem o dźwiękach silników i o mijających nas ludziach, zapomniałem o podróżnych, którzy wykrzykiwali do mnie słowa podziękowań. W mojej świadomości istniała moja matka i tylko ona. Czuję się, jakbym w jakiś sposób ponownie znalazł się w bezpiecznym schronieniu łona, nietknięty i nietykalny dla świata poza jej ramionami, oplecionymi wokół mojego zgiętego karku. Wiedziałem o tym, choć nie mam pewności skąd. Jednak kiedy matka powiedziała: „Och, John, teraz jesteś już w domu”, nie uwierzyłem jej.

Podróż do domu autostradą międzystanową w starym chryslerze matki nie trwała szczególnie długo. Mniej więcej pół godziny. Uświadomiłem sobie, że przez ten czas w jakiś dziwny sposób usiłowałem zestroić się z krajobrazem. Wjechaliśmy na Most Pamięci Weteranów II Wojny Światowej nad rzeką James, a ja przypatrywałem się leżącej w dole rozległej dolinie. Podniosło się słońce i światło koloru niedojrzałych pomarańczy rozproszyło mgłę, która wisiała nad nisko położonym terenem.

Wyobraziłem sobie, jak stoję w tamtym miejscu. Nie taki, jakim mogłem być za kilka miesięcy, kiedy pływałbym w rzece wzdłuż jej brzegów, pod zwieszającymi się nisko pniami i konarami orzechów i czarnych olszy, ale taki, jakim byłem kiedyś. Wydawało mi się, że widzę siebie patrolującego w żółtym świetle pola wzdłuż rzeki, jakbym przeniósł wydarzenia z tamtego świata w kontury tego. Rozglądałem się w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłbym się ukryć. Pomiędzy wąską, nieutwardzoną drogą a linią wody dostrzegłem niewielkie zagłębienie terenu, które zamieniło się w koleinę, najpewniej po tym, jak po opadach deszczu koła jakiejś ciężarówki buksowały tam przez dłuższą chwilę, i uznałem, że to miejsce stanowiłoby dobrą kryjówkę, zapewniając osłonę z obu stron do czasu, aż postawienie ognia zaporowego pozwoliłoby nam się wycofać.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – spytała moja matka.

Na polu nie było nikogo. A już z pewnością nie było tam mnie. Głos matki przestraszył mnie i kiedy dojechaliśmy do drugiego krańca mostu, zdążyłem już wrócić do siebie.

– Tak, mam, w porządku.

Pozwoliłem zielonym smugom drzew wzdłuż autostrady oraz bocznych dróg uspokoić mnie i przynieść coś na kształt ulgi, aż w końcu skręciliśmy na nasz żwirowy podjazd. Trawnika od dawna nikt nie kosił.

– Co chcesz zrobić najpierw, skarbie? – spytała podekscytowanym głosem matka.

– Wezmę prysznic, a potem... Sam nie wiem, chyba się prześpię.

Było już prawie południe i była wiosna i staw za domem był spokojny. Z pomocą matki wtaszczyłem worek z moimi rzeczami do domu, potem poszedłem do swojego pokoju.

– Przygotuję śniadanie, John, twoje ulubione.

Jasne promienie słońca wpadały do środka przez drewniane żaluzje. Zamknąłem je i zaciągnąłem zasłony. Zgasilem światło i pociągnąłem za

łańcuszek zwisający z wentylatora na suficie. Szum jego skrzydeł zagłuszył dochodzące z ulicy odgłosy silników samochodów oraz cichy brzęk garnków w kuchni. Czułem woń tłuszczu i nieskoszonej trawy. Czułem zapach czystego domu i drewnianej ramy łóżka. Wszystko to były wypełniacze. Hałas i dźwięk istniały jedynie po to, by zajmować przestrzeń. Moje mięśnie wpasowały się w pustkę, którą wciąż nazywałem domem.

Pokój był ciemny i chłodny. Czułem się zmęczony. Złożyłem moją czapkę patrolówkę i odłożyłem ją na nocny stolik. Następnie zdjąłem bluzę. Potem pasek, który powiesiłem na słupku ramy łóżka. Usiadłem na łóżku, sięgnąłem w dół i rozsznurowawszy prawego buta, zdjąłem skarpetkę. W mętym półmroku zaśnił mój nieśmiertelnik, który zamotał się w sznurowadła lewego buta. Odplątałem go i usiadłem wyprostowany.

Znikałem. Wydało mi się, że w chwili, gdy skończę się rozbierać, w tym zaciemnionym pokoju, w to wiosenne popołudnie, pozostanie ze mnie tylko stos starannie poskładanych ubrań, zaś ja stanę się jeszcze jednym tematem któregoś z emitowanych w kablówce programów. „Dziś – powiedzieliby – kolejna ofiara rozplynęła się w powietrzu po powrocie do domu”. Dobrze. Pochyliłem się i dokończyłem rozsznurowywanie buta, po czym ponownie założyłem na szyję nieśmiertelnik, pozwalając mu zawisnąć obok drugiego. Lewy but i lewa skarpetka ściągnięte. Spodnie ściągnięte. Bielizna ściągnięta. Zniknąłem. Otworzyłem drzwi szafy i stanąłem przed lustrem. Ręce i twarz opaliły się rdzawo. Reszta ciała, blada i wychudzona, wisiała w lustrzanym odbiciu, jakby z własnej niezależnej woli. Westchnąłem i wślizgnąłem się pod chłodną pościel.

Umysł i ciało na przemian puchły i kłęsy przy szumie wentylatora. Dźwięki silników wibrowały w powietrzu, gdy samochody zbliżały się do naszego domu, a następnie cichły w oddali, gdy już go minęły. W przecince za linią drzew przejechał z przenikliwym hałasem pociąg, który najwyraźniej pędził prosto na moje łóżko, jak gdybym stał się jakąś masą,

przyciągającą szczęk metalu oraz sam metal. Moje oczy pulsowały w nierównym rytmie tętna. Wypuszczałem energicznie powietrze z płuc za każdym razem, gdy hałas przetaczał się obok, a jego źródło okazywało się zmierzać ku innemu celowi. Nie pamiętam, co mi się śniło, ale był tam Murph, Murph i ja, i te same duchy, które nawiedzały mnie każdej nocy. Nie pamiętam, o czym śniłem, ale wreszcie spałem.

6

WRZESIEŃ 2004

Al Tifar, prowincja Niniwa, Irak

Kiedy zbliżyliśmy się do sadu, z zewnętrznych rzędów drzew poderwało się stado ptaków. Nie zdążyły zabawić tam długo. Uwolnione od ich ciężaru gałęzie zadygotały, a stado na czerwonawym, łuskowatym od chmur niebie uformowało niezdarnie nakreślony semafor. Bałem się. Czułem zapach miedzi i taniego wina. Słońce już wzeszło, ale nad przeciwległym horyzontem poranne niebo nacinał, jak w dziecięcej książeczce z ruchomymi obrazkami, zawieszony nisko półksiężyc.

Ustawiliśmy się jeden obok drugiego w rowie, zapadając się po kostki w gęstym błocie. W tamtej chwili wszystko zdawało się być wynikiem kiepsko zaplanowanego eksperymentu z nieuchronności. Każda rzecz znajdowała się na właściwym miejscu i czekała na przerwę w czasie, aż znieruchomieje źródło wszelkiego ruchu i wszystko stanie się niczym więcej, jak tylko martwą organiczną materią, którą będzie można zewidencjonować. Świat, z tego, co czułem, był cienki jak papier. Świat był sadem, a sad był tym, co zdarzyło się potem. Ale nic z tego nie było prawdą. Po prostu bałem się śmierci.

W sadzie panowała cisza. Porucznik machnął ręką w prawo i w lewo, by przyciągnąć uwagę sierżantów i kaprali. Kiedy już mu się to udało, wykonał długi, zamaszty gest w kierunku sadu, po czym wydrapał się z rowu. Zrobiliśmy to samo. Jedynym słyszalnym dźwiękiem było stąpanie mniej więcej czterdziestu par butów, krocących po zakurzonej ziemi w tempie nie będącym ni biegiem, ni chodem, a także szmer naszych oddechów, który stał się głośniejszy, kiedy przygięliśmy się ku ziemi

i ruszyliśmy na spotkanie pierwszych niskich gałęzi i miękkiego poszycia sadu.

Szedłem. Szedłem, bo szedł Murph, a także Sterling i porucznik, i pozostałe drużyny, a mnie przerażała myśl o tym, że byłbym jedynym, który tego nie robi. Zanurkowałem więc pod zwieszające się nisko gałęzie i podążyłem wraz z plutonem w głąb sadu.

Pociski z moździerzy, które spadły na sad, poszarpały liście, owoce i ptaki, upodabniając wszystko do postrzępionych końcówek liny. Na ziemi leżały porozrzucane sterty wydartych piór i liści, wymieszanych ze skórkami porozbijanych owoców. Promienie słońca, które wpadły tu w roztargnieniu przez prześwity w koronach drzew, połyskiwały gdzieś, jakby na powierzchni wody, ilekroć natrafiały na plamy ptasiej krwi i zmiażdżonych cytrusów.

Drużyny posuwały się naprzód ustawione w łuk, żołnierze szli przygarbieni niczym starcy. Stawialiśmy nasze kroki ostrożnie, szukając wzrokiem rozciągniętych tuż nad ziemią drutów lub jakiegokolwiek śladu obecności nieprzyjaciela. Nikt nie zauważył, skąd otworzono ogień. Przez moment wydawało się, że strzelano gdzieś z daleka, pomiędzy drzew, a ja przyłapałem się na tym, że wpatruję się w zachwycie w cienie rzucane w świetle słońca, przenikającym między gałęziami. Kiedy pierwszy pocisk świsnął mi tuż przy głowie, wciąż myślałem o tym, że wszystkie cienie, jakie zdarzyło mi się widzieć podczas tej wojny, były kanciaste: cienie odcinane ostrymi plamami światła, padającymi zza bezliku budynków, anten i kształtów broni w plątaninach uliczek. Pocisk nadleciał tak szybko, że tamta myśl zniknęła z mojej głowy w niezauważalnie wręcz krótkiej chwili, więc zanim się spostrzegłem, inni chłopcy odpowiadali już ogniem. Też zacząłem strzelać i huk wybuchów w komorze naboju wdarł się do moich bębenków, zaczęło mi dzwonić w uszach i pogrążyłem się w głuchocie, jak gdyby ktoś uderzył w kamerton, wydobywając z niego ton

doskonały, którego brzmienie nałożyło na każdego w sadzie śluby milczenia.

Kiedy padły strzały, nie zauważyliśmy, skąd padają. Widzieliśmy jedynie strącane liście i tańczące wokół nas niewielkie odłamki drewna i grudki ziemi. Gdy dźwięczenie wywołane przez pierwsze wystrzały ustąpiło, usłyszeliśmy przelatujące kule, dźwięki przywodzące na myśl niewielkie rozdarcia powietrza, a także odgłosy karabinowych wystrzałów, dobiegające z miejsca, którego nie mogliśmy dostrzec. Ogarnął mnie swoisty letarg, konsekwencja paralizującego respektu wobec rozstrzygającego charakteru każdej kolejnej chwili, rejestrowanej w postaci najdrobniejszych detali wszystkich, choćby najlżej poruszających się gałązek i wąskich wstęg światła, przebijających przez liście. Ktoś szarpnął mnie w dół, na poszycie, wyrwałem się z osłupienia i podpierając łokciami, poczołgałem się za kępę uschniętych drzew.

Wkrótce rozległy się głosy: „Na trzeciej, kurwa, na trzeciej!”, i choć nie widziałem tam nikogo, do kogo mógłbym strzelić, pociągnąłem za spust i natychmiast oślepił mnie błysk z lufy mojego karabinu. Czułem się, jakbym robił obsceniczne zdjęcia pośród błysków pustych łusek, odbijających się od kory drzewa.

I znów cisza. Rozrzućeni po sadzie żołnierze leżeli na brzuchach na ubitej ziemi. Spojrzenia, wymieniane przez nas szeroko rozwartymi, niemrugającymi oczami, stały się swoistym językiem. Porozumiewaliśmy się szeptem, nasze pełne oddechy stały się monosylabiczne i zdławione. Wreszcie podnieśliśmy się i ruszyliśmy naprzód tym samym tempem co wcześniej.

Kiedy szliśmy w linii przez postrzępiony gaj, usłyszeliśmy dobiegający gdzieś z przodu dźwięk. Początkowo brzmiał jak potulny szloch; kiedy znaleźliśmy się bliżej, zaczął przypominać bek jagnięcia. Przyśpieszyliśmy kroku, jakby na rozkaz, i wkrótce w płytkim rowie dostrzegliśmy martwe

ciała nieprzyjaciół: dwóch chłopców, mniej więcej szesnastoletnich, obok nich, na dnie rowu, dwa wysłużone karabiny, oni postrzeleni w twarze i tułowia. Ich skóra prawie zupełnie straciła swój naturalny brąz, a ja zastanawiałem się, czy to przez migotliwe światło, które przedostawało się znad niskich, zapuszczonych koron drzew, czy też przez to, że na dnie rowu zdążyły już zakrzepnąć kałuże ich krwi.

Sanitariusze zajmowali się leżącym na ziemi szeregowcem z trzeciego plutonu, który szczekał zębami i kwilił niczym jagnię. Dostał w brzuch i umierał. Próbowaliśmy pomóc na tyle, na ile potrafiliśmy, ale sanitariusze nas odpędzili, więc tylko przyglądaliśmy się, dopingując: „No dalej, doktorcu”, podczas gdy oni usiłowali wepchnąć jego wnętrzności z powrotem do ciała. Bledł. Sanitariusze byli umazani krwią rannego, a on już trzął się w malignie. Cofnęliśmy się i stanęliśmy w okręgu, w promieniach światła przenikającego między liśćmi. Drżące usta rannego nabrały w tym oświetleniu koloru ciemnej purpury. Na jego górnej wardze pojawił się glut, a przebiegające przez ciało dreszcze strząsnęły na brodę kropelki śliny. Zdałem sobie sprawę, że żołnierz już od kilku chwil leży nieruchomo i że jest martwy. Nikt się nie odezwał.

– Myślałem, że coś powie – powiedziałem w końcu.

Reszta zaczęła się rozchodzić. Kilku chłopaków z innych drużyn drugiego plutonu wycofało się z naszego kręgu. Murph usiadł i zaczął czyścić karabin; jego nogi dyndały nad jednym z płytkich rowów. Niektórzy też się przyznali, że czekali, aż ranny coś powie. Gdy umarł tak po prostu, na ich twarzach pojawiło się przygnębienie i rozczarowanie, a oni sami odeszli bez żadnego wyraźnego celu.

Stojący w pobliżu zwłok chłopaka Sterling zgasił czubkiem buta papierosa i cienka smużka dymu uniosła się ku poszarpanym liściom, a potem rozproszyła.

– Zwykle nie mówią – stwierdził. – Tylko raz coś słyszałem.

Fotoreporter pstrykał tymczasem zdjęcia całej tej sceny: szeregowca w rowie, czyszczącego wyciorem lufę swojego karabinu, martwego chłopaka, jeszcze nieprzykrytego, z wodnistym spojrzeniem utkwionym w błękicie nieba, które wysoko ponad sadem oczyściło się z chmur. Przyszło mi do głowy, że wcale nie obchodziła go doniosłość tego, na co patrzył. Teraz jednak myślę, że mogło być inaczej. Być może obchodziła go w sposób absolutny.

– Co powiedział? – spytałem.

– Kto? – zdziwił się Sterling.

– Tamten zabity. Co powiedział?

– Nic takiego. Trzymałem go za rękę. Bałem się jak cholera, wiesz? Wciąż trwał ostrzał. Nie było tam nikogo poza mną. Nieważne – przerwał na chwilę. – Nawet go nie znałem.

Sterling chwycił rękami za kołnierz swojej kamizelki, zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Następnie skinął głową w stronę fotografa i obaj ruszyli, ostrożnie wybierając drogę między szczątkami; między gałęziami i kawałkami kory, między martwymi i żyjącymi.

– Co powiedział? – zapytałem ponownie.

Sterling odwrócił się.

– Bart, nadajesz temu większe znaczenie, niż to faktycznie miało. Sprawdź lepiej, co z twoim chłopakiem, i przestań zamartwiać się tym głównem.

Obróciłem się i zobaczyłem Murpha, klęczącego przy zwłokach. Dłonie opierał na udach. Mogłem do niego podejść, ale tego nie zrobiłem. Nie chciałem. Nie chciałem być za niego odpowiedzialny. Miałem dość zmartwień. Ja też się rozpadałem. Jak niby miałem zadbać o to, byśmy obaj wyszli z tego cało?

Całkiem możliwe, że to właśnie w tamtej chwili złamałem moją obietnicę, bo gdybym sekundę wcześniej podszedł go pocieszyć, być może by się nie

załamał. Sam nie wiem. Nie wyglądał wtedy na zrozpaczonego, bardziej zaniepokojonego. Dotknął zwłok, poprawił kołnierzyk i oparł głowę chłopaka na swoich kolanach.

Ja jednak musiałem wiedzieć.

– Sierżancie, proszę... Niechże mi pan powie.

Spojrzał na mnie. Dotarło do mnie, że jest tak samo zmęczony jak ja. Zaskoczyło mnie to.

– No dobra, tamten gość płakał – odezwał się Sterling. – Powiedział coś w stylu: „Kurwa, umieram, nie?”, a ja na to: „No, chyba tak”. Płakał coraz bardziej, aż nagle przestał, a ja czekałem, aż będzie mówił dalej. No wiesz, jak na filmach, czy coś w tym rodzaju.

– No i?

– Wtedy on mówi: „Człowieku, sprawdź, czy nie narobiłem w spodnie”. Potem umarł.

Sterling klasnął w ręce, jakby na znak, że już z tym skończył, że wyrzucił to z głowy.

Odwróciłem się, czułem się przytłoczony i oszołomiony, wymiotowałem, dopóki nic już we mnie nie zostało. Ale nawet wtedy wydobywały się ze mnie wstęgi żółci o ohydnej barwie. Dźwignąłem się z ziemi na kolana i otarłem usta.

– Co jest, kurwa, człowieku? Co jest, kurwa? – nie przyszło mi do głowy nic więcej, co mógłbym powiedzieć; splunąłem do rowu, po czym odwróciłem się i odszedłem w kierunku, z którego dochodził dźwięk trzaskającej migawki.

Kilka godzin później połączyliśmy się z resztą kompanii. Teren wokół nas zabezpieczał pluton rezerwowy. Mieliśmy się przespać. Dzień jeszcze się dla nas nie skończył. Murph i ja znaleźliśmy sobie jakąś dziurę i próbowaliśmy się w niej zdrzemnąć, ale nie mogliśmy zasnąć.

– Wiesz co, Bart? – odezwał się Murph.

– Co?

– W stołówce wepchnąłem się do kolejki przed tego dzieciaka.

Rozejrzałem się dookoła.

– Jakiego znowu dzieciaka?

– Tego, który nie żyje.

– Aaa... – powiedziałem. – W porządku, stary. Nie przejmuj się tym.

– Czuję się jak dupek.

– To nic takiego.

– Czuję się teraz jak pieprzony świr – Murph ukrył głowę w dłoniach. Ich nasadami pocierał oczy. – Byłem naprawdę szczęśliwy, że nie padło na mnie. Do tego trzeba być świrem, co?

– Nie. Wiesz, kiedy byłbyś świrem? Gdybyś tak nie pomyślał.

Ja pomyślałem wtedy o tym samym: jak to dobrze, że to nie mnie postrzelono i jak bardzo musiało boleć go umieranie i przyglądanie się nam, jak widzimy, że umiera. I ja także, choć teraz mnie to smuci, pomyślałem sobie wtedy: „Dzięki, Boże, że umarł on, nie ja. Dzięki Ci, Boże”.

Spróbowałem pocieszyć Murpha.

– On musiał być co najmniej dziewięćset osiemdziesiątym, co?

– No, coś koło tego.

Nie podziałało. Zastrana wojenka.

Posuwaliśmy się naprzód. Gdy odciskałem w kurzu ślady moich zmęczonych stóp, zaśpiewał skowronek lub zięba. Obejrzałem się przez ramię i upewniłem się, że szedłem i że wciąż idę. Moje ślady znaczyły mój szlak. Pozostawiłem za sobą następne, odcisnięte głębiej, zgodnie z instrukcjami ze szkolenia. Karabin również trzymałem zgodnie z instrukcjami ze szkolenia. Dzięki temu zyskiwałem siłę i cel. Przekartkowałem grube podręczniki i dowiedziałem się z nich, że zgodnie z instrukcjami ze szkolenia pewne są tylko te dwie rzeczy.

Puste miasto nadal się tliło. Zredukowaliśmy je do minimum przy pomocy naszych nowoczesnych narzędzi. Mury się rozpadły. Całe kwartały miasta składały się z przepołowionych w czasie bombardowania budynków, z których lekka bryza mogła swobodnie wywiewać śmieci i pył, wirujące potem w postaci małych cyklonów, mijanych przez nas podczas marszu. Co jakiś czas robiliśmy sobie przystanki, by napić się wody, paliliśmy papierosy, gdzie nam się podobało, i wyciągaliśmy się na krzesłach, stojących przy porzuconych stolikach. Targowiska pełne były opustoszałych sklepików z drewnianym stoiskami, na których wciąż zalegały towary, pamiętające czasy, które wydały się jednocześnie dawne i nieznane. Wystawialiśmy stopy na stoliki, ponieważ podeszwy naszych butów nie mogły obrazić martwych.

Weszliśmy w uliczki. Zobaczyliśmy szczątki nieprzyjaciół, zalegające w miejscach, w których wpadli w zasadzkę, popychaliśmy je butami, odsuwając od broni. Sztywne zwłoki puchły na słońcu, zmieniając się w siedliska zarazy. Niektóre leżały zgięte pod dziwnym kątem, z wykrzywionymi plecami, uniesionymi lekko nad ziemią, inne były karykaturalnie wręcz powykręcane, niczym poddane rozkładowi echo jakiejś makabrycznej geometrii.

Maszerowaliśmy przez miasto, idąc pobrużdżonymi niczym po ospie dolinami z cegły i betonu, które dźwigały brzemię starych, płonących samochodów, i wydawało się, że raczej podążamy w ślad za szerzącym się zniszczeniem, niż że sami je szerzymy. Wokół nie było żywej duszy z wyjątkiem jakiejś starej kobiety. Parokrotnie widziałem ją przez krótką chwilę, gdy powłócząc nogami, uchodziła z zasięgu wzroku. Kiedy my skręcaliśmy, ona kierowała się w przeciwną stronę, nie zarejestrowałem więc jej stabilnego obrazu, jedynie znikającą w oddali postać, okutaną w stary koc, który zapewniał jej bezkształtny komfort.

Przystanęliśmy na rogu. Przez ulicę przechodził akurat pochód szczurów, lawirujący pomiędzy szczątkami. Szczury swoją liczebną przewagą odpędziły parchatego psa od zwłok, którymi się pożywiał. Przyglądałem się, jak pies wielkimi susami oddala się alejką, trzymając w mocno zaciśniętym pysku pogruchotane ludzkie ramię. Po chwili zniknął nam z oczu, a porucznik podniósł rękę, dając plutonowi znak, by zatrzymał się w pobliżu mostu biegnącego nad Tygrysem i jego skąpo zalesionymi brzegami. Panowała cisza; opodal spokojnie przepływała rzeka. Na środku mostu leżało rozciągnięte martwe ciało. Głowa trupa została odcięta i położona na jego piersi jak jakaś zwyrodniała matryoszka.

– Szkurwa... – wyszeptał porucznik.

Ktoś go spytał, co się stało. Porucznik patrzył badawczo przez lornetkę, a ja poznałem po jego jednoznacznym wyrazie twarzy, że zdał sobie sprawę, z czym ma do czynienia.

– Bomba w ciele – powiedział.

Wszystko zamarło. Nie mogliśmy wiedzieć, kim był ów mężczyzna ani jak znalazł się w tym miejscu, trudno byłoby nam zresztą tego dociekać, bo kiedy jest się uczestnikiem tragedii, nigdy nie ma się dość czasu, by próbować ją wyjaśniać. Żałoba to mechanizm praktyczny, a my opłakiwaliśmy jedynie tych, których sami znaleźliśmy. Wszyscy inni, którzy ginęli w Al Tadarze, stanowili dla nas jedynie element krajobrazu, tak jakby coś obsiewało miasto nasionami, z których następnie wyrastały zwłoki, w piachu bądź spod chodników, jak kwiaty po przymrozku, wyschnięte i przywiedłe w zimnych, jasnych promieniach słońca.

Niekończąca się cisza przeminęła. Cała nasza grupa przyklękła i wpatrywała się w ciało, zastanawiając się, co powinniśmy zrobić. Porucznik wstał i obrócił się ku nam, ale zanim zdołał wypowiedzieć choćby słowo, dotknęła nas nagła ślepotą, zupełnie jakby słońce spadło z nieba. Pokrył nas kurz i ogłuchliśmy, nim zdołał do nas dotrzeć

jakikolwiek dźwięk. Leżałem półprzytomny na ziemi, uszy wypełniało mi donośne dzwonienie i brzęczenie, a kiedy uniosłem głowę, dostrzegłem, że reszta plutonu pełza po ziemi, usiłując zorientować się w sytuacji. Sterlinga pokrywał czarny pył. Jego usta poruszały się, a ręka wskazała najpierw na karabin, a potem na coś, co zobaczył; następnie zaczął do tego strzelać. W uliczkach położonych poniżej naszej pozycji, bliżej brzegu rzeki, a także w oknach nad nami, dostrzegliśmy ręce oraz czubki luf karabinów. Przytłaczające brzęczenie w mojej głowie sprawiało, że nie słyszałem przelatujących pocisków, ale poczułem, jak kilka z nich przecięło powietrze. Walka była mętna i bezgłośna, jak gdyby toczyła się pod wodą.

Dotarłem do krawędzi mostu i zacząłem strzelać do wszystkiego, co się ruszało. Zobaczyłem, jak przy brzegu rzeki, pośród sitowia i zielonych pól pada bezwładnie mężczyzna. W tamtej chwili wyrzekłem się wód mojej młodości. Ich wspomnienia stały się dla mnie bezużytecznym luksusem, ich nazwy stały się równie obce jak te, z którymi przychodzi zetknąć się w Niniwie: rzeka Tygrys czy Zatoka Chesapeake, rzeka James czy położona bardziej na południe Szatt al-Arab – wszystkie te nazwy należały do kogoś innego i być może w rzeczywistości nigdy nie były moje. Byłem tu intruzem, w najlepszym przypadku gościem, i wiedziałem, że będę nim nawet we własnym domu, w mojej niepoprawnie zapamiętanej historii; fosforyzujący blask Chesapeake, za którym tęskniłem, marząc, że pewnego dnia ponownie się w nim zanurzę, zamienił się w drwinę z mojej znikomości, w okrutne optyczne złudzenie, na widok którego zawsze myślałem o gwiazdach. Koniec z tym. Przestałem tęsknić, ponieważ nabrałem pewności, że oglądanie czegokolwiek w takiej skali ukazałoby wszechświat jako zepchnięty gdzieś na bok i zatopiony, a gdyby kiedykolwiek zdarzyło mi się ponownie pływać w tamtej wodzie, tam gdzie jej poziom sięgał mi szyi, a stopy traciły kontakt z błotnistym dnem,

mógłbym zdać sobie sprawę, że zrozumienie świata oraz swojego w nim miejsca oznacza, że już zawsze będzie się narażonym na utonięcie.

„*Noctiluca* – pomyślałem – *Ceratium*”, kiedy w przyprószonym pyłem półmroku pokazały się pociski smugowe; te dwa obce słowa, poznane przeze mnie na szkolnej wycieczce na nadbrzeżne równiny Wirginii, pojawiły się w mojej głowie, gdy strzelałem do tamtego człowieka, nie zwracając wówczas uwagi na osobliwe połączenia, tworzące się wtedy w każdym umyśle, na małe burze elektrycznych impulsów, które je wywołują, przerywają, by potem znów je wywołać. Ulotna myśl o dziewczynie, siedzącej obok mnie na nabrzeżu, a potem znowu nadciągający półmrok, trzask smugowych pocisków, towarzyszący oddawanym przeze mnie raz za razem strzałom, mężczyzna, który odczołgiwał się od swej broni, aż wreszcie znieruchomiał, a strużka jego krwi popłynęła do rzeki niczym ostatnia fala odpływu, nietrwała jak bioluminescencyjny blask. Sterling i Murph zbliżyli się do mnie i usiedli obok, po czym wyciągnęliśmy kolejne magazynki i wystrzeliliśmy je w ciało mężczyzny, którego ubranie było już skąpane we krwi, ściekającej po niskim brzegu i wpadającej do rzeki, dopóki nie wysączyła się do ostatka.

– Teraz rozumiecie, szeregowi. Staranność, to staranność przybliżyła nas do domu.

Przerwałem ogień i schowałem głowę w dłoniach. Karabin opadł mi na kolana. Dotarłem tak daleko, jak mogłem. Zerknąłem na Sterlinga. Twarz miał pogodną. Zastanawiałem się, jak daleko jest jeszcze w stanie się posunąć. Nie, jak daleko ja jestem w stanie się posunąć? Dokąd on nas zaprowadzi?

Przegrupowaliśmy się. Po przeliczeniu obecnych okazało się, że nie ponieśliśmy strat, z wyjątkiem kilku pękniętych w wyniku eksplozji bębenków. Powróciliśmy na naszą wcześniejszą pozycję i czekaliśmy na

patrol szybkiego reagowania. Tam, gdzie na moście leżało wcześniej ciało mężczyzny, teraz widniała mokra plama, a dookoła zalegały rozrzucone szczątki, niektóre małe, inne spore, a jeszcze inne niepoliczalne, jak te, które znaleźliśmy u naszych stóp: kawałki skóry i mięśni, wnętrzności. Były też większe, takie jak ramię i fragmenty nóg, i leżały bliżej miejsca, w którym wcześniej znajdowały się zwłoki. Nikt się nie odzywał, ale w panującej ciszy wszyscy odtwarzaliśmy w myślach ostatnie chwile życia tamtego mężczyzny. Widzieliśmy, jak szarpie się, błaga i prosi Allaha, by go uwolnił, a potem uświadamia sobie, że nie zostanie oszczędzony, gdy tamci podcinają mu gardło i krew leje się z jego szyi, po czym dławi się i umiera.

Wbrew jego woli uczyniono z niego broń. Pojmali go i zabili, usunęli wnętrzności i wypchali pustą jamę brzuszną materiałami wybuchowymi, a potem wysadzili w powietrze, gdy tylko stało się jasne, że zorientowaliśmy się, czym są jego zwłoki. Potem nas zaatakowali. Na miejsce przybył patrol szybkiego reagowania i usłyszeliśmy, że trzeba oczyścić most.

– Murph, Bartle! – zawołał Sterling.

Wzięliśmy kotwiczki i staraliśmy się zahaczać nimi większe fragmenty ciała. Szarpaliśmy je, dopóki nie nabraliśmy pewności, że nie ma w nich materiałów wybuchowych i że nie stanowią już niebezpieczeństwa. Murph rzucił kotwiczkę z za niskiego murka, a następnie ciągnął za przytwierdzoną do niej linkę, dopóki kawałek ciała nie zaczął stawiać oporu. Wtedy mocno szarpnął linkę, spoglądając przy tym na mnie. Potem przyszła moja kolej. Kiedy już powtórzyliśmy kilkakrotnie całą procedurę, oficer wysiadł ze swojego wozu i ogłosił, że most jest czysty.

Kontynuowaliśmy nasz marsz przez miasto, do którego zaczęli powracać dwójkami i trójkami ludzie, którzy zabrali się za grzebanie zabitych.

Rozległo się wezwanie muezina, a słońce zaszło, łagodnie barwiąc miasto purpurą i czerwienią.

7

SIERPIEŃ 2005

Richmond, Wirginia

Tamtej wiosny przesypiałem całe dnie i tygodnie, zostawały mi z nich tylko popołudnia. Nie widywałem żywej duszy. Budziłem się w nieregularnych odstępach czasu i słuchałem, jak na ulicy szkolny autobus zabiera i wysadza dzieci z różnych klas i w różnym wieku; na podstawie tonu ich trajkoczących głosów domyślałem się, która jest godzina.

Krótki czas spędzony w domu wystarczył, żeby moja kondycja pogorszyła się bardziej, niż można się było spodziewać. Jediną formą gimnastyki stały się dla mnie trzykilometrowe wyprawy do wiejskiego wielobranżowego sklepu G.W., w którym każdego popołudnia zaopatrywałem się w zgrzewkę piwa. Unikałem dróg, wybierając zamiast nich kolejowe tory, które przebiegały nieopodal naszego domu, po drugiej stronie długiego, niskiego nasypu. Rozpięty nade mną baldachim liściastych koron zapewniał cień, a pomiędzy zielone gałęzie drzew bezceremonialnie wpadało światło. Upał kumulował się przez całą wiosnę, a teraz przybrał postać gęstego, ciężkiego powietrza, zalegającego nad ścieżką wytyczaną przez trejaż torów. Atlantycki upał: parny, gęsty od komarów. Zupełnie niepodobny do upału w Al Tfarze, który wywoływał niebywały efekt – momentalnie doprowadzał do łez, nawet jeśli wcześniej prażyłeś się w nim całymi godzinami. Tutejszy upał miał w sobie coś bardziej amerykańskiego; uderzał w ciebie tuż po tym, jak w niego wkraczałeś. Twój oddech nagrzewał się nieznośnie i miałeś wrażenie, że musisz przedzierać się przez powietrze jak pływak przez wodę.

Czasami po dotarciu do G.W. czekałem na skraju lasu, dopóki ostatni stary pikap z przerdzewiałym tylnym błotnikiem nie wyjedzie na szosę i dopiero wtedy, przez obłok kurzu, który zostawił za sobą samochód, szedłem ku otwierającym się przy dźwiękach dzwonka podwójnym drzwiom sklepu. Tak naprawdę nie potrafię wytłumaczyć, co wtedy czułem. Myślę, że wstyd. Ale to nie wszystko. To było coś bardziej wyjątkowego. Wstyd może odczuwać każdy. Pamiętam, że kiedy siedziałem na ziemi pod zaniedbanymi, zbyt bujnie rozrośniętymi krzakami, obawiałem się, bardziej niż czegokolwiek innego, że będę musiał ujawnić, czym się stałem. Chociaż w tamtej okolicy właściwie mnie nie znano, to wydawało mi się, że jeśli tylko ktoś mnie spotka, to wyczuje hańbę, jaką się okryłem, i natychmiast mnie osądzi. Nic nie izoluje człowieka bardziej niż jego własna przeszłość. Tak wtedy myślałem. Teraz już wiem: każdy ból jest taki sam. Różni się od innych jedynie szczegółami.

Kiedy wracałem do domu, w przesiąkniętej potem i sztywnej od soli koszuli, wkładałem piwo do szafy i szedłem do kuchni, gdzie długo stałem przed oknem i wpatrywałem się w unoszącą się nad stawem mgłę. Nie chciałem dostarczać więcej dowodów mojej egzystencji niż te nietrwałe, wilgotne odciski moich stóp na podłodze skromnej kuchni mojej matki. Spoglądałem przez okno i widziałem ulicę oraz tory, a za nimi las. Za lasem rozciągało się hrabstwo, którego częścią był las. I tak dalej, dopóki wszystko nie rozpuszczało się w większej całości: dom mojej matki, dom jak każdy inny, położony na południowym krańcu szerokiej rzecznej doliny, na tyle blisko gór, by co kilka lat jakiemuś przestraszonemu niedźwiedziowi czarnemu zdarzało się zawędrować w okoliczne pozostałości puszczy, a także wystarczając blisko oceanu, by pierwsi angielscy osadnicy mogli uznać to miejsce za najdalszy punkt swojego marszu w górę rzeki, kiedy ukształtowanie terenu uniemożliwiło im powzięcie decyzji innej niż ta, którą podsumowali wnioskiem: „Zgubiliśmy się, więc to będzie nasz dom”.

I na tyle blisko oceanu, bym w dzieciństwie dawał się podpuszczać starszym dzieciakom, że jeśli tylko wystarczająco się postaram, zdołam poczuć zapach słonej wody, a ja wierzyłem im i wystawiałem wśród latarni i mew na parkingach przed supermarketami A&P i płakałem, kiedy zdałem sobie sprawę, że to była prawda, na przekór zamiarom tamtych dzieciaków, które chciały mnie okłamać, jak to czasem robią dzieci.

Sam dom leżał nad jednym z licznych stawów i strumieni, które kluczyły, zmierzając do rzeki James, podobne do włókien rozplątanej liny. Z drugiej zaś strony Richmond i jego szklane budynki, w których czasem odbijała się przepływająca w dole rzeka albo chmury, albo huta żelaza i tory, które rdza praktycznie obróciła już w pył. Miasto usadowione było na skarpie, od tysiącleci podmywanej przez rzekę, wgryzającą się coraz głębiej w ziemię i wijącą się pośród krajobrazu jak rozciągnięty przez sprzedawcę transparent, na którym reklamuje on swoje towary.

Odkąd wróciłem do domu, wszystko zaczęło mi przypominać o czymś innym. Każda moja myśl miotła się w różnych kierunkach, dopóki nie połączyła się z jakimś wspomnieniem, to zaś prowadziło do kolejnego przelotnego wspomnienia, aż w końcu zapomniałem o chwili obecnej. „Kochanie, czy mógłbyś naprawić płot koło stawu?” – moja matka zadawała mi to pytanie, gdy letnie dni stawały się coraz krótsze; wychodziłem wtedy na ciągnące się w dal podwórze, z garścią gwoździ i młotkiem w ręku, a gdy już docierałem do płotu, opierałem się o niego i wpatrywałem w wodę, której powierzchnię marszczył ciepły, lekki wiatr i wtedy przenosiłem się z powrotem. Z powrotem do czego? Do niczego, do wszystkiego. Do rozbrzmiewającego echem jazgotu psów, tarzających się w stercie mokrych odpadków w cieniu Bramy Szamasza. Gdybym usłyszał wtedy krakanie złowrogich wron, zlatujących na ziemię z linii wysokiego napięcia, którą zdobiły prostotą swojej czerni, to mogłoby mi się wydać, że owo krakanie idealnie harmonizuje ze wspomnieniem odgłosu spadających

pocisków mózdzierzowych i wówczas, choć byłem u siebie, przygotowałbym się na uderzenie, pomyślawszy: „no, skurwysyny, wreszcie mnie dopadliście”, a potem, gdy ptaki poderwałyby się do lotu, opamiętałbym się i obejrzałbym za siebie, tam, gdzie w kuchennym oknie widoczny byłby zarys twarzy mojej matki i wtedy uśmiechnąłbym się do niej i pomachałbym jej, po czym wziąłbym poluzowany kawałek drucianej siatki i zacząłbym przybijać go tam, gdzie trzeba. Chcesz spać, to wszystko. Wydaje ci się, że to nie może dalej tak trwać. Czujesz się tak, jakby twoje życie było żerdzią wystającą poza krawędź klifu – posuwanie się naprzód jest niemożliwe, nie z powodu braku chęci, lecz z uwagi na brak miejsca. Perspektywa kolejnego dnia stoi w sprzeczności z prawami fizyki. Nie możesz też zawrócić. Chcesz więc spać, odpuścić, poddać się, ale nie jesteś w stanie. I przypomina ci o tym każdy twój oddech. I tak to trwa.

Późny sierpień. Wyszedłem z domu mojej matki. Wrobiłem w siebie nawyk chodzenia na długie spacery donikąd, które pomagały mi wypełniać kolejne dni. Pewnego poranka ocknąłem się w moim jednoosobowym łóżku, w małym pokoju za kuchnią, i pożałowałem, że się obudziłem. Zdarzyło mi się to nie po raz pierwszy. Czułem się zmęczony tym, jak mój umysł przez całą noc odtwarza wydarzenia, które zapamiętałem, a następnie te, których nie pamiętałem, ale o które się obwinałem na podstawie samej tylko sugestywności scen, jakie rozgrywały się nieustannie na czerwonozielonym tle moich zamkniętych powiek. Nie umiałem odróżnić prawdy od własnych wymysłów; chciałem tylko, żeby to się skończyło, żebym mógł się uwolnić i żeby moja percepcja rozpląnęła się jak przypalona słońcem mgła. Chciałem zasnąć i trwać w tym stanie, to wszystko. Bierne życzenie, nie próbowałem go spełnić za wszelką cenę. Oczywiście, istnieje cienka granica pomiędzy niechęcią do obudzenia się, a rzeczywistą chęcią pozbawienia się życia i chociaż odkryłem, że można

przez długi czas na tej granicy balansować i nawet tego nie zauważyć, to jednak wszyscy wokół z pewnością to spostrzegą, a wtedy nie obejdzie się bez zadawania tych wszystkich pytań, na które nie ma odpowiedzi.

Pewnego dnia rano zadzwonił telefon. Odebrała moja mama.

– To Luke, kochanie – zawołała z drugiego pokoju. Trzecia. Wciąż leżałem w łóżku.

– Powiedz mu, że oddzwonię.

Matka weszła do mojego pokoju i przycisnęła słuchawkę do piersi.

– Musisz rozmawiać z ludźmi, John. To niedobrze spędzać tyle czasu w samotności.

Znałem Luke'a od czasów gimnazjum. Był moim najlepszym przyjacielem, nawet jeśli teraz te słowa wydają się pozbawione znaczenia. To moja wina, nie jego. Jego imię przypominało mi o odkryciu, jakiego dokonuje się, będąc dzieckiem: że jeśli powtarza się jakieś słowo wielokrotnie, zaczyna ono brzmieć jak bełkot, jak biały szum.

– Niech zostawi wiadomość.

Spojrzała na mnie.

– Oddzwonię do niego, mamó. Obiecuję.

Przytknęła słuchawkę do ucha i odwróciła się.

– John jest zmęczony, Luke. Może do ciebie oddzwonić?... Jutro? Dobrze. Przekażę mu.

– Już? – spytałem.

– Niech to szlag, Johnny! – fuknęła. – Jutro po południu wybierają się nad rzekę. Chcą się z tobą zobaczyć. Ludzie chcą cię zobaczyć.

– W porządku.

– W porządku, ale co?

– W porządku, może.

– Zastanowisz się?

– Tak.

– Naprawdę uważam, że powinieneś. Pomyśl o tym – uśmiechnęła się niepewnie.

– Niech to szlag, mammo! Nie innego, kurwa, nie robię, tylko myślę!

Wciągnąłem spodnie i wyszedłem na tylną werandę, splunąłem ponad jej poręczą, żółtawobrazowo, a moje ciało, od powiek aż po czubki palców, pulsowało ciepłym, tęnym bólem. Czułem go również w środku – był to rodzaj wszechobjmującego bólu, zupełnie jakbym zamiast skóry miał opuchniętą wargę. Zapaliłem papierosa i poszedłem nad leżący za domem staw. Światło było jasne i połyskujące, niczym surowy len w gęstym, letnim powietrzu, a potem ruszyłem dalej, w las, gdzie staw przechodził w strumień, płynący korytem o stromych, wyżłobionych w czerwonej glinie brzegach. W miejscu, w którym strumień wpływał pomiędzy wystające z wody kamienie, kłębiąc się przy tym i wirując, odnalazłem zakątek, który często odwiedzałem jako dziecko. Nad wodą wisiał wielki głaz, spod którego prąd dawno już wypłukał czerwoną glinę. Korzenie dużej brzozy szarej przyłgnęły do boku skały, by następnie zniknąć pod płaską powierzchnią ziemi, która tworzyła sąsiadującą ze strumieniem polaną. Liście w koronach lasów środkowej Wirginii zaczęły już przedjesiennie kurczyć się i żółknąć, zwieszając się nad polaną i strumieniem, a światło przenikało między nimi tak, jak lubię. Poranek wydawał się nieostry i niekształtny, jakbym przyglądał mu się przez gazę.

Zbliżyłem się do stromeego, gliniastego brzegu i chwiejnym krokiem przeszedłem obok zwałonego w poprzek nurtu drzewa. Kamienie były śliskie, lecz nie leżały tak daleko od siebie, jak zapamiętałem; przeprawa na drugi brzeg nie okazała się szczególnie trudna, bo wypite poprzedniej nocy piwa wymusiły na mnie nieśpieszne tempo. Przechodząc pod skalnym nawisem, podparłem się rękami i chociaż poranek stawał się coraz cieplejszy, nadal było tam chłodno, a na dłoniach czułem zimną wilgoć wielkiego głazu. W górze, na srebrnej korze rosnącej tam brzozy, widniało

pół tuzina wyrytych w niej inicjałów J.B. – każdy nieco innego rozmiaru i o innym układzie linii nacięć, które rozciągały się wraz ze wzrostem drzewa. Wspiąłem się ku brzozie i potarłem wycięte w niej znaki ciepłymi, niemrawymi palcami. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, żebym je robił, ale miałem pewność, że są moim dziełem. Oczywiście, J.B. to nie żadne unikalne inicjały, byłem jednak przekonany, że to ja je wyciąłem, a ponieważ nie pamiętałem żadnych okoliczności ich powstania, uśmiechnąłem się.

Posiedziałem tam przez jakiś czas, aż słońce znalazło się dokładnie nade mną i szerokie kolumny światła opadły ku ziemi, a pot zaczął spływać mi między łopatkami. Zdecydowałem wtedy, że pójdę torami w kierunku miasta. Była to nie tyle decyzja, co rezultat moich wysiłków, by jakoś wyłączyć mój umysł. Nie potrafiłem przestać myśleć o Murphie. Szedłem, podążając w kierunku, jaki wskazywały mi czubki moich butów, i starając się nie myśleć, a kiedy znalazłem się z powrotem na werandzie, otarłem pot z czoła, otworzyłem przesuwne drzwi, po czym wrzuciłem parę rzeczy do mojego marynarskiego worka i wyszedłem.

Nie zdawałem sobie wówczas sprawy z tego, co robię, ale moje grzebanie we wspomnieniach dotyczących Murpha było czymś w rodzaju chybionej archeologii. Przetrzasałem resztki moich wspomnień, nie umiając przyjąć do wiadomości faktu, że tak naprawdę pozostała tylko pusta dziura, stan braku, który usiłowałem zmienić, dopóki nie zorientowałem się, że nie jestem w stanie. Nie miałem po prostu dość materiału, który mógłby zrekompensować to, co uległo wymazaniu. Im bliższy byłem zrekonstruowania postaci Murpha, tym bardziej zacierał się w moim umyśle obraz, który próbowałem odtworzyć. Na każde wspomnienie, które udało mi się zatrzymać, przypadało inne, ulegające nieodwracalnemu zniszczeniu. Była w tym pewna proporcjonalność. Cały proces przypominał układanie odwróconych puzzli: kształty są znajome, ale obraz szybko

odchodzi w niepamięć i zostaje tylko stonowany brąz kartonu, drwina z zupełności i skończoności. Myślałem o chwilach, które spędziliśmy razem, siedząc wieczorem w wieżyczce strażniczej i przyglądając się, jak wojna toczy się w smugach czerwonych, zielonych i innych, jeszcze bardziej krótkotrwałych rozbłysków, jak Murph opowiadał mi wtedy o pewnym popołudniu w małym, położonym na zboczu wzgórza jabłoniowym sadzie, w którym czasem pracowała jego matka, o tym, jak szczepili wtedy pędy z górnych partii drzew, a ostry nóż błyskał, poruszając się wokół otuliny z gazy, zaś młode gałązki miały lada moment rozkwitnąć, albo o tym, jak nie umiejąc wyrazić swojego zachwytu, przyglądał się ojcu, który przyniósł z kopalni do domu klatki z tuzinem kanarków, po czym wypuścił je na wolność w kotlinie, w której mieszkali, a ptaki jedynie przez chwilę śmigaly w powietrzu i śpiewały, po czym usadowiły się na szczytach swoich ustawionych w rzędach klatek, a ojciec Murpha zapewne sądził, że kanarki nie wrócą dobrowolnie do niewoli i planował wykorzystać klatki do innego celu: zrobić z nich piękną warzywną rabatę albo umieścić w nich świece i rozwiesić między drzewami, a gdy ptaki usiadły spokojnie w szyku i przestały śpiewać, Murpha musiała zdumieć dziwna cisza tego świata. Próbowałem przypominać sobie inne rzeczy, ale pojawiła się pustka – jak szybko się zorientowałem, był to jedyny pewnik, na który mogłem liczyć; w końcu z Murpha pozostał tylko ukryty w cieniu zarys, rozpadający się szkielet i mój przyjaciel stał się dla mnie przyjacielem w stopniu nie większym niż najbardziej obca z obcych mi osób. Moja tęsknota za nim stała się grobem, którego nie można ani wypełnić, ani zrównać z ziemią, spłowiącą skazą terenu i cholernie kiepskim substytutem żalu, tak jak to często bywa z grobami.

Ruszyłem w drogę po torach, które pokrywały się mniej więcej z przebiegiem dawnej linii kolejowej z Danville i wiodły na północny wschód, w kierunku miasta. Zaczęło lekko padać. Spod kolejowych

podkładów wyciekał kreozot, który zrobił się śliski; mokre szare kruszywo usuwało się spod moich butów. Szedłem powoli od jednego podkładu do drugiego, mniej lub bardziej powłócząc nogami i niemal w ogóle nie podnosząc wzroku. Choć wcale się nie śpieszyłem i nie wyznaczałem sobie żadnego konkretnego celu, to nim zdałem sobie sprawę, jak daleko zaszedłem, rozstąpiły się drzewa i znalazłem się nad rzeką, na pierwszym przęśle mostu kolejowego. Słońce miało wkrótce schować się za drzewami, a rzeka, spokojna i gładka, skręcała i znikwała z oczu, ciągnąc się łagodną linią w stronę gór, skąd brała swój początek. Woda była jasnofioletowa i pomarańczowa tam, gdzie w słabnym świetle odbijały się w niej czerwone chmury, a ja spoglądałem przez barierkę w dół, na stare kamienne filary, pozostałości po wcześniejszych iteracjach tego mostu, z których wcześniejsze iteracje podążających donikąd spacerowiczów musiały oglądać widoki podobne do tego, a wtedy zatrzymywali się, po czym stali przez jakiś czas i oddychając głęboko, patrzyli z góry na wodę, być może dostrzegając na niej mały, pofalowany zarys swej odbitej postaci, a wokół niej całą tę pustą przestrzeń, i myśleli sobie, że jest tak cholernie dużo miejsca do egzystencji, iż staje się to wręcz bolesne.

Dość szybko poczułem, jak głucho dudnienie pociągu wprawia tory w drżenie i zauważyłem pierwszy błysk reflektora, który wyłonił się zza zakrętu po drugiej stronie rzeki. Słońce nie zaszło jeszcze zupełnie, więc światło na zakręcie było niewyraźne i tylko skrzyło się lekko, jak gwiazda obserwowana o brzasku lub o zmierzchu. Zsunąłem się po wsporniku przęsła, a następnie zjechałem jeszcze kawałek w dół stromego ziemnego nasypu, potem usiadłem i przyjrzałem się sylwetce pociągu, oświetlonej niebem, przemieszczającej się z jednej strony mostu na drugą. Ledwo byłem w stanie dostrzec okna, nie mówiąc nawet o zaglądaniu do nich, dlatego nie wiem, czy pociąg był zatłoczony, ale mimo to czułem, że mógłbym chcieć się w nim znaleźć. Możliwe, że jechał z Dystryktu

Kolumbii, co wymagało przejechania mostu z północy na południe, tak jak to właśnie czynił. Być może zmierzał do Raleigh lub Asheville, a może zamierzał odbić na zachód, na szlak w kierunku Roanoke i Pasma Błękitnego? Szukałem wzrokiem miejsca, na które można by wskoczyć, ale nie zdołałem niczego takiego wypatrzeć, ponieważ na tle nieba oraz świateł miasta widocznych na wschodzie poruszający się pociąg był niczym czarny kształt pośród jeszcze czarniejszej nocy.

Mały jeleń zbiegł w dół wzgórza pod czołem mostu i ruszył dalej, w stronę płaskich, błotnistych brzegów rzeki. Znajdował się tam około pięćdziesięciometrowej długości pas dobrego nadrzecznego gruntu, porośnięty brzoza i wiązami, dalej pojawiały się małe wysepki, które w miarę oddalania się od brzegu kurczyły się, aż wreszcie stawały ledwie cypelkami z piasku i błota pośród ciemnych strug wody. Szeroka rzeka, na tym odcinku jeszcze niespieniona, mierzyła jakieś pół, może ćwierć kilometra od jednego do drugiego brzegu. Za rzeką, na szczycie przeciwległego wzgórza, wznosiło się miasto, którego kontury odcinały się od nieba. Miejsce, w którym się usadowiło, górowało nad dalszymi liniami kolejowymi i sąsiadowało z pozostałościami kanału, wykopanego przez kolonialnych kupców, chcących w ten sposób obejść przeszkodę w postaci krawędzi płaskowyżu, na którym usytuowane było Richmond. Rozpaliłem nad wodą ognisko i usiadłem pod daszkiem utworzonym przez gałęzie brzozy; wydało mi się, że cały ruch obrotowy zmienił punkt odniesienia i że teraz ja jeden obserwowałem, jak miasto oraz teren, na którym się ono znajdowało, wirują nocą w środku wszechświata.

Obudziwszy się, zauważyłem, że przez noc ognisko przygasło i teraz żarzą się w nim tylko pojedyncze węgielki. Piasek w miejscu, gdzie spałem, w jasnym świetle wczesnego poranka przypominał grubą jutową tkaninę. Wyrzucone na brzeg drewno, z którego rozpaliłem ognisko, było całe czarne i zwęglone. Usłyszałem muzykę, płynącą z boomboxa ustawionego

na skale pośrodku rzeki, gdzie grupka chłopaków i dziewczyn w moim wieku wylegiwała się na ręcznikach bądź ze śmiechem skakała w wartki nurt. Dostrzegłem wśród nich Luke'a, ale nie potrafiłem rozpoznać pozostałych.

Płonące w nocy ognisko sprawiło, że moja skóra przesiąknięta była popiołem i dymem, wszedłem więc do wody pod mostem, by spróbować zmyć z siebie ten zapach, ale godzinę później wciąż go wyczuwałem. Wspiąłem się z powrotem na wzgórze i poczłapałem przez most, trzydzieści metrów nad powierzchnią wody. Zbliżyłem się do krawędzi mostu, gdzie jego konstrukcja stykała się z podkładami kolejowymi i szedłem dalej, wzdłuż oksydowanego metalu, i od czasu do czasu machałem stopą nad przepływającą w dole rzeką i przyglądałem się dzieciakom, które śmiały się i pływały w słodkiej wodzie. Dzień był jasny i pogodny, a niebo za miastem jasnoblękitne i puste. Po dotarciu na północny brzeg jeszcze przez jakiś czas szedłem torami w kierunku miasta, po czym skręciłem w wydeptaną ścieżkę, która prowadziła nad wodę.

Przedostanie się na drugą stronę kanału nie było proste; mimo że został on wykopany około dwieście lat temu, to wciąż zdawał się mieć w sobie coś przemysłowego i wyglądał na nieco brudny. W końcu za kilkoma leżącymi na skraju kanału zwalonymi dębami dostrzegłem miejsce, w którym rzeka zwalniała swój bieg, i zawróciłem ku biegnącej wzdłuż brzegu ścieżce. Zaprowadziła mnie ona na pole biwakowe położone nad samą wodą i było popołudnie i pole opustoszało, ale dopiero przed chwilą. Pod dużymi, silnymi wiązami stały trzy szałas, które okalały małą polanę z paleniskiem i kilkoma pniakami do siedzenia.

Położyłem worek na ziemi i rozpałem ognisko, a potem zdjąłem buty i ubranie i powiesiłem je na gałęzi blisko ognia. Stopy trzymałem w wodzie, rzeka przepływała posłusznie obok mnie, a ja czułem się ledwie punktem w krajobrazie i byłem zadowolony. Nad moim ramieniem

przeleciała czapla biała, po czym śmignęła tuż nad samą powierzchnią wody, ja zaś pomyślałem, że to niemożliwe, by jakiegokolwiek ciało znalazło się tak blisko czegoś innego i mimo to zdołało utrzymać ten dystans i zachować kontrolę. Lecz końce ptasich skrzydeł wciąż muskały wodę tak jak wcześniej. Czapla najwyraźniej nie przejmowała się tym, w co wierzę, i przechyliwszy się lekko, zniknęła w oślepiającym świetle zachodzącego słońca, pełna gracji.

Powierzchnię pniaka, na którym siedziałem, pokrywały niewielkie, oplatające go z góry na dół linie. Wyżłobione albo wydrążone przez termyty, skomplikowane i układające się we wzór o uderzającej, dziwnej regularności. Luke wraz z resztą chłopaków i dziewczyn wciąż pluskali się w wodzie, po kolei skacząc do niej z wielkiego szarego głazu, a łagodny prąd unosił ich kilka lub kilkanaście metrów w dół rzeki, zupełnie jak w wesołym miasteczku. Byli piękni. Musiałem oprzeć się pragnieniu znienawidzenia ich.

Stałem się kimś w rodzaju kaleki. Byli moimi przyjaciółmi, prawda? Dlaczego więc nie zszedłem do nich do wody? „Hej, jak się masz?” – zapytaliby. Ja zaś odparłbym: „Mam wrażenie, jakby coś zżerało mnie od środka, a ja nie mogę nikomu o tym powiedzieć, bo wszyscy przez cały czas okazują mi tyle wdzięczności, dlatego poczułbym się wtedy tak, jakbym był niewdzięcznikiem czy coś w tym stylu. Albo że zdradziłbym się z tym, że nie zasługuję na niczyją wdzięczność i że wszyscy powinni tak naprawdę nienawidzić mnie za to, co zrobiłem, a tymczasem oni mnie za to kochają i to doprowadza mnie do obłędu”. Jasne.

A może powinienem był im powiedzieć, że pragnę umrzeć – nie w tym sensie, żeby rzucić się z tamtego kolejowego mostu, raczej pogрузić się w wiecznym śnie – ponieważ nie da się odpokutować zabijania kobiet ani nawet przyglądania się ich zabijaniu, to samo zresztą dotyczy zabijania mężczyzn i strzelania im w plecy, strzelania do nich więcej razy, niż to było

konieczne, żeby ich zabić, i czasem masz wrażenie, jakbyś próbował pozabijać wszystko, co tylko uda ci się zobaczyć, i czujesz, jakby do twojej duszy sączył się kwas, i nagle twojej duszy już nie ma, a ty wiesz, na podstawie tego, czego uczono cię przez całe życie, że rzeczy, które tu robisz, nie można w żaden sposób odkupić, a mimo to nawet twoja własna matka jest potem taka szczęśliwa i dumna z tego, że patrzyłeś przez celownik i sprawiałeś, że ludzie padali na ziemię i już nigdy się z niej nie podnosili, i tak, to prawda, że oni mogli próbować zabić ciebie, dlatego mówisz sobie: „cóż można było na to poradzić?”, ale tak naprawdę nie ma to żadnego znaczenia, ponieważ ostatecznie zawiodłeś i nie wyszedł ci ten jeden dobry uczynek, który mogłeś spełnić, bo osoba, która zgodnie z daną przez siebie obietnicą miała przeżyć, jest martwa, a ty widziałeś, jak wszystko ginie na więcej sposobów, niż chciałbyś to pamiętać, cała ta pieprzona historia złamała na jakiś czas twojego ducha, co za gówno, stary, z istnienia którego nie zdawałeś sobie nawet sprawy, dopóki nie zaczął martwić cię już tylko los zwierząt, wypatroszone psy wypełnione materiałami wybuchowymi, stare łuski po artyleryjskich pociskach i pieprzone flaki, a wszystko cuchnie metalem i smrodem płonących śmieci, a ty przechadzasz się wśród tego wszystkiego, nasiąkając głęboko tym zapachem i zadając sobie pytanie: „jak metal może się aż tak mocno palić?” i: „skąd biorą się te wszystkie cholerne śmieci?”, i nawet po powrocie do domu wciąż jeszcze czujesz tę woń, a potem to coś, co już wcześniej zaczynało ci się wymykać, znika na dobre i czujesz, że twój duch znalazł się na dnie, a potem pograża się jeszcze głębiej, bo widzisz, że wszyscy są tak cholernie szczęśliwi na twój widok, na widok mordercy, jebanego współsprawcy, na którym ciąży co najmniej część pieprzonej odpowiedzialności, i kiedy każdy chce poklepać cię po plecach, ty zaczynasz nabierać ochoty, by puścić z dymem cały ten przeklęty kraj, spalić każdą przeklętą żółtą kokardkę, która tylko wpadnie ci w oczy, i nie

umiesz tego wytłumaczyć, chciałbyś po prostu powiedzieć: „pierdolcie się”, ale przecież podpisałeś kontrakt, zgodziłeś się tam pojechać, więc tak naprawdę to wszystko twoja wina, bo pojechałeś tam rozmyślnie, więc koniec końców masz przejebane w dwójnasób, dlaczego zatem nie miałbyś znaleźć sobie jakiegoś miejsca, w którym mógłbyś zwinąć się w kłębek i umrzeć, możliwie najmniej boleśnie, bo przecież jesteś tchórzem i w gruncie rzeczy to właśnie przez własne tchórzostwo wpakowałeś się w ten syf, bo chciałeś być mężczyzną, bo ludzie w liceum śmiali się z ciebie i popychali cię na stołowce i na szkolnym korytarzu z powodu tego, że lubiłeś czytać książki, a czasem także wiersze, i nazywali cię pedałem i tak naprawdę, w głębi duszy, masz świadomość, że pojechałeś tam, ponieważ chciałeś zostać mężczyzną, a teraz już nigdy się to nie zdarzy, jesteś zbyt tchórzliwy, by nim być, i czas się z tym pogodzić, więc dlaczego nie znajdziesz sobie czystego, suchego miejsca, gdzie w możliwie bezbolesny sposób przeczekałbyś ten czas, do chwili aż zaśniesz i już się nie obudzisz, pieprzyć ich wszystkich.

Rozpłakałem się. Patrzyłem przez łzy, jak zapada zmrok. W gorącą letnią noc roześmiane dziewczęta wycierały się ręcznikami, stojąc na pociemniałych skałach w miękkim świetle latarni z pobliskiego mostu kolejowego. Wstałem i poszedłem ścieżką, która ciągnęła się wzdłuż brzegu, poszedłem nią donikąd. Stanąwszy na skraju wody, rozebrałem się i zanurzyłem w rzece. Powietrze było gorące, ale chłodziła mnie rzeka, a księżyc ponad drzewami na wierzchołku wzgórza, zasłaniającymi uliczne latarnie, sprawiał, że rzeka lekko migotała, a ja czułem, jak łagodnie w niej znikam. Pochyliłem się i położyłem się na wodzie, a prąd uniósł mnie lekko, trochę w dół rzeki, trochę w stronę snu.

Rzeka miała w sobie sen. Zwróciłem się w stronę przeciwległego brzegu, stojąc nago w wodzie. Widziałem stado koni na upstrzonym dereniami i wierzbami polu. Wszystkie były tej samej krwi, wszystkie dereszowate, za

wyjątkiem jednego, starego konia maści palomino, który przyglądał mi się, podczas gdy pozostałe pasły się w słabej księżycowej poświacie. Miał okrwawione kopyta, na jego zadzie widniały ślady po razach bata, a także wypalone piętno. Pochylając z wdziękiem głowę, wszedł do płytkiej wody. Prąd zmywał krew i zmierzający ku mnie koń zostawiał za sobą czerwony ślad. Stawiał nogi delikatnie, ale na jego pysku nie było żadnego grymasu, a niepewność widoczna była wyłącznie w jego krokach. Stałem, nagi, rozchlapując wodę obiema dłońmi. Nie mocno, po prostu poruszałem rękami w przód i tył, zataczając w wodzie półkola. Patrzyłem, jak się zbliża, lekko przy tym parszając, a kiedy już do mnie podszedł, raz i drugi potrząsnął spokojnie łbem. Stał teraz przede mną, stary, o skórze przetartej od uderzeń bata, i krwawił do wody, która opływała nas delikatnie, lecz pomimo swych ran głowę trzymał uniesioną wysoko. Potem pochylił się i trącił nosem moje ramię i szyję, ja też się wychyliłem, odwzajemniłem jego gest, objąłem go ramionami i poczułem siłę, drżącą w jego starych, obolałych mięśniach. Oczy konia były czarne i łagodne.

Tak pamiętałem moją wizję, kiedy się obudziłem. Przeklęty hałas. Przybliżające się krzyki. Ich krzyki:

– Wyciągnijcie go stamtąd! Niech to diabli, ratujcie tego dupka!

Ocknąłem się zszokowany i wyplułem wodę z rzeki, a tamci uderzali w moją klatkę piersiową, dopóki nie wyplułem jej jeszcze więcej; leżałem na brzegu, pijany i uśmiechnięty, przyglądając się zgromadzonym dookoła obcym twarzom. Przez jakiś czas moje ciało spoczywało częściowo w rzece, a częściowo poza nią i czułem, jak bezpiecznie płytka w tym miejscu woda z chlupotem obmywa i chłodzi moje stopy. Gdy odzyskałem przytomność, uśmiechałem się z roztargnieniem i myślałem o starym palomino, który trącał mnie nosem. Nieważne. Wołali do mnie w świetle latarni. Była noc.

To Luke zauważył, jak dryfuję, i zadzwonił pod numer alarmowy z komórki jednej z dziewczyn. Gliniarze, z szacunku dla mojej służby, nie kazali mi udawać, że jestem poddawany jakimś psychologicznym testom. Kiedy poprosili mnie o dokument tożsamości, wręczyłem im moją książeczkę wojskową, a oni stwierdzili:

– W porządku, żołnierzu. Zabierzemy cię do domu.

Wysadzili mnie przed domem, a jeden z nich spojrzał na mnie z pełną politowania troską i powiedział:

– Spróbuj wziąć się w garść, kolego. Wrócisz do formy, nim się obejrzysz.

Kiedy otworzyłem drzwi, moja matka już tam na mnie czekała. Ujęła moją twarz w dłonie i zaczęła obsypywać pocałunkami moje policzki i czoło.

– Myślałam, że cię straciłam – powiedziała.

– Ze mną wszystko dobrze, mamu. Wszystko w porządku.

– Nie rozumiem, co się z tobą dzieje. Zamartwiałam się na śmierć.

Stała tam przez chwilę, a potem podeszła do stolika i zaczęła przerzucać leżące na nim listy.

– Wiesz, teraz na dodatek odbieram jeszcze te telefony – powiedziała.

– Tak? Od kogo?

Odwróciła się, by na mnie spojrzeć, a wtedy w jej oczach dostrzegłem cały ból i przerażenie, jakie na nią ściągnąłem.

– Od jakiegoś kapitana. Powiedział, że jest z D.D.K. – wypowiedziała te słowa powoli. – Z Dowództwa Dochodzeń Kryminalnych. Chce z tobą porozmawiać.

Umilkła i ponownie się do mnie zbliżyła. Odsunąłem się i poszedłem do swojego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Jej głos dobiegł do mnie przez cienkie warstwy imitacji drewna.

– Co tam się stało, Johnny? Co się stało, synku? Co tam zrobiłeś?

„Co się stało? Co się, kurwa, stało? To nawet nie jest pytanie!” – pomyślałem. Jak mogłoby nim być? Jak można odpowiedzieć na coś, na co nie ma odpowiedzi? Zdanie relacji, co się stało, wyliczenie gołych faktów, podanie kolejności wydarzeń w czasie – wszystko to byłoby dla mnie czymś na kształt zdrady. Kostki domina, odpowiadające poszczególnym momentom, ustawione regularnie w szeregu, a następnie przewracające się do tyłu pod wpływem mglistego i niepewnego pchnięcia przyczyny, pokazywały tylko tyle, że przeznaczeniem każdego przedmiotu jest upadek. Nie wystarczy powiedzieć, co się stało. Wszystko się stało. Wszystko upadło.

8

PAŹDZIERNIK 2004

Al Tifar, prowincja Niniwa, Irak

Jesień nadeszła wraz z końcem naszego pierwszego szturmu. Ofiarowała nam wytchnienie od skwaru i kurzu, tłumiąc delikatnie jedno i drugie płaskimi ścianami deszczu, lejącego się z nieba o barwie nieobrobionego żelaza. Nadal byliśmy nerwowi, ale teraz byliśmy nerwowi i mokrzy.

Kilka dni po starciu w sadzie, w kwaterze polowej naszego plutonu złożył wizytę major – zjawił się nad ranem, tuż przed pierwszym brzaskiem. Podczas walk w sadzie pluton spisał się dobrze: ograniczyliśmy do minimum ofiary wśród cywilów i zabiliśmy wielu hadżich, tracąc tylko kilku naszych. Zasłużyliśmy tym sobie na dobre warunki służby: regularne czterdziestoosmiodzinne zmiany patrolowe, po których dostawaliśmy każdorazowo dwadzieścia cztery godziny wolnego. Kiedy przybył major, dopiero co wróciliśmy z jednego ze spokojniejszych patroli, podczas którego przeczesywaliśmy słabo zaludnione zabudowania na południowych przedmieściach Al Tafari. Niedbale rzuciliśmy na ziemię nasz ekwipunek i oparliśmy się o niskie betonowe bariery i drzewa, rozkładając się w nonszalanckich pozycjach.

– Pluton, baa-czność! – wrzasnął adiutant majora, gdy obaj nieśpiesznie weszli do naszej kwatery, uchylwszy zasłonę z siatki maskującej.

Porucznik chrapał, wyciągnięty na dachu betonowej komory, wewnątrz której często przeczekiwaliśmy moździerzowy ostrzał, grając w karty lub urządzając zapaśnicze pojedynki, dopóki nad obozem nie przeleciał z gwizdem ostatni szrapnel. Porucznik ani drgnął. Major i jego adiutant popatrzyli najpierw po sobie, potem spojrzeli na nas, my zaś spojrzeliśmy

na nich, tylko nieznacznie bardziej świadomi ich obecności niż chwilę wcześniej. Nawet Sterling się nie poruszył. Wciąż miał na sobie kompletny bojowy ekwipunek, który jak zwykle pozostawał w najlepszym porządku, zapięty na ostatni guzik; mieliśmy jednak za sobą trzy poprzedzające świt godziny, spędzone na oczekiwaniu na helikopter ratowniczy, który nie mógł wzbić się w powietrze z powodu burzy. Przez cały ten czas siedzieliśmy skuleni w rowie ściekowym, usuwając ostrożnie odłamki metalu z twarzy oraz szyi jednego z chłopaków. Byliśmy zmęczeni.

Adiutant odchrząknął.

– Baa-czność! – zakomenderował, tym razem głośniejszym głosem, ale nam dobrze się odpoczywało w chłodnym deszczu i w ciszy, jaka panowała o tej wczesnej porze, więc ledwie zwróciliśmy na niego uwagę.

Sterling podniósł się i spojrzał na porucznika pogrążonego w mocnym śnie.

– Spocznij – powiedział z niewielką dozą zapału, jaką był w stanie z siebie wykrzesać.

Major zaczął przemawiać, a my w tym czasie krzataliśmy się po naszym obozowisku. Jedynie Sterling zachowywał przepisową postawę i uważnie słuchał. Myślę, że to było wszystko, co mu wtedy pozostało. Odczytywanie udzielonych przez dowództwo pochwał odbywało się niejako na marginesie naszych spokojnych, służbowych czynności. Na suchych kawałkach ziemi, osłoniętych maskującą siatką i płachtami brezentu, czyszczono broń; niektórzy chłopcy, nie zwracając uwagi na deszcz, spierali kurz i sól ze swoich ubrań, szorując je w czerwonych plastikowych wiadrach napełnionych wodą, która pod wpływem brudu stawała się brunatna i mętna, inni wymieniali artykuły z racji żywnościowych na paczki fajek, paląc i mieszając się z tymi, którzy słuchali majora. Większość poświęcała nieproszonej ceremonii tyle uwagi, na ile ich zdaniem zasługiwała; w czasie, gdy major przemawiał, rozkazy przyznające nam pochwały

i medale za męstwo rozmakały i rozpadały się na organiczne strzępy, które następnie major osobiście wręczał lub też nie, w zależności od poziomu zainteresowania chłopaka, którego nazwisko zostało akurat wyczytane.

Jedynie awans Sterlinga wywołał jakiegokolwiek komentarze, a i to głównie za sprawą towarzyszącej mu Brązowej Gwiazdy, przyznanej sierżantowi za waleczność. Mówiliśmy: „Dobra robota, sierżancie” i „Zasłużył pan na to, sierżancie” i kolejno poklepywaliśmy go po plecach. Sterling zasalutował krótko majorowi, po czym wykonał w tył zwrot i usiadł, ponownie opierając się o pień drzewa, a zawieszony na wstędze medal ukrył w dłoni.

Gdy major wraz z adiutantem odeszli, zauważyłem, że na ceremonii nie było Murpha. Podczas kolejnych kilku tygodni zacząłem odnosić wrażenie, że Murph mnie unika. Początkowo nie zauważyłem niczego konkretnego, co mogłoby mnie zaintrygować. Na patrolach sprawiał wrażenie wycofanego, co zdarzało mu się już wcześniej. Kiedy spotykałem go w bazie, zachowywał się tak, jakby się gdzieś śpieszył, odwracał się do mnie plecami, kiedy próbowałem go dogonić, i opuszczał wzrok, kiedy nasze oczy spotykały się. Ale w takich przypadkach trzeba po prostu dać facetowi spokój. Cholera, nie minął więcej niż rok od czasu, gdy Murph spędzał większą część swojego życia zagrzebany w tamtej przeklętej kopalni, o której w kółko nawijał.

– Shipp Mountain – mówił – to dopiero gównno. Zjeżdżaliśmy na dół o trzeciej, czwartej nad ranem, leżąc na wózku, a ja odchylałem głowę, patrzyłem w górę i myślałem o tym, że kilka metrów nade mną jest cały świat, który tylko czeka, aż puści jakiś spaw, żeby zgnieść mnie na miazgę. Cholera, Bart – dodawał – czasami nie widywałem słońca przez całe tygodnie.

– Pieprzysz...

– Jak Boga kocham – zapewniał.

W Al Tafari narastał upał, a my patrolowaliśmy całymi godzinami. Było tak gorąco, że nawet po zachodzie słońca wydawało się, jakby kurz świecił swoim własnym światłem; tak kurewsko gorąco, że żartowaliśmy sobie ze Sterlingiem, drocząc się z nim dla jaj.

– Sierzancie, jest chyba z pięćdziesiąt stopni. Może byśmy się tak poddali i wrócili do domu? – proponował jeden z nas.

– Stulcie swoje pieprzone jadaczki – odpowiadał na to Sterling, jeśli był w złym humorze. A jeśli trafiał się jeden z tych rzadkich dni, kiedy nastrój sierżanta mógł być z grubsza określony mianem dobrego humoru, odwracał się ku nam, usiłującym sforsować mur albo wdrapać się po usypisku na brzeg rowu ściekowego, i z uśmiechem stwierdzał: „Życie to ból”.

A ja mówiłem do Murpha, tak jak ja oślepionego słońcem, które czasem zdawało się być całym niebem:

– Byłoby miło, gdyby dało radę wepchnąć nas w całe to gówno bezboleśnie.

Spędziłem wiele czasu, próbując precyzyjnie ustalić moment, w którym zauważyłem zachodzącą w Murphie przemianę, bo z jakiegoś powodu zdawało mi się, że jeśli zdołam ustalić, kiedy Murph zaczął osuwać się po krzywej dzwonowej, będę mógł jakoś temu zaradzić. Ale takie zmiany to ledwie niuansy i próby ich wyodrębnienia przypominają pomiar kolejnych stopni szarości z nastaniem wieczora. Ustalenie przyczyny czegokolwiek okazało się niemożliwe, ja zaś zacząłem postrzegać wojnę jako wielką farsę, z racji jej okrucieństwa i tego, jak desperacko pragnąłem zmierzyć poszczególne przejawy nowego, dziwnego zachowania Murpha, i prześledzić je kolejno tak, by w końcu dotrzeć do tego jednego momentu, tej jednej przyczyny, jednej rzeczy, za którą nie ponosiłbym winy. Pewnego popołudnia, gdy w otępieniu rzucałem kamykami do wiadra, nagle zdałem sobie sprawę, że prawdziwą farsą były moje usiłowania. Jak bowiem można

mierzyć odchylenie bez znajomości średniej? W świecie nie istniał żaden punkt centralny. Krzywa dzwonowa każdego z nas była poprzerywana.

Nie umiałem myśleć o niczym innym. Dni upływały mi na siedzeniu na zakurzonej ziemi i celowaniu kamykami do wiadra, pudłowałem, nieważne. Często zastanawiałem się nad niedorzeczną obietnicą, którą złożyłem matce Murpha. Nie pamiętałem już, co jej wtedy powiedziałem, ani nawet o co zostałem poproszony. O przywiezienie go do domu? To znaczy jak, całego i zdrowego? Czy może w ogóle, bez względu na stan? Nie potrafiłem sobie przypomnieć. Czy gdyby Murph wrócił nieszczęśliwy albo postradał zmysły, oznaczałoby to, że nie dotrzymałem słowa? Jak u diabła mogłem chronić coś, czego nie byłem w stanie dostrzec, nawet w sobie samym? „Pieprzyć tę sukę!” – przeklinałem w myślach, a potem od nowa zaczynałem się nad tym zastanawiać.

Wreszcie podzieliłem się moim niepokojem ze Sterlingiem. Roześmiał się.

– Niektórzy po prostu nie potrafią sobie, kurwa, z tym poradzić, szeregowy. Lepiej pogódź się z faktem, że Murph jest już martwy.

Zrobiłem drwiącą minę.

– Nie ma mowy, sierżancie. Murph się pozbiera – powiedziałem, po czym spróbowałem zbagatelizować uwagę Sterlinga, odwracając się do niego plecami. – Nic mu nie będzie, jest twardy.

Sterling siedział pod kiepską osłoną gałęzi, rzeźbiąc zwierzęce motywy w ułamanym trzonku siekiery.

– Zapominasz, jak to jest na krawędzi, bo bycie na krawędzi to teraz normalność. – Urwał i zapalił papierosa, który zwisał luźno z jego ust; słupek popiołu stawał się coraz dłuższy, a Sterling ponownie zajął się struganiem. – Jeśli wrócisz do Stanów w swojej głowie, nim znajdzie się tam twój tyłek, będziesz, kurwa, trupem, stary. Mówię ci. Ty nie wiesz, dokąd zmierza Murph, ale ja wiem.

– Niby dokąd, sierżancie? – spytałem.

– Murph jest w domu, Bartle. I zanim się obejrzysz, znajdzie się tam z flagą zatknietą w tyłek.

Odszedłem, zamierzając odnaleźć Murpha, a Sterling zawołał za mną:

– Jest tylko jedna prawdziwa droga do domu, szeregowy! Musisz być pojebusem w tym skurwysyństwie!

Poniekąd wiedziałem, że to prawda. W ciągu kilku kolejnych dni Murph stał się uosobieniem nieprzejrzystości, przez którą nie potrafiłem przeniknąć. Miałem swoje własne przemyślenia. Podczas wolnych od służby dni popuściłem sobie cugli, by swobodnie za nimi podążać. Przesiadywałem w bunkrach położonych w rzadko uczęszczanych zakątkach bazy i gadałem sam do siebie, napędzany taną jordańską whiskey. Moje rozlegające się w ciemnościach mamrotanie regularnie przerywał krótki szloch. Zaczynałem przypominać widmo. Spóźnioną refleksję. Wizualizowałem sobie własną śmierć w surowych, bezcelowych betonowych kanałach, po których włóczyłem się wieczorami. Gdyby ktoś mnie wtedy zobaczył, gdyby dało się mnie wtedy zobaczyć, mógłby dojść do wniosku, że zostałem rzucony w moją własną przyszłość: skulony pod sklepieniem miejskiego krajobrazu, tuż poniżej poziomu ulicy. Moje mamrotanie wcale nie wydawałoby się nietypowe, raczej nieuniknione, a mijający mnie mężczyźni i kobiety nie zwracaliby na mnie specjalnej uwagi. Ktoś mógłby zauważyć w przelocie: „Jaka szkoda, że nie udało mu się pozbierać”. A ktoś inny odrzekłby: „Właśnie, to takie tragiczne”. Ale ja nie przyjąłbym ich litości. Mógłbym być zdrętwiały z zimna, ale nie prosiłbym o zrozumienie. Nie, siedziałbym tylko, mamrocząc i zazdrosząc im rozłożystych parasoli, suchości oraz słodkiego, luźnego banału ich życia. Ale to nie miałyby znaczenia. Nie mogłoby go mieć, bo deszcz wciąż by padał, zalewając alejki i przepusty pod ulicami, w których bym odpoczywał. Padałby na obrzeża piętrowych parkingów, gdzie można

ulożone na jedną lub dwie noce, zanim ktoś cię znajdzie. Padałyby na miejskie parki, gdzie liście i nagie gałęzie, bym mógł pozostać suchy, zawarłyby pakt z kawałkiem tektury, na którym spisane przeze mnie żalosne przesłania rozmyłyby się w zupełnie nieczytelne plamy. Deszcz padałby tak, jak w Al Tadarze – miękko i z przerwami ponad wojną, a chwile, kiedy ustawał i zrywał się na nowo, zdawały się niczym więcej, jak tylko zwietrzałymi westchnieniami rezygnacji.

Kiedy tamtej nocy, siedząc w bunkrze na wschodnim krańcu bazy, wyobrażałem sobie własną śmierć, przychodziły mi do głowy wszelkie jej możliwe warianty. Sączyłem whiskey Royal Horse z butelki i wpatrywałem się w okrągłe wejście do bunkra, otwór, przez który widać było budynki i minarety, barwione purpurą i czernią przez każde z kolejnych wcieleń nocy, godzina po godzinie. Wyobrażałem sobie wszystko: pierwszą ranę, którą otrzymam już wkrótce, jesienią albo z nastaniem pory, która uchodziła tu za zimę; prawdopodobnie będzie wtedy chłodno, zwykle jest. Będę oczywiście krwawił, może nawet doznam wstrząśnienia mózgu, uderzenia w uszy i gwałtownych skoków ciśnienia. Będę krwawił.

– Będę krwawił – wybełkotałem, a mój głos rozbrzmiał głuchym echem w betonowym kanale. Murph znajdzie moje zwłoki, ale najpierw musiałem się stać zwłokami; musi być więc strzał, choć bardziej prawdopodobna wydaje się eksplozja i metal, zamieniający się w cienkie kawałki o poszarpanych krawędziach, które pozaginane utkwiają w mojej rozrywanej skórze. A ponieważ wybuchowi zawsze towarzyszy poczucie dezorientacji, w takim właśnie stanie będę leżał, krwawiąc, aż końcu moja twarz poszarzeje i cała moja skóra zrobi się szara – w ten oto sposób zamienię się w zwłoki. Wypowiedziałem na głos słowa: „szara” i „zwłoki”, a ciche samogłoski odbiły się echem od końców krótkiego kanału. Będę martwy. Dźwięk głosek „a” i „o” odpłynął w noc, w drobny deszcz, a ja zobaczyłem Murpha. Byłem pijany. Zobaczyłem Murpha, tulącego moją głowę, jej

nową wklęsłość, zobaczyłem, jak ciągnie mnie za ramiona. Moje nogi, zwiotczałe i martwe, wlekły się po ziemi, podskakując na drobnych nierównościach, ale nie zwracałem na nie uwagi, ponieważ wlekły się za moimi zwłokami. Roześmiałem się, a miękkie, wypchnięte z płuc „h” nie wywołało żadnego echa, potem ujrzałem wodę, na której unosiło się moje ciało, wodę z moją krwią, i wydało mi się, że poczułem woń mojej krwi, woń moich zwłok, ostry metaliczny zapach. Byłem tak bardzo pijany. Zobaczyłem wewnątrz ciemnych skrzyń, tanich trumien z cienkiej blachy i Wirginię, i wszystkie małe nagrobki ustawione rzędami, niczym zęby sterczące z łąki, a także kwitnące derenie, a potem opadające płatki i moją zapłakaną matkę, płakała. To ja doprowadziłem ją do łez. Widziałem zwartość gleby, robaki, flagę i znikającą metalową skrzynię i widziałem brązową ziemię na całą wieczność, i pomyślałem o Murphie i o wodzie, po czym wymówiłem pytającym tonem słowo „woda” i to było wszystko, co zdołałem zapamiętać, nim się obudziłem. Wszystko, oprócz sylabicznego echa własnego głosu, odbijającego się od betonu i powtarzającego: „qua... qua... qua...”.

Przestało padać. Pogoda zrobiła się łagodniejsza. Nasza kolejna czterdziestoosmiogodzinna zmiana patrolowa przebiegła bez przygód. Przestaliśmy już wtedy zdawać sobie sprawę nawet z naszego własnego barbarzyństwa: bicia ludzi i kopania psów, rewizji i przemocy wynikającej z samej naszej obecności. Każde działanie było którąś ze stron z podręcznika, ćwiczeniem wykonywanym z pamięci. Nie obchodziło mnie to.

Minęły dni, odkąd po raz ostatni rozmawiałem z Murphem. Nikt z nas z nim nie rozmawiał. W wiadrze na pranie, razem z mydłem i innymi rzeczami, znalazłem resztki jego karty obrazy, a także zdjęcia oraz listu od byłej dziewczyny. Schowałem je do kieszeni. Zacząłem śledzić Murpha, próbując rozgryźć, co właściwie kombinuje. Nie chciałem uwierzyć, że

obserwuję poczynania kogoś, kto już jest martwy, szukałem więc dowodów, które by temu przeczyły; szukałem dowodu przynajmniej na to, że Murph wciąż trzyma się życia.

W całej bazie zacząłem natrafiać na pozostawione przez niego znaki: „Murph tu był”. Do tego mały rysunek: dwoje oczu i nos, wyglądające spoza cienkiej linii. Czasem dorysowywał także wystające ponad murem palce, a czasem nie; zawsze jednak widniały tam śmieszne, badawcze oczy oraz nos, a także podpis: „Murph tu był”. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie zajmował się tym przez cały czas naszej służby. Nie było dat, przynajmniej nie natknąłem się na nie przy żadnym z pół tuzina znaków, które znalazłem, nie wydawało mi się jednak, by którykolwiek z nich pochodził sprzed więcej niż tygodnia. Na podstawie tych kilku znalezionych rysunków usiłowałem namierzyć miejsce jego pobytu, posługując się metodą triangulacji i starając się kolejno zawęzić rejony, w których mógłby przebywać. Przez kolejne tygodnie obserwowałem stołówkę, kompanię transportową, odległe wieże strażnicze, a nawet targowisko hadzich, które dowodzący naszą brygadą pułkownik pozwolił rozstawić na terenie bazy, żebyśmy mogli udzielać lokalnej ludności dodatkowego wsparcia, uczestnicząc w lokalnej czarnorynkowej gospodarce. Nigdzie jednak nie mogłem znaleźć Murpha.

Kiedy skończyły mi się pomysły, zacząłem wypytywać innych.

– Ktoś wie, gdzie podziewa się Murph?

– Nie, stary – oznajmiali jedni.

– Niby skąd miałbym to, kurwa, wiedzieć? – odpowiadali pytaniem inni.

Natknąłem się na Sterlinga, opierał stopy na niskiej stercie worków z piaskiem i pornograficznym pisemkiem osłaniał oczy przed mętym blaskiem słońca.

– Hej, sierżancie, widział pan gdzieś ostatnio Murpha?

– Taa... – odparł. – Łaził do sanitariuszy i gapił się tam na jakąś dziwkę.

– W kwaterze głównej?

– Nie, głupku! – odparł. – Gapi się na naszego sanitariusza, grubego Smitty’ego.

– A, dobra. Przejdę się tam i zobaczę, co kombinuje.

– To wasza wojna, szeregowy – powiedział sierżant Sterling, a ja opuściłem naszą kwaterę, nurkując pod rozpiętą pomiędzy bunkrami a kontenerami siatką. Podtrzymałem rękami zwieszający się luźno i opadający na mnie niczym całun materiał. Cienkie smugi światła, przedostające się przez przestrzenie między splotami sieci, padały na moje ręce i resztę ciała, a także na zakurzoną ścieżkę prowadzącą na niewielkie wzgórze, na którym stacjonowali medycy z kwatery głównej.

Pałac papierosa za papierosem, dotarłem do podnóża pagórka. Pod warstwą zbitego kurzu, pokrywającego większość naszej bazy, stała tam mała drewniana kaplica. Biała farba na jej deskach łuszczyła się i odpryskiwała od ostrego wiatru, a wokół budynku, na obrzeżu nie odzyskanym jeszcze przez pustynną ziemię, wykopano kilka dołków, z których wyrastały drzewa, posadzone, by dawać cień, a potem pozostawione samym sobie w letnim skwarze. Na szczycie wzgórza znajdowało się niedbale oczyszczone z piachu lądowisko dla helikopterów. Za nim widać było rzędy namiotów oraz wykopanych z ziemi betonowych przepustów, tworzących podzielony na sekcje labirynt. Cały ten niewielki kompleks otoczony był niskim kamiennym murem, wijącym się wokół wierzchołka wzgórza niczym rozpleciona wstęga odwapnionej kości, i sprawiającym wrażenie, że jest o włos od zapadnięcia się z powrotem w ziemię, z której wydobyto kamienie do jego budowy.

Zbocze wzgórza miało łagodny spadek. Kiedy dotarłem na szczyt, odwróciłem się i spojrzałem z góry na widoczną w niewielkim oddaleniu bazę oraz linię ogrodzenia, przerywaną wieżyczkami i stanowiskami ogniowymi. Ponad ogrodzeniem widoczne były tory oraz droga, biegnące

obok siebie na odcinku kilkuset metrów i obramowane szpalerem rozłożystych wiecznie zielonych drzew, które teraz oklapły pod wpływem chłodnego powietrza i niedawnego deszczu. Przez ich obwisłe gałęzie dostrzegłem miasto, które rozciągało się chaotycznie, zupełnie jak pokładający się po chodniku pijak.

– Cześć, Bart – odezwał się Murph.

Siedział w cieniu muru i gdy zobaczyłem go na tle tej niedokończonej konstrukcji ze spiętrzonych kamieni, wydało mi się, że drży.

– Gdzieś ty się podziewał, bracie? – zapytałem.

– Byłem tutaj. Tutaj.

– Wszystko w porządku?

Dłonie Murpha tkwiły w kieszeniach. Wyciągnięte przed siebie nogi skrzyżował w kostkach. Zdawał się spoglądać w kierunku ambulatorium, jak gdyby czekał na coś konkretnego, o czym ja nie miałem pojęcia. Z nieba dobiegł powolny furkot wirnika helikoptera. Maszyna obniżyła pułap i przechyliła się w powietrzu, lecąc nisko ponad linią horyzontu na tle oślepiającego blasku słońca. Usiadłem w cieniu obok Murpha i obaj przycisnęliśmy do głów nasze czapki, by nie wpadły w skłębione drobiny kurzu, wirujące po spiralach w strumieniach powietrza pod wirnikiem.

Gdy tylko helikopter zawisł nad lądowiskiem, w obrębie murów rozpoczęła się krzątania. Jeden z sanitariuszy naprowadzał helikopter na płytę lądowiska, a dwóch innych trzymało już przygotowane nosze. Nawet z zajmowanego przez nas miejsca widać było, że pokrywają je rdzawobrazowe plamy krwi. Kolejny sanitariusz, dziewczyna, przykucnęła w kurzu obok noszy. Była blondynką, miała brązowy T-shirt i lateksowe rękawiczki, sięgające do jej białych łokci. Krótkie rękawy koszulki były podwinięte aż do delikatnych, białych łuków jej ramion, a błękit rękawiczek tak mocno odcinał się od tła monochromatycznej, zimowej

nijakości pustyni, że wpatrywaliśmy się jak urzeczeni w ich każdy najdrobniejszy ruch.

– Patrzysz na tę dziewczynę? – spytałem.

– Cały czas.

Helikopter wylądował i dowódca załogi z pomocą sanitariuszy wyciągnął z kabiny leżącego na metalowej podłodze chłopaka, a on zawył w pantomimie pod dudniącym *staccato* obracających się łopat wirnika. Jego krew znaczyła pokonywaną przez niego drogę z podłogi w ramiona przenoszących go osób, następnie na nosze, a jego noga nie była już nogą – widoczna spod rozciętej nogawki spodni przypominała teraz gęstą kukurydzianą papkę koloru mokrej gliny. Dziewczyna zacisnęła na nodze opaskę uciskową i zajęła pozycję z boku noszy, po czym cała grupka ruszyła biegiem w kierunku prowizorycznego szpitala i jedna dłoń w rękawiczce obejmowała dłoń chłopaka, a druga dłoń w rękawiczce muskała jego twarz, jego włosy, jego usta i oczy, potem wszyscy zniknęli za płachtą namiotu, a helikopter wzbił się, ponownie przechylił w powietrzu i odleciał w stronę horyzontu. Kiedy dźwięk chłoszczących powietrze wirników śmigłowca ucichł ponad miastem, głos chłopaka, krzyczącego w ciasnocie szpitalnego namiotu, rozbrzmiał donośniej. Kilka kręcących się nieopodal wzgórza osób przystało. Murph i ja trwaliliśmy w bezruchu i milczeniu. Wszyscy wsłuchiwali się, jak krzyki chłopca, których nie dało się nie słyszeć, słabną i po chwili zupełnie cichną. Mogliśmy jedynie mieć nadzieję, że to tylko jego głos się załamał, że chłopak się zmęczył albo został poddany narkozie, że teraz oddycha głęboko chłodnym powietrzem, a jego struny głosowe odpoczywają od muzyki jego agonii, ale wiedzieliśmy, że to nieprawda.

– Chcę wrócić do domu, Bart – powiedział Murph. Wyciągnął porcję tytoniu, umieścił ją pod dolną wargą i splunął na ziemię.

– Już niedługo, stary, już niedługo.

Przypadkowi świadkowie ruszyli każdy w swoją stronę, w dół lub w górę wzgórza, przywróceniu do swojego stanu sprzed chwili.

– Kiedy już będę w domu, nikomu się nie przyznam, że tu byłem – oświadczył Murph.

– Niektórzy i tak będą wiedzieć, Murph, i nic na to nie poradzisz.

Dziewczyna wyszła z namiotu. Z jej ruchów zniknął cały uprzedni pośpiech. Zdjęła rękawiczki, poplamione teraz ciemną krwią, po czym wrzuciła je do beczki. Miała blade ramiona, ale jej dłonie były ciemne; zauważyłem też, że były drobne. Spojrzałem na Murpha i pomyślałem, że rozumiem, dlaczego tu przychodzi. Nie z powodu jej urody, choć dziewczyna była przecież piękna. To było coś innego. Przyglądaliśmy się, jak bierze kawałek mydła z talerzyka i myje ręce nad prowizorycznym zlewem przytwierdzonym do słupa. W popołudniowym świetle widać było miękkie meszek na jej szyi; cała dziewczyna była skąpana w tym blasku. Nieliczne chmury przepływały po niebie, a ona usiadła na ziemi, zapaliła papierosa, skrzyżowała nogi i zaczęła cicho płakać.

To nie piękno sanitariuszki sprowadzało tam Murpha przez te wszystkie długie, nierozróżnialne dni. Chodziło o to miejsce, o te małe namioty na szczycie wzgórza, o ten płachetek ziemi, na którym przebywała dziewczyna; możliwe, że była to ostatnia ostoja delikatności i życzliwości, z jaką będziemy mieć do czynienia. Przyglądanie się, jak sanitariuszka łka cicho na otwartej przestrzeni tego zakurzonego skrawka ziemi miało zatem sens. I zrozumiałem, dlaczego nie potrafię stąd odejść, przynajmniej nie w tej chwili – ponieważ nigdy nie wiadomo, czy to, co się widzi, za jakiś czas nie zniknie na zawsze. Oczywiście, że Murph chciał zobaczyć coś z natury dobrego, chciał patrzeć na piękną dziewczynę, chciał znaleźć miejsce, gdzie nadal istniało współczucie, ale tak naprawdę nie o to w tym wszystkim chodziło. Chciał wybierać. Chciał chcieć. Chciał zastąpić narastającą w nim monotonię czymkolwiek innym. Chciał samemu

decydować o tym, co będzie gromadziło się wokół jego ciała, chciał odrzucić to, co zostało zesłane na niego przez ślepy przypadek lub splot okoliczności i pozostawało w jego orbicie niczym pył i gaz wokół źródła grawitacji. Chciał mieć jedno wspomnienie nabyte z własnej woli, wspomnienie, którym mógłby zrównoważyć strzępy tego wszystkiego, o co nigdy nie prosił.

Dziewczyna wstała i rzuciła papierosa na ziemię, zgasiła go czubkiem buta i skierowała się ku kaplicy. Przeszła obok chaotycznie posadzonych topoli i uschniętych wiązowców w kierunku kaplicy tkwiącej jak spóźniona refleksja pośród pokrytej pyłem wklęsłości terenu, postawionej w pewnym oddaleniu od przykrytych siatką maskującą dział, które spoczywały po drugiej stronie łagodnego wierzchołka wzgórza. Światło, wpadające do kaplicy między listwami i przez szczeliny w wypaczonych deskach, przecinało jej wnętrze na wskroś. Wieżyczkę budowli, zwieńczoną prostym, surowym krzyżem, dostrzec mogli nawet mieszkańcy obrzeży miasta. Prosta biała konstrukcja, podniszczona i odrapana, obramowała widoczną w oddali dziewczynę. W kaplicy nie było drzwi, a okna pozbawione były zarówno szyb, jak i framug. Zmierzająca ku niej dziewczyna kroczyła po drobnym pyłe, który wzbijał się za nią w postaci niewielkich pióropuszy.

Położyłem dłoń na ramieniu Murpha.

– Nic nam nie będzie – powiedziałem. – Mamy siebie nawzajem. Wiemy, co tu jest grane.

– Nie chcę przyjaźnić się z kimś z powodu tego wszystkiego. To, że tu jesteśmy, nie może być powodem przyjaźni. Nie pozwolę, żeby nim było.

– Nie, stary – zaprzeczyłem. – Ty i ja przyjaźnimy się tak po prostu. Bylibyśmy przyjaciółmi w każdym innym miejscu. Wcale nie chodzi o to, co się tu dzieje.

Nie potrafię sobie przypomnieć, czy faktycznie tak myślałem. Wtedy czułem się zupełnie inaczej, wszystko było takie natychmiastowe i nowe,

pozbawione jakiegokolwiek refleksji. Patrzyłem na świat z krótkowzrocznej perspektywy, szukając w nim wyłącznie tego, co mogło mnie zabić w ciągu najbliższych kilku chwil. Nie wiem nawet, czy rzeczywiście byliśmy sobie bliscy. Dopiero później spróbowałem zrozumieć i odkryć, za co ponosiłem winę.

Złapałem go za rękę i dźwignąłem w górę, wstaliśmy i ruszyliśmy z powrotem w kierunku kwater naszego plutonu. Zdawałem sobie sprawę, co Murph próbował mi powiedzieć, i napawało mnie to przerażeniem. Nie dopuści, by to miejsce wytworzyło w nim więź z czymkolwiek lub z kimkolwiek, nawet ze mną. Bałem się, bo nurtowało mnie pytanie, co Murph będzie zmuszony zrobić, by dotrzymać tej danej sobie obietnicy.

Nie zdążyliśmy przejść nawet kilku kroków, gdy usłyszeliśmy wycie nadlatujących pocisków z moździerzy. Przenikliwy dźwięk, jakby niebo stało się czajnikiem z gotującą się wodą. Murph i ja spojrzeliśmy po sobie, zaglądając tępo w głąb własnej nieskończoności, złożonej z piętrzących się ułamków sekund. Przez jedną krótką, niedającą się oszacować chwilę nie byliśmy ani odważni, ani przestraszeni. Nie poruszaliśmy się ani nie odzywaliśmy. Nasze wilgotne oczy spotkały się ze sobą w spojrzeniu spłoszonych wystrzałem koni. Nie byłem w stanie stwierdzić, gdzie dokładnie uderzył pierwszy pocisk, ale słyszeć było, że gdzieś blisko. Poczułem, jak otacza mnie huk małej stalowej pięści uderzającej w pierś ziemi. Grunt zatrzęsł się pod moimi butami i zobaczyłem jedynie jasny błysk, a potem szary dym, przypominający brudną farbę chluśniętą na sprane płótno, a wszelkie kształty rozsypały się w małe paciorki, rozrzucone przez wściekły chrzęst uderzenia.

Padłem bez namysłu na ziemię, zakryłem głowę rękami, otworzyłem usta i skrzyżowałem nogi w kostkach. Liczyłem uderzenia serca. Wciąż żyłem. Po każdym potężnym, wstrząsającym uderzeniu nad moją głowę przelatywały małe kawałki metalu, których prędkość i dźwięk wydawały

się wyjęte spod wszelkiej kontroli. „Weź oddech. Potem następny. Ostrzał się nasila. Skup się”.

Poddałem się, skapitulowałem, jak zwał, tak zwał, było już po mnie. Moje mięśnie stały się marionetkami zakończeń nerwowych i pamięci.

– Murph! – usłyszałem swój własny głos, oderwany od ciała, wcinający się łukiem w kurz i dym. – Murph!

Żadnej odpowiedzi. W mojej głowie rozległy się słowa instruktora musztry, które zdominowały każdą synapsę wewnątrz mojego niepodziurawionego, przynajmniej na razie, mózgu: „Skulcie się, szeregowy. Jeśli chcecie ocalić wasze dupsko, skulcie się tak, żebyście mogli się schować pod waszym hełmem”.

Nie liczyłem pocisków. Odrzuciłem wszelkie miary czasu i przyrostu jak dziecinne przesady. Ziemia drżała, a jej wibracje przenosiły się na moje ręce i docierały do nasady moich pokrwawionych dłoni, którymi desperacko próbowałem uformować przed moją twarzą kopczyk wyschniętej ziemi. Wibracje przepływały ku moim łokciom i potrząsały guzikami mojej bluzy, które wbijały się w glebę jak nity. „Skulcie się, szeregowy. Skulcie się, kurwa, i pozostaniecie skuleni”.

Nastąpiła chwila ciszy, krótka i nieuchwytna jak wąski snop słonecznego światła, który w roztargnieniu przeniknął przez chmury. Poczułem silny ucisk w klatce piersiowej, tuż pod mostkiem, jakby moje żebra zamieniły się w palce, zgięte w artretyczną pięść. Wciąż leżałem na ziemi. Twarz i reszta ciała wyżłobiły w niej płytkie zagłębienie. Piasek, który miałem w ustach, chrząścił między zębami i pokrywał język cienką warstwą pylistego osadu. Dostał się również do nosa. Każdy oddech był gęsty i zawieszisty i przez chwilę czułem się tak, jakbym spadał, tak jak wtedy, gdy zrywasz się ze snu, w którym twoim palcom wyslizguje się ostatni uchwyt nocy.

Nasłuchiwałem komendy odwołującej alarm, ale niczego nie słyszałem. „To moje życie – pomyślałem. – Pieprzyć to, nie zamierzam zginąć w grobie wykopanym moimi własnymi pokrwawionymi rękami”. Zacząłem podnosić się z ziemi i kiedy byłem już na kolanach, pociski znów zaczęły spadać, lecz tym razem już nie tak blisko jak poprzednio. Korekta ognia. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby krzyknąć, skąd i z jakiej odległości strzelają, zacząłem więc biec. Bałem się. Oczy zaszczyły mi łzami i zlałem się w spodnie. Choć nie było takiej potrzeby, wrzasnąłem: „Wstaję!” i pogałem przed siebie na trzęsących się jak galareta nogach.

– Przemieszczam się! – krzyknąłem, łkając przy każdym kroku.

– Leżę! – wykrztusiłem wreszcie i bez tchu runąłem do bezpiecznego łona płytkiego rowu, w którym płynęła brudna, ohydna woda, jakiej nie da się zmyć całymi tygodniami. Jedynie mój nos i oczy wystawały ponad jej poziom. W oddali rozpierzchnęło się stado długonogich drozdów, a dudniący hałas zaczął przygasać i słabnąć, w miarę jak granaty z moździerzy spadały coraz dalej ode mnie. Znów usłyszałem, jak odłamki szybko i bezwzględnie przecinają powietrze, ale już nie tak blisko mnie. Pozostałem jednak w tym pieprzonym ścieku, dopóki nie upewniłem się, że od dłuższej chwili nie spadł już żaden pocisk. Szary dym opadł do mojego cuchnącego rowu. Kurwa. Odetchnąłem. Udało mi się.

Rozejrzałem się, próbując ocenić, gdzie ostatecznie wylądowałem. Rów ściekowy przebiegał przez sam środek bazy, poniżej wzgórza, na którym znajdowała się kaplica oraz ambulatorium, i u podnóża kolejnego niewielkiego wzniesienia, gdzie stał rząd opuszczonych budynków jeszcze sprzed wybuchu wojny, w których pułkownik pozwolił hadżim otworzyć małe sklepiki. To właśnie te sklepiki, nazywane przez wszystkich w bazie centrum handlowym hadżi, musiały być celem dla moździerzy. Wyglądało na to, że przyjęły na siebie główny impet ostrzału. Na pagórku nade mną hadżi zaczęli wznosić modły, ściskając kurczowo swoje drewniane

modlitewne paciorki. Rozległy się chóralne, ponure zawodzenia. Witryny ruder, w których mieściły się ich sklepiki, były niemal doszczętnie zniszczone, tu i ówdzie buchały płomienie, a na otwartej przestrzeni wokół bazaru leżały rozrzucone części tanich, podrabianych zegarków. Pogięte i porozbijane cyferblaty odmierzały czas spoza wszelkich stref. Chaotycznie rozsiane zwoje i sprężynki, metalowe części połyskujące sztucznym srebrem i złotem sprawiały, że dopiero co poorana bliznami ziemia błyszczała jak należy w promieniach słońca.

Kurz rozproszył się, tak samo jak dym z ostatnich pocisków, który uleciał ku nielicznym chmurom, przypominającym niedbałe pociągnięcia pędzlem na bladoniebieskim niebie. Rozległ się ryk syreny, ostrzegającej o pociskach, które zdążyły już spaść. Wypełzłem z rowu i skierowałem się w stronę małego spalonego bazaru; w moich butach chlupotała cuchnąca stęchlizną breja.

Na otwartym dziedzińcu sanitariusze udzielali pomocy rannym. W pyle leżał sklepikarz, z żyły na jego szyi tryskała pulsującym strumieniem czarna krew. Rozwarł szeroko swoje smoliste oczy, po czym mocno zacisnął powieki. Wierzgał dziko stopami. Znoszone brązowe sandały poruszały się po piasku tam i z powrotem, pozostawiając na ziemi abstrakcyjne ślady jak wskazówki obscenicznego zegara. Sanitariusze przytrzymywali szyję leżącego i uciskali ranę, nie potrafiąc powstrzymać upływu krwi, wreszcie ciało rannego pozbyło się całych jej zapasów i mężczyzną szarpnęło po raz ostatni, a jego ciało całą swą powierzchnią spoczęło w kurzu. Otoczyli je inni wędrowni kupcy, którzy odpędziwszy sanitariuszy, dźwignęli zmarłego za ramiona; jego krew wsiąkała w ich długie białe szaty i plamiła końcówki ich nakryć głowy. Jeden z kupców przyniósł kawał dykty i umieścił go na nieczynnej fontannie, stojącej na środku bazarowego dziedzińca. Następnie na fontannie złożone zostało ciało zmarłego, a kupcy rozpoczęli swoje recytacje nie z tego świata.

Ustawione nieopodal kaplicy działa zaczęły szarpać się i podskakiwać. Każde pociągnięcie za sznur spustowy posyłało w kierunku miasta kolejny szybujący z gwizdem pocisk. W miejscu, gdzie zmarł sklepikarz, ziemia zabarwiła się na rdzawobrazowo. Ostatnie konwulsje nóg i rąk umierającego pozostawiły na niej osobliwe ślady. Przyklęknąłem na jedno kolano, by przyjrzeć im się z bliska, ale natychmiast się odwróciłem, usiłując opanować odruch wymiotny i podchodzącą do gardła żółć. Obraz, który zobaczyłem, wrył się w mój umysł, zmieniając go tak, jak erozja zmienia krajobraz. Nawet kiedy się stamtąd oddaliłem, wciąż go widziałem: doskonałą sylwetkę anioła z piachu i krwi.

Mozolnie pokonywałem drogę pod górę, zmierzając w stronę kaplicy. Jej wieżyczka zawaliła się. Mały drewniany krzyż odłamał się i tkwił teraz wbity w ziemię opodal kępy drzew tamaryszku. Dziewczyna, sanitariuszka, była mniej więcej tam, gdzie spodziewałem się ją znaleźć, leżała na ziemi obok kaplicy, a cienkie kosmyki jej włosów poruszały się na wietrze, na przemian chowając się i wydostając spod kurzu, w nieprawdopodobny, a jednocześnie na wskroś rzeczywisty sposób. Jej powieki były na wpół przymknięte. Umundurowane plecy dwóch chłopaków pochylały się nad nią w spektaklu jakiejś starożytnej pantomimy, w milczącej i niezdarnej próbie przywrócenia jej do życia.

Kiedy do nich podszedłem, jeden z nich podniósł na mnie wzrok.

– Wydaje mi się, że ona nie żyje – odezwał się.

Drugi z chłopaków odwrócił się. Był to Murph. Klęczał z dłońmi opartymi na udach, wpatrując się w dziewczynę z otwartymi ustami.

– Przyjechałem tu dopiero wczoraj – wyznał ten pierwszy.

Murph milczał. Nie poruszał się.

– Nie wiedziałem, co robić... – Chłopak rozplakał się, a potem wykrzyknął: – Gdzie byli ci pierdoleni sanitariusze?!

Wyciągnąłem ręce i chwyciwszy go za ramiona, podniosłem go na równe nogi.

– Chodź, kolego – powiedziałem. – Musimy ją przenieść.

Na dziewczynę spadły dwie wypaczone, zniszczone deski z kaplicy. Pochyliliśmy się, by je usunąć. Siła wybuchu rozerwała jej koszulkę; głęboka rana na jej na boku przestała już krwawić. Jej skóra była bladoszara. Martwoszara. Poprawiliśmy koszulkę, zakrywając nią ciało, po czym ułożyliśmy równolegle trzy deski i umieściliśmy na nich dziewczynę.

Kawałkiem liny obwiązałem deski i dźwignąłem je z jednej strony.

– Murph – ponagliłem. – Chodź, pomóż nam.

Nowy chwycił za końce desek przy stopach dziewczyny, a Murph skulił się we wciąż dymiących zgliszczach kaplicy i raz po raz mamrotał do siebie: „co tu się przed chwilą stało?”.

W miarę jak oddalaliśmy się z ciałem dziewczyny w górę wzgórza, coraz słabiej słyszeliśmy litanie Murpha. Nowy i ja zmierzaliśmy z ciałem martwej sanitariuszki do ambulatorium.

Po drodze minęliśmy olchowo-wierzbowy młodniak. Drzewka przygięły się od ciepła bijącego z płonących nieopodal ognisk, a ich gałęzie oplakiwały martwą dziewczynę, pokładając się tak, jak i ona leżała na prowizorycznych noszach. Nasze ręce drętwiały wraz z kolejnymi krokami, które staraliśmy się stawiać z całym szacunkiem, jaki mogliśmy z siebie dać, ściskając kurczowo krawędzie desek. Cienkie drzazgi wrzynały się we wnętrza naszych dłoni. Delikatne krągłości ciała dziewczyny falowały pod jej rozdartym ubraniem, kołysząc się w rytm naszego marszu. Deski zatrzeszczały. Grupka żołnierzy przerwała sprawdzanie stanu osobowego i obróciła się w naszą stronę. Jak na jakimś żenującym przeglądzie wojskowym wnosiliśmy jej ciało po łagodnie nachylonym zboczu, wzdłuż szeregu żołnierskich mundurów o spłowiałym, cętkowanym kamuflażu. W pełnej powagi atmosferze ponieśliśmy mary przez ostatni odcinek

pochyłości. Gdy dotarliśmy na szczyt, opuściliśmy związane sznurem deski na ziemię i złożyliśmy u stóp drzewa jej ciało, teraz półprzezroczyste i niebieskawe. Patrzyliśmy, jak sanitariusze wezwani przez jednego z żołnierzy zbliżają się do leżącej. Przyjaciele obejmowali ją, ściskali i całowali. Dziewczyna kołysała się bezwładnie w ich czułych ramionach, a oni krzyczeli z żalu pod zachodzącym słońcem. Trzymałem dłonie przyciśnięte do potylicy. Gdy stamtąd odchodziłem, rozległo się wezwanie muezina. Zachodzące na horyzoncie słońce przypominało krwawy skrzep. Niewielki pożar, trawiący zrujnowaną kaplicę, rozprzestrzenił się i objął kępę drzew tamaryszku. A wszystkie żarzące się szczątki paliły się jak lampy, oświetlając mi drogę.

9

LISTOPAD 2009

Richmond, Wirginia

Zanim znowu nastąpiła jesień, zdążyłem na dobre zadomowić się w budynku dawnej gazowni na skraju rzeki. Wiodłem tam skromne życie. Zajmowałem mieszkanie na górnym piętrze i nie miałem zbyt wiele towarzystwa. Na pewien czas była to dla mnie idealna sytuacja. W wiszącej za oknem zapuszczonej skrzynce na kwiaty sadowił się od czasu do czasu pewien bezdomny szylkretowy kot. Miał on w zwyczaju wałęsać się po gzymsach i parapetach oraz przeskakiwać pomiędzy zewnętrznymi klimatyzatorami a balkonami, których było w budynku kilka. Raz czy dwa wyciągnąłem ku niemu rękę, próbując go pogłaskać.

– Chodź tu, kolego – powiedziałem. – Chodź, kici, kici.

On jednak tylko miauknął na mnie i w dalszym ciągu pocierał pyszczkiem o kikut nagiej gałęzi. Nad małym gazowym piecykiem zawiesiłem kilka medali. Zdjęcie Murpha, które zabrałem z jego hełmu, przypiąłem pinezką w kącie obok okna, w miejscu, gdzie pękał tynk. Rzadko wychodziłem na zewnątrz.

Czasami przechodziłem po kładce dla pieszych na drugą stronę rzeki, gdzie leżało miasto, żeby zaopatrzyć się tam w zgrzewkę piwa lub pudełko mrożonych zapiekanki z mięsem i warzywami. W drodze powrotnej, idąc ze wzrokiem utkwionym w czubkach butów, za każdym zauważałem, że zmniejszyła się długość moich kroków i że od przylotu do domu mój chód stracił sprężystość, zmieniając się w powłóczenie nogami. Kiedy zrobiło się wystarczająco zimno, zacząłem wystawiać nocą kilka piw na okienny parapet. Zapiekankę podgrzewałem na przenośnej kuchence, bo nie miałem

odpowiedniego sprzętu, by przygotować ją zgodnie z instrukcją. Gdy zapadała noc, a szron osadzał się na krawędziach okien, kartkowałem wyciągnięte ze śmietników magazyny i na stronach z bieżącymi informacjami szukałem nazw miejsc, w których kiedyś byłem. Zjadałem niedogotowany posiłek i wypijałem na tyle dużo schłodzonych za oknem piw, by móc zasnąć. Często myślałem o tym, co zobaczyłby ktoś, kto znalazł rzeki, w miejscu, gdzie przecinała łukiem niewielką dolinę, spojrzaliby w górę: moją rękę, chudą i białą, wyciągającą się zza poźółkłej zasłony, rękę bez reszty ciała, sięgającą co jakiś czas po ostatnie, tak, już tylko to jedno, ostatnie piwo przed snem.

Nad ranem wychodziłem na dach i przeładowując dzwignią tani karabin, który kupiłem w Kmarcie, strzelałem do piętrzących się u podnóża budynku śmieci. Zdarzało się, że iskry wywołane przez ołów spadały na kartony lub kawałki porzuconej tkaniny, które zaczynały się tlić, wywołując niewielkie pożary w stercie zalegających na dole odpadków. Przyglądałem się trajektoriom ptaków w locie, uważnie wodząc wzrokiem za szybującymi stworzeniami i obejmując je krawędziami muszki. Ale zawsze ogarniało mnie jakieś odruchowe drżenie i raz po raz przeładowywałem karabin, opróżniając magazynek z niewystrzelonych nabojów, które rozsypywały się wokół mojego składanego krzeselka na smołowanym dachu.

Tak mniej więcej wyglądało moje życie. Przypominałem kustosza małego, nieodwiedzanego przez nikogo muzeum. Nie wymagałem od siebie zbyt wiele. Odkładałem do pudełka po butach jedną wojenną ozdóbkę, wyjmowałem inną. Tu łuska po naboju, tam naszywka z prawego rękawa munduru: przedmioty przypominające o życiu, co do którego wcale nie miałem pewności, czy powinienem je przeżyć.

Zdawałem sobie sprawę, że śledczy z Dowództwa Dochodzeń Kryminalnych w końcu mnie znajdą, i byłem pewien, że wiem, czego ode mnie chcą. Ktoś musiał ponieść karę za to, co stało się z Murphem.

Najprawdopodobniej nie będzie przy tym miało znaczenia, w jakim stopniu ponosiliśmy za to winę. Byłem czegoś winny – to był dla mnie pewnik, czułem to każdą komórką ciała. Jednak to, jakich przestępstw się dopuściliśmy oraz na podstawie jakich paragrafów zostaniemy oskarżeni, zdawało się nie mieć większego znaczenia. Na pewno znajdą paragrafy na tyle ogólne, by podpadało pod nie to, co zrobiliśmy – i sprawiedliwości stanie się zadość, a matka Murpha będzie usatysfakcjonowana i przestanie dochodzić, czy aby armia nie zatuszowała okoliczności śmierci jej syna.

A ja? Tamten list? Pięć lat, tyle obstawiałem. Jak przez mgłę pamiętałem dłużące się wykłady z podstaw prawa, których musieliśmy wysłuchać w auli podczas naszego szkolenia. Poprzedzającej je nocy instruktorzy solidnie przykręcili nam śrubę. Godzinami wykonywaliśmy na przemian pompki i brzuszki oraz biegaliśmy po korytarzach baraków, a potem przyszedł czas na poranny bieg, który zmienił nasze nogi w drżące wrzeciona. I kiedy wreszcie na scenie pojawił się oficer z Wojskowego Biura Śledczego, by przekazać nam wszystko, co powinniśmy wiedzieć na temat Jednolitego Kodeksu Prawa Wojskowego, zapamiętałem z tego tylko tyle, że byłem na krawędzi snu i czułem się tak, jakbym unosił się na miękkim, audytoryjnym fotelu; uwielbiałem to. Nie jestem bez winy. Ktoś mógłby powiedzieć, że powinienem mieć więcej rozumu: do diabła, byłeś przecież żołnierzem, a nie potrafiłeś nawet zwalczyć senności? Cóż, wiecie... Żaden ze mnie bohater, żaden chłopak z werbunkowego plakatu, po prostu miałem szczęście, że wyszedłem z tego cało. Byłem gotów zapłacić za to każdą cenę. Na tym właśnie polegało moje tchórzostwo: pogodziłem się z tym, że kiedyś nadejdzie pora spłaty długu, ale nie teraz, błagam, jeszcze nie teraz, wszystko w zamian za jeszcze trochę więcej czasu.

Kiedy ten dzień nadszedł, wszystko potoczyło się tak spokojnie. Coś drgnęło. Weksel został przedstawiony do spłaty. Pamiętam białe niebo

i mgłę nad rzeką James, i śnieg, który pojawił się niewiarygodnie wcześniej jak na Wirginię i obsypywał hotele oraz opuszczone magazyny i każdy kolejny opadający płatek, oglądany przez zasłonę niedostatków mojej pamięci, wydaje mi się kopia poprzedniego. Moja pamięć się zawężyła, śnieg pada niemiłosiernie, rozpościerając się nad rzeką, a niebo jest na wieczność białe, jednolite i nisko zawieszane.

Odkąd wróciłem z Al Tafari, rozpamiętuję każdy moment. Każdy w oderwaniu od innych. Ale wtedy tamten dzień był po prostu kolejnym dniem, a śnieg był niczym więcej jak tylko niecodziennym szczegółem, odróżniającym go od dnia poprzedniego. Kiedy zaczęło sypać, wystawiłem rękę przez okno i przyglądałem się beztrosko, jak płatki śniegu opadają na moją skórę i topnieją, patrzyłem na wystające z rzeki kamienie, pokrywające się cienką warstewką bieli pod nagimi gałęziami jaworu, a także na derenie, rosnące wzdłuż biegnącej w dole dróżki. Zatrzymał się tam samochód, zdaje się mercury, w kolorze szarym. Wsiadł z niego jakiś mężczyzna. Kiedy zamykał drzwi, w jego małych, srebrnych naramiennikach odbiło się światło z niewiadomego źródła.

Gdy myślę o tym teraz – za każdym razem, gdy słyszę w myśli nieustające odgłosy kroków oraz gdy w nieskończonym zapętleniu oglądam idącego uliczką mężczyznę – czuję, że powinienem był wówczas poprosić śnieg, by przestał padać, prosić o jeszcze chwilę zwłoki, bym nie musiał stawiać czoła kolejnemu „potem”. Ale nawet w moich myślach ogień czasu wciąż płonie, zupełnie tak samo, jak płonął wtedy.

Chwilę później rozległo się pukanie. Otworzyłem drzwi, wstydząc się swojego własnego stanu, nieogolonej twarzy i własnego życia, które w mniejszym czy większym stopniu zlekceważyłem. Był czas, gdy czerpałem przyjemność z mojej zdolności do rezygnacji, do zapomnienia, do czekania... na co? Sam nie wiem. Kapitan wszedł do izby i stanął, górując wyniośle nad pustką, w której żyłem. Miałem na sobie tylko

spodenki gimnastyczne i niewyprany, poplamiony podkoszulek bez rękawów. Było zimno. Śnieg zakrył okno bielą, jak gdyby ktoś rozwiesił na nim całun. Z moich ramion zwieszał się cienki koc. Cuchnąłem. Minęły tygodnie, odkąd ostatni raz byłem trzeźwy.

– John? – zagadnął miękko kapitan.

– Tak, sir.

– Kapitan Anderson z D.D.T. – Położył swoją czapkę na małym stoliku, który stanowił większą część umeblowania całego pomieszczenia. – Wiesz, dlaczego tu jestem?

– Moja matka powiedziała...

– Powiedziała, że wyjechałeś.

– Tak.

Uśmiechnął się.

– Nie uciekniesz przed nami, John. Poza tym chcemy tylko porozmawiać.

W jego sposobie mówienia było coś dziwnego. Miał łagodny głos, ale za tą łagodnością kryła się siła i pewność. Uświadomiłem sobie, że gdy mówi on, przemawia również Matka Armia. Wysoki i atletycznie zbudowany, miał też wydatny brzuch samotnego nauczyciela wuefu, który zwykł oglądać wiadomości sportowe, zapijając je sześciopakami piwa. Jego oczy wyglądały na nieco zmęczone. Był stary jak na stopień kapitana.

– Znasz LaDonnę Murphy.

Nie odpowiedziałem.

Kapitan wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki przezroczystą torebkę z kopertą w środku. Zauważyłem, że koperta była otwarta, ktoś rozdarł ją niedbale, w pośpiechu.

– To nie było pytanie – powiedział. Podeszedł do ściany, na której wisiało kilka moich medali, i przyjrzał się uważnie każdemu, a następnie na parę chwil zatrzymał wzrok tam, gdzie przypiąłem zdjęcie Murpha.

– To ty napisałeś ten list.

Nie wiedziałem, co mam na to powiedzieć. Jeśli napisanie go było czymś złym, to znaczy, że zrobiłem coś złego. Jeśli napisanie go nie było niczym złym, to i tak zrobiłem już dość innych złych rzeczy i przyjąłbym każdą karę, jaka była za to przewidziana. Byłem gotów. Wszystkie wspomnienia z wojny, jakie tylko potrafiłem przywołać, przemknęły mi teraz przed oczami jak w kalejdoskopie, a ja zamknąłem powieki i poczułem na sobie ciężar czasu. Nie potrafiłem niczego uporządkować. Nic nie miało tu sensu. Nic z niczego nie wynikało, a ja miałem ponieść odpowiedzialność za historię, która nie miała miejsca.

Dobiegający zza okna głos lelka sprawił, że otworzyłem oczy. Kapitan stał w bezruchu. Nie mogłem pojąć, co oddziela jeden moment od następnego, w jaki sposób każdy mój oddech przekształca się we wspomnienie, któremu przypisane zostaje jego własne znaczenie i które zostaje odsunięte na bok i dołączone do ogromnego materiału, na podstawie którego miałem ułożyć moją odpowiedź.

Kapitan odczekał jakiś czas, a potem zapytał:

– Co, poddałeś się?

– Nie.

– Na to wygląda.

– Tu jest teraz inaczej.

– Nie jest. To ty jesteś inny.

– Nikogo to nie obchodzi.

– I co z tego?

– Nie wiem już, jak mam tutaj żyć.

– Hm... Spotkałem się już kiedyś z takim wymysłem, kiedy jeszcze nazywano go po prostu tchórzostwem. Byłeś u lekarza?

– Tak, byłem.

Przypomniałem sobie ciągnący się, wyprany z pogody luty, który spędziliśmy w Kuwejcie, czekając, aż zakończy się niewiadomej długości

okres sekwestracji i będziemy mogli wrócić do domu, do domu. Dzień za dniem gapienia się na pustynię, rozciągającą się po każdej stronie jak ocean powtórnie spopielonego popiołu. Mieliśmy zostać poddani ewaluacji. Chodziło o naszą zdolność do ponownego odnalezienia się w świecie. Całą kompanię zebrano w wielkim, brezentowym namiocie. Chłopcy usiedli na ustawionych rzędami ławkach, padła komenda „na prawo patrz”, po czym rozdano podkładki do pisania, ołówki i kartki papieru. Na zewnątrz wciąż trwała ekspansja pustyni, z wolna przeżuwaną roślinność niczym fala, która uderza o brzeg; ekspansja zmierzająca ku obojętnej i nieuniknionej nieskończoności. My jednak byliśmy zadowoleni, że znaleźliśmy się tak daleko na południe od Al Tafari, *hors de combat*. Ławki, na których siedzieliśmy, były wkopane głęboko w piasek i zwrócone w kierunku przeciwległego końca namiotu, gdzie oficer rozpoczął swoją przemowę.

– Chłopcy, walczyliście jak należy i byliście dobrze dowodzeni, dlatego żyjecie. Teraz zostaniecie wysłani do domu.

Poczułem przenikliwy niepokój.

– Poproszę was jeszcze o wypełnienie formularzy, które macie przed sobą na podkładkach. Przy pomocy tego formularza zostanie zmierzony poziom waszego stresu – oficer urwał i pociągnął za dół swojej wykrochmalonej bluzy, prostując niechlujne fałdy. – Każdy, kto czuje, że cierpi na jakiś rodzaj, yyy... zaburzeń, może być pewien, że otrzyma najlepszą opiekę psychologiczną, na jaką tylko może sobie pozwolić nasze państwo. Jeszcze dogodniej...

Podczas gdy wciąż mówił, zacząłem przyglądać się pytaniom w formularzu, zapominając o miejscu, w którym byłem, i zatapiając się w rozmyślaniach nad konsekwencjami własnych odpowiedzi i ewentualnym rozpoznaniem u mnie załamania psychicznego. Nie zwracałem uwagi na kurz, na aroganckie wystąpienie oficera ani na to, jak dziwnie ciepłe jest letowe powietrze.

Pytanie pierwsze: „Czy brałeś udział w działaniach bojowych?”

Zaznaczyłem „tak”.

Pytanie drugie: „Oceń swój stan emocjonalny po zabiciu człowieka i opisz go, wybierając jedną z poniższych możliwości:

Zadowolenie

Apatia”.

Oficer wciąż mówił.

– Nasz kwestionariusz opiera się na ścisłych badaniach naukowych. Jeśli okaże się, że jesteście w stanie nadmiernego napięcia nerwowego, otrzymacie możliwość powrotu do zdrowia pod okiem najlepszych lekarzy. Nie będziecie nawet musieli stąd wyjeżdżać. Wróćcie do domu, kiedy już się wykurujecie, a wasz interes znów będzie stawał na baczność dla dobra waszego kraju.

Po tym ostatnim roześmiał się lekko, jakby chciał nam dać do zrozumienia, że wciąż jest naszym kumplem, że Matka Armia wciąż kocha nas tak mocno jak dotąd i że te wszystkie trudne chwile, przez które musieliśmy przejść, to w gruncie rzeczy była niezła zabawa.

Przyszło mi na myśl coś, co sierżant Sterling powiedział po śmierci Murpha. Pieprzyć ich. Tak. Pieprzyć ich, oto mój nowy pomysł na życie. Zaznaczyłem A. I pojechałem do domu.

– Tak, ja go napisałem – powiedziałem, odpowiadając w końcu na zadane przez kapitana pytanie.

– Sir – dodał, a ton jego głosu zmienił się bardzo nieznacznie.

– Już do was nie należę.

– Możemy was dostać, kiedy tylko nam się spodoba, szeregowy. – To powiedziawszy, wyjął list z koperty. Pomieszczenie wypełnił cichy szelest rozkładanego papieru. Kapitan zaczął czytać: – „Mamo, tu wszystko jest w porządku, sierżant Sterling dba o nas...”

– Niech pan przestanie.

– Co?

– Niech pan przestanie. Powiedziałem, że to ja go napisałem.

– Wiesz, że to było złe?

– Chyba tak.

Potrząsnął listem.

– Wiemy już, co wtedy się stało. Wiemy, co zrobiłeś.

– Niczego nie zrobiłem.

– Słyszałem coś innego. Dlaczego nie podasz nam swojej wersji?

– To nie ma znaczenia.

Kapitan roześmiał się i zaczął przechadzać się po pomieszczeniu.

Czułem się wtedy jak szumowina, a nawet coś jeszcze gorszego, i wciąż się tak czuję, dlatego czasami, w dni, kiedy dobrze wszystko pamiętam, gdy do strumienia za moją chatą przychodzi napić się jeleń, a ja biorę karabin i po raz setny nie strzelam, siedzę tylko i zaczynam się trząść, a potem zachodzi słońce – w takie dni zdaję sobie sprawę, że nie potrafię już poczuć żadnego z tamtych zapachów: ani spalonego prochu, ani płonącego metalu, ani obrzydliwych spalin, ani jagnięciny, ani smrodu gówna w Tygrysie, w którym tamtego dnia brodziliśmy zanurzeni aż po uda. I myślę sobie, że może to była moja wina, kurwa, zrobiłem to, nie, to się wcale nie wydarzyło, no, przynajmniej nie w taki sposób, choć czasami po prostu trudno to stwierdzić: przecież połowa pamięci to tylko wyobraźnia.

Kapitan nie chciał powiedzieć mi wszystkiego, tylko tyle, że miał miejsce pewien incydent. Zabito cywili i tak dalej. Sterling poszedł na urlop tuż przed tym, jak sprawa ściągnęła uwagę jakichś ważniaków z góry, którzy poczuli, że muszą kogoś surowo ukarać i tym samym udowodnić, że ci wszyscy chłopcy z karabinami, którzy przemierzają równiny prawie każdego kraju na świecie, są odpowiedzialni za swoje czyny. A Sterling już na dobre przestał być odpowiedzialny.

A zatem kapitana sprowadziła do mnie ledwie pogłoska, prawda ukryta za historią zniekształconą przez różnice między wspomnieniami kilku chłopaków – z których jeden lub dwóch udzielało odpowiedzi, zakładając to, co sami chcieli uważać za prawdę, a pozostali przypuszczalnie pragnęli, by ich odpowiedzi zaspokoily wyobrażone przez nich same potrzeby matki, kobiety znękaney i budzącej współczucie z powodu tamtego dnia w Al Tazarze, który czasami wydaje się tak bardzo odległy.

Myśląc teraz o sierżancie Sterlingu, zaczynam sobie uświadamiać, że nie należał do ludzi, dla których istnienie drugiego człowieka jest jakąś niezrozumiałą abstrakcją. Nie był socjopatą, kimś, kto troszczyłby się wyłącznie o siebie, postrzegając życie drugiej osoby jak cień w słabo oświetlonym oknie. Przypuszczam, że zadano mu pytanie, a on odpowiedział na nie najogólniej jak tylko potrafił, wcale nie zastanawiając się nad tym, że w ten sposób pozostawia w całej tej historii masę luk, które potem wypełnili przesłuchujący go ludzie.

Ale ja nadal wierzę w Sterlinga, ponieważ moje serce wciąż bije. Kłamstwa, których dopuszczono się ze względu na niego, były wyrazem pragnienia życia ze strony kłamiących. Co mnie teraz obchodzi prawda? I Sterling? Prawda jest taka, że on sam siebie nie obchodził. Nie mam nawet pewności, czy w ogóle zdawał sobie sprawę, że ma prawo posiadać własne pragnienia i upodobania, że mógłby mieć swoje ulubione miejsce, że mógłby czerpać przyjemność z przechadzania się długimi, prostymi bulwarami gdzieś, gdzie przysłoby mu odbywać służbę, że mógłby podziwiać jednolite połączenie zielonej, równo przystrzyżonej trawy pod błękitnym, bezkresnym niebem, że mógłby zagłębić się w piaszczystej płytcźnie chłodnego strumienia i pozwolić, by woda obmywała podziurawioną skórę na jego pokrytym bliznami ciele. Nie mam pojęcia, jak mogłoby wyglądać jego ulubione miejsce, bo nie wydaje mi się, by w ogóle pozwolił sobie je mieć. Raczej czekałby, aż ktoś mu je wyznaczy.

Taki właśnie był. Przez całe życie był od czegoś zależny, przypominał ciało na orbicie, którego nie można zobaczyć inaczej, jak tylko w świetle okrążanej przez nie gwiazdy. Wszystko, co robił, było reakcją na zaistniałe wcześniej oczekiwania. Dla siebie, naprawdę dla siebie, potrafił zrobić tylko jedną rzecz – był nią ostatni akt jego krótkiego, nieuporządkowanego życia.

Kiedy tylko kapitan zacisnął usta, wypowiadając „k” kończące słowo „wypadek”, zamknąłem oczy. A kiedy je zamknąłem, zobaczyłem sierżanta Sterlinga na zboczu góry. Dostrzegłem lufę strzelby w jego ustach. Zobaczyłem, jak jego ciało stało się wiotkie, tak bardzo wiotkie w jednej nieznośnej chwili, kiedy kulka wyszła tyłem jego głowy. Zobaczyłem, jak ześlizguje się kilkadziesiąt centymetrów w dół zbocza, a wytarte podeszwy jego butów nieruchomieją na stosie sosnowych igieł. Wtedy otworzyłem oczy.

– Więc to już koniec, tak? – zapytałem.

Kapitan podszedł i oparł dłoń na moim ramieniu. Widziałem, jak dotyka palcami schowane pod płaszczem kajdanki.

– Wszystko będzie dobrze, John – zapewnił. – Zaufaj mi.

– Cała ta historia aż roi się od kłamstw.

– Tak już musi być, chłopcze. Ktoś musi odpowiedzieć za niektóre z tych rzeczy.

– Gówno spływa z góry, co, panie kapitanie?

– W tych czasach gówno jest wszędzie. To cholerna, gówniana wojna. Gotów?

Wyciągnąłem rękę, uniosłem nadgarstki, a on zatrzasnął przede mną kajdanki.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzył.

– Chciałbym tylko, żeby było w tym więcej prawdy – powiedziałem.

– Ja też, ale to dzięki takim kłamstwom świat kręci się dalej.

- Czy mógłbym coś ze sobą zabrać?
- Bierz, ale na miejscu i tak ci to odbiorą.
- W porządku – powiedziałem. Poszedłem po kartę obrażeń Murpha oraz moją własną, po czym wetknąłem je za gumkę moich spodenek.

Kapitan sprowadził mnie na dół, przez wilgotny chłód klatki schodowej na ulicę. Jego samochód stał po drugiej stronie kładki dla pieszych. Kiedy dotarliśmy do połowy mostku, poprosiłem, żebyśmy się na chwilę zatrzymali. Niezgrabnym ruchem wrzuciłem do rzeki obie karty i obserwowałem je, aż niesione prądem minęły stare wsporniki mostu kolejowego, a potem zniknęły mi z oczu. Pora wciąż była wczesna. Słońce nie zdążyło się jeszcze przebić przez zalegającą nad rzeką mgłę, a niebo nadal było białe, jakby ciężkie od śniegu. Obróciłem się ku linii drzew po drugiej stronie mostu i ujrzałem cały świat w ułamkach sekund, w nieuchwytnych rozbłyskach światła pomiędzy klatkami taśmy filmowej, w składających się na moje życie chwilach, które dawno temu przeminęły bez śladu, pojawiających się teraz jedna po drugiej, jakbym oglądał film, odtwarzany przez cały czas, a ja dotąd nie zdawałem sobie z tego sprawy.

10

PAŹDZIERNIK 2004

Al Tifar, prowincja Niniwa, Irak

Murph, z otwartymi ustami i zapłakany, zniknął. Odszedł po tym, jak znalazł ciało sanitariuszki, leżące bezwładnie w plamie słonecznego światła, które padało przez dziurę w dachu kaplicy, wyrwaną uderzeniem pocisku z mózdzierza. Wysoka trawa upstrzona była krwią dziewczyny. Murph nie pojawił się na upamiętniającej sanitariuszkę ceremonii, podczas której starszy sierżant umieścił należący do dziewczyny karabin pomiędzy jej butami, po czym zawiesił na nim jej mały, nie noszący ani śladu zużycia hełm. Murph opuścił bazę już wcześniej, przez dziurę w drucianym ogrodzeniu, zostawiając porozrzucane na pylistej ziemi ubrania oraz rozłożoną na części broń.

Murph zniknął, ale my jeszcze o tym nie wiedzieliśmy. Pograżeni w półśnie leniuchowaliśmy w naszym obozie, a światło księżyca wydobywało cienie, padające na zbitą ze sklejki wieżyczkę strażniczą oraz zasieki z potrójnych zwojów drutu kolczastego. Nic nie zapowiadało, że ta noc będzie różnić się od innych, aż do chwili, kiedy kilka godzin później sierżant Sterling wszedł spokojnym krokiem do środka naszego niedbałego kręgu i powiedział:

– Ktoś chyba nażarł się dziś szaleju. Pozbierajcie się do kupy.

Wyglądał na poirytowanego tym, jak swobodnie się rozłożyliśmy. Niektórzy z nas leżeli, inni stali; jedni w grupkach, inni nieco z boku, samotnie. Trudno powiedzieć, co drażniło go bardziej: fakt, że jego chłopcy zalegali bezładnie dookoła, przypominając żołnierzyki, które wysypały się z dziecięcego pudełka, wykonane na odwal się sprawdzenie stanu

osobowego, czy może raczej to, że brakowało jednego z nas. W bazie rozległ się alarm uprzedzający o ostrzale, jak zwykle ostrzegał nas przed czymś, co zdążyło się już wydarzyć.

– Chodźmy po niego – powiedział Sterling.

Zebraliśmy się pospiesznie, chwyciliśmy broń i przygotowaliśmy się do wkroczenia do Al Tafari. Z każdej bramy wylewali się żołnierze, zmierzający w kierunku uliczek i dzielnic, a w gorącym wieczornym powietrzu pobrzmiwały ostatnie echa dźwięku przeładowywania setek karabinów. Kiedy wchodziliśmy na obrzeża miasta, szurając zasłonami ludzie zaciemniali okna, przez które chwilę wcześniej widać było oświetlone pomieszczenia. Mijane przez nas psy kuliły się w cieniu. Obowiązywała godzina policyjna, więc miasto sprawiało wrażenie ogromnego i wymarłego, a jego ciemne uliczki przypominały ciasny, kręty labirynt. Nie sposób było stwierdzić, czy wrócimy za godzinę czy za tydzień; czy uda nam się powrócić w jednym kawałku, czy też może nasze szczątki pozostaną tutaj, w wilgotnych kanałach albo na wyschniętych polach. Niczego nie byliśmy pewni. Wszystkie plany sprawiały wrażenie absurdalnych, podobnie zresztą jak wszelkie nasze wysiłki. Byliśmy zmęczeni i chyba wreszcie uświadomiliśmy sobie skalę tego zmęczenia. Z wolna posuwaliśmy się w głąb miasta niczym cienka stróżka wody spływającej z wyżymanego mopa, aż w końcu przeszliśmy około tysiąca metrów w kierunku mostu nad szosą nr 1. Nagle w jednych z drzwi pojawił się mężczyzna z rękami podniesionymi wysoko do góry. Rozległ się cichy metaliczny dźwięk, gdy w jednej chwili wymierzyło w niego dwadzieścia karabinów.

– *Mister, mister*, nie strzelać, *mister* – zawołał błagalnie.

Posługiwał się łamaną, gardłową angielszczyzną. Był wyraźnie przerażony i dygotał, stojąc w drzwiach, podświetlony miękkim blaskiem z wnętrza domu.

– Ja widzieć chłopaka – powiedział.

Skrepowaliśmy go, posadziliśmy na ziemi i oparliśmy o ścianę jego domu z betonowych bloków, po czym wezwaliśmy tłumacza, który zjawił się z twarzą zasłoniętą czarną maską, z otworami wyciętymi na oczy oraz usta. Zaczęli coś mówić, raz jeden, raz drugi. My w tym czasie wodziliśmy oczyma po ulicy, przeskakując spojrzeniem od okna do latarni, od przygiętych drzew na poboczu do najciemniejszych zakamarków nocy. Tłumacz opierał kolana na udach mężczyzny, rękami chwycił go za brudną szatę; język ciała zdradzał nam naturę zadawanych mężczyźnie pytań: Gdzie on jest? Co wiesz?

Zatrzymał się opodal swojego domu, żeby kupić trochę morelowej chałwy dla żony. Rozmawiał ze swoim przyjacielem sklepikarzem o upale, rodzinie i okupacji. Stał zwrócony plecami do ulicy, gdy nagle sklepikarz zeszywniał i pobladł, a jego oczy zrobiły się okrągłe i szkliste. Mężczyzna położył pieniądze na stoliku i odwrócił się bardzo powoli.

Od strony torów kolejowych, biegnących wzdłuż naszej bazy, szedł nagi cudzoziemski chłopak, którego ciało pozbawione było jakiegokolwiek koloru, z wyjątkiem rąk i twarzy, opalonych w słońcu na ciemny brąz. Szedł niczym duch, a jego stopy i nogi krwawiły po przejściu przez drut kolczasty i zwały gruzu.

Mężczyzna, opisując tę scenę, cały czas patrzył na nas. Na jego twarzy malowała się prośba, jakbyśmy mogli rozwiązać dla niego jakąś zagadkę. Kiedy mówił, gestykulował skrepowanymi rękami. Zrobił pauzę dla zaczerpnięcia oddechu, zapał się za głowę, a potem zapytał łamanym angielskim:

– *Mister*, czemu chłopak iść goły?

Tak, jakbyśmy znali odpowiedź i taili ją, żeby się nad nim pastwić.

Ktoś szturchnął tłumacza, który warknął na mężczyznę, każąc mu kontynuować. Ten zaś powiedział, że Murph podążał prosto w ich stronę.

W miejscu, w którym przeszedł przez ulicę, pozostawił na jasnym kurzu krwawe odciski stóp. Kiedy do nich podszedł, w zamyśleniu zadarł głowę ku niebu i zastygł.

Wyobraziliśmy sobie jego łagodnie niebieskie oczy otoczone czerwonymi od łez obwódkami i miasto, które wydawało się wyginać w ciepłym wieczornym powietrzu, i suchą bryzę, niosącą zapach ścieków i wędzonej jagnięciny i chłodną wilgoć znad pobliskiej rzeki.

Murph przestępował przed nimi z nogi na nogę, kołysząc się lekko na boki, a na jego ciele widoczne były kropelki potu. Sprawiał wrażenie nieświadomego obecności obu mężczyzn. Wyglądało to tak, jakby podstawowe formy miasta, jego kąty oraz kompozycje miękkich, wieczornych odcieni barw, istniały tam specjalnie dla niego, po to, by mógł je podziwiać, zupełnie jak podczas spokojnego przechadzania się po olbrzymiej muzealnej galerii.

Sierżant Sterling dał wyraz naszemu zniecierpliwieniu:

– Gdzie on jest, do kurwy nędzy?!

– Ooo... – odparł zagadkowo mężczyzna. – Nie wiem.

Usiłowali wyrwać Murpha z transu, krzycząc i błagając, by wrócił do bazy. Ale kiedy oni krzyczeli, wzrok chłopaka padł na sylwetkę starego żebraka. Zwrócił się w ich stronę i patrzył na obu, jakby byli powietrzem, przez chwilę, która zdawała się nieskończonością, a potem odszedł.

Wzrok obu mężczyzn podążał za Murphem, kiedy ten szedł przed siebie, ubrany jedynie w słabe światło ulicznych latarni, a jego sylwetka zdawała się migotać, kiedy wyłaniał się z ciemności, wkraczał w kręgi bladego, migotliwego blasku lamp, po czym znowu pogrążał się w mroku. Nieopodal ronda skulony w kucki żebrak przetrząsał sterty śmieci. Murph przeciął to rondo, a samochody hamowały z piskiem opon, gdy przechodził złowieszczo przed ich reflektorami. Zanim dotarł na drugą stronę, wszystkie samochody na rondzie zdążyły się już zatrzymać. Mężczyźni

otwierali drzwi i stawali na progach swoich aut, obserwując Murpha w milczącym oszołomieniu, przy wtórze jedyne słyszalnego wówczas dźwięku: odgłosu lichych cylindrów ich silników.

Mężczyzna oraz sklepikarz widzieli krwawiącego chłopaka po raz ostatni w chwili, gdy ten podszedł do odzianego w parciany wór żebraka, który wciąż kucał ostrożnie, gromadząc swój śmieciowy miszmasz ze skórek melona i chleba. Wokół jego głowy kłębił się rój much, połyskujących w żółtawym świetle przyglądających się im latarni, ale żebrak ani razu nie przerwał swych czynności, żeby odpędzić owady. Mężczyzna powiedział, że wraz ze sprzedawcą patrzył na to wszystko w zdumieniu i oszołomieniu, podobnie jak inni świadkowie zdarzenia. Znalazłszy się na tle punktowo oświetlonej ściany starej rudery, starzec chwycił Murpha za rękę, po czym powiódł go w ciemność.

Mężczyzna spojrział na tłumacza, a potem na nas.

– Oni iść w tamta uliczka... odejść.

Uwolniliśmy go z więzów i ruszyliśmy na północny wschód, w kierunku ronda. Kurz, który ubijały miękko nasze buty, osadzał się na nogawkach spodni niczym wapno. Każdy ptak i cień były natychmiast wychwytywane przez nasze oczy, a następnie wracały na rozedrgane peryferia głuchych dźwięków, zasiedlane przez dobiegający z oddali odgłos silnika, oddech starca na progu, szelest szaty jego żony, omiatającej delikatnie klepisko podłogi. Posuwaliśmy się naprzód, aż nad wierzchołkiem niewielkiego wzniesienia dostrzeżliśmy światła skierowane we wszystkie strony.

Zbliżyliśmy się do ronda i rozstawiliśmy się wzdłuż jego krawędzi. Zgromadzonych na nim ludzi ogarnęło jakieś otumanienie. Chodzili w tę i z powrotem między swoimi samochodami, rozprawiając ściszonymi głosami i wymachując rękami tak gwałtownie, jakby chcieli odwzorować dziwne koleje, jakimi potrafi potoczyć się życie, zwłaszcza w takich szczególnych momentach jak ten.

Zanim wkroczyliśmy na oświetlone rondo, sprawdziliśmy broń i oceniliśmy potencjalne zagrożenia. Ktoś wzruszył ramionami. Wynurzyliśmy się z mroku. Stojącym na rondzie nasze sylwetki musiały wydawać się obce i modułowe. Większość z nich uciekła. Zdawaliśmy sobie sprawę, że uciekają ze strachu przed nami, więc nie goniliśmy ich. Pozostali wskoczyli do swoich samochodów i dodając gazu, popędzili hałaśliwie ulicą; wiekowe silniki ich wozów świszczą na wysokich obrotach, a zapach gumy połączył się ze smrodem rozkładu, który wypełniał powietrze.

Przeszukiwaliśmy okolice ronda. Stojące tam latarnie wydawały z siebie stłumione bzyczenie. Porzucone pojazdy były jeszcze ciepłe, w nieregularnych odstępach czasu rozlegały się ciche, przypominające tyknięcia odgłosy. Szukaliśmy w ciemnościach śladów Murpha, jakichkolwiek oznak, że tędy przechodził. Nagle rozległo się wołanie jednego z szeregowców, dobiegające z ukrytej, zasłoniętej zieloną markizą uliczki.

Żołnierz klęczał i grzebał w stercie zgniłych owocowych odpadków, którą obsiadło stado much. Podeszliśmy do niego i obserwowaliśmy, jak rozgarnia rękami rozmiękłą masę. Muchy zaczęły mu się trochę naprzykrzać. Kiedy oczyścił niewielki skrawek alejki, naszym oczom ukazała się kałuża, której czerń odcinała się na tle zepsutych cytrusów. Zatechły zapach miedzi mieszał się z pozostałościami wygrzebanych przez żebraka owoców.

– To krew – odezwał się ktoś.

Uliczkę oświetlało padające z góry światło, które delikatnie odbijało się w widocznych na ziemi odciskach stóp. Poszliśmy ich tropem. Doprowadziły nas do labiryntu, który wił się w dół po kaskadach stopni i zanikał, klucząc pośród nieoznaczonych na mapach zaułków. Ponownie

sprawdziliśmy broń, po cichu wzmacniając naszą pewność siebie metalicznym chrzęstem przesuwanych dźwigni, i ruszyliśmy dalej alejką.

W panujących ciemnościach kolejne zakręty wskazywało nam echo świergotu jaskółki. W ten sposób dotarliśmy do rozwidlenia, w którym alejka rozgałęziała się w kilku kierunkach. Na środku, twarzą do ziemi, leżał okutany w zakurzony worek starzec; biła woń zgniłych owoców. Ktoś trącił go butem. Żadnej reakcji. Krew, jeszcze niezakrzepła, przyłgnęła do buta chłopaka, po czym w świetle księżyca skapnęła na ziemię. Odwróciliśmy żebraka na plecy. Owładnął nami nieznośny odór stwardniałych, rozdrapanych wrzodów na jego ciele, otwartych na skutek pobicia. Szarawa pośmiertna bladość wstępowała szybko na jego pomarszczoną skórę, która na naszych oczach stawała się coraz to bledsza i bledsza.

Sierżant Sterling stał w mroku nad wymizеровaną sylwetką martwego człowieka, ręce trzymając jakby od niechcienia w kieszeniach i przygryzając dolną wargę. Jego karabin zwisał swobodnie na pasku.

– Co teraz? – spytaliśmy.

Sterling obejrzał się za siebie i wzruszył ramionami.

– Cholera, nie mam pojęcia.

Przez moment myśleliśmy, że martwy mężczyzna się poruszył, ale był to tylko efekt pośmiertnego stężenia, nieznaczny skurcz martwych mięśni na dotkniętych osteoporozą kościach. Wybór właściwej ścieżki wydawał się nam niemożliwy. Uważnie badaliśmy bruk w poszukiwaniu odcisków stóp. Zaczęliśmy się obawiać, że Murph wykrwawił się podczas wędrówki i wpadł w ręce porywaczy, zbyt osłabiony, by się bronić, bezbronny niczym dziecko, które zasnęło w dziczy. Nie potrafiliśmy opędzić się od myśli, że Murpha, śpiącego gdzieś w tej alejce, mogli znaleźć ludzie, którzy potem zabrali go do piwnicy, gdzie przypalali go ogniem i bili, a potem obcięli mu jaja i poderżnęli gardło, sprawiając, że błagał o śmierć.

Ostatecznie wszyscy podążyliśmy za jednym z żołnierzy, który skierował się na zachód, ku pochyłym brzegom rzeki. Ten kierunek był tak samo dobry jak każdy inny. Strzeliste minarety meczetu zwodziły wzrok, sprawiając wrażenie, że zakrzywiają się i unoszą ponad wszystkim w powietrzu.

Zaczęło wschodzić słońce. Kolory, zmatowiałe i skąpane w bladym świetle, rozlały się wokół paletą szarych, złotych i wyblakłych pastel. Zbliżaliśmy się do rzeki, a nasze mózgi zaczęły puchnąć od porannego skwaru. Wiedzieliśmy, że inne jednostki również poszukują Murpha. Słyszeliśmy terkot strzelaniny, a od czasu do czasu niosący się echem trzask eksplodującego fugasa. My jednak nie napotkaliśmy żadnego oporu. Ci, na których trafialiśmy po drodze, rozstępowali się przed nami najszybciej, jak potrafili. Szliśmy obiema stronami szerokiej alei, wzdłuż której stały wraki podpalonych niedawno samochodów.

Dotarliśmy do pustego placu na obrzeżach miasta. Dwa wielkie mieszkańce trudnych do zidentyfikowania ras warowały u stóp swojego pana. Jego psy oraz jego biała szata wyraźnie odcinały się od jałowego, ponurego otoczenia. Mężczyzna zaprzął do wózka trójnogiego muła; prawą przednią nogę zwierzęcia, z której pozostał tylko kikut, zastępowała wyciosana z drewna proteza. Spojrzał na nas, dwudziestu uzbrojonych po zęby żołnierzy, po czym odwrócił się obojętnie i ponownie zajął się swoim wózkiem. Wysłaliśmy do niego tłumacza, by przekonać się, czego, jeśli w ogóle, moglibyśmy się od niego dowiedzieć. Potem rozsiedliśmy się leniwie na placu i czekaliśmy, mierząc z karabinów w okoliczne otwarte okna oraz w stronę pustych bocznych uliczek.

Tłumacz zamienił kilka słów z mężczyzną z wózkiem, który odwrócił się w kierunku jednej z bocznych uliczek i wskazał minaret mijanego przez nas wcześniej meczetu. Budowla z cętkowanego kamienia wznosiła się

niebezpiecznie blisko brzegu rzeki. Od minaretu dzieliła nas jedynie droga i jałowe pola.

Sierżant Sterling bawił się celownikiem, przełączając go między trybem nocnym a dziennym. Przez cały czas zastanawiał się, co powinniśmy zrobić. Wreszcie splunął na zakurzoną drogę i zauważył:

– Nie przepadają tu za płodozmianem...

Ponownie zamilkł, a po chwili zapytał tłumacza:

– Co on mówi?

– Zeszłej nocy widział kilku obcych, którzy wchodzili do minaretu.

– Ilu?

– Pięciu. Może sześciu.

– Wyglądali jakoś dziwnie albo coś w tym rodzaju?

Tłumacz wyglądał na zdezorientowanego.

– W porównaniu z czym?

Sterling przykucnął na łydkach.

– W porządku, wy, chłopaki, zabezpieczycie obrzeża placu – zwrócił się do reszty plutonu. – Ja i Bartle pójdziemy to sprawdzić. To pewnie nic takiego.

Człowiek z wózkem zaproponował, że zaprowadzi nas do minaretu. Szedł przodem, a za nim kroczył zmyślnie, choć prowizorycznie przywrócony do sprawności muł, ciągnący cały ziemski dobytek mężczyzny. Poganiane zwierzę wyrażało niemą zgodę spojrzeniem swoich cierpliwych oczu i znaczyło pokonywaną przez siebie drogę potrójnym *staccato* kopyt; gładka końcówka jego czwartej, drewnianej nogi owinięta była uformowaną odpowiednio skórą. Na wózku stało kilka donic z gliny i kamienia, przykrytych wytartym dywanikiem modlitewnym. Przewalały się na nim i podrygiwały przedmioty z żeliwa oraz kolekcja lalek z plecionki, ozdobionych koralikami w naturalnych odcieniach turkus, szkarłatu i zieleni.

Obok drogi rosło pochyłe drzewo, jedyne, jakie wydało z siebie to wyjąłowane pole, a jego gałęzie kołysały się lekko od podmuchów niosącego zapach stęchlizny wiatru. Gdy znaleźliśmy się bliżej minaretu, zapach rzeki stał się silniejszy i przyniósł ze sobą słodki chłód, o którym już dawno zdążyliśmy zapomnieć. Zza drzewa i zza zapachu rzeki wyłoniła się pod dziwnym kątem spłowiałoróżowa, płamista wieża, dominująca linia, widoczna teraz nawet kątem oka. Pustelnik klepnął muła w zad długim, osmalonym cedrowym kijkiem, dając mu tym samym znać, że ma się zatrzymać. Zwierzę wytraciło swój pęd, a gdy wózek potoczył się jeszcze kilkadziesiąt ostatnich centymetrów, muł podskoczył na swojej drewnianej protezie, jednak jego pysk nadal pozostawał ucieleśnieniem spokoju i opanowania.

Pustelnik zdjął sandały i położył je z tyłu na wózku. Powoli poruszył palcami u stóp, jakby chciał je rozciągnąć przed czekającą go podróżą. Rozglądając się parokrotnie na boki, być może po to, by upewnić się o swoim miejscu na ziemi, zbliżył się do przodu wózka, gdzie stał, oddychając spokojnie, jego kulawy muł. Dał zwierzęciu gruszkę i delikatnie pogłaskał je po pysku, a przeżuwający muł wymownie patrzył na człowieka swoimi czarnymi oczami. Następnie mężczyzna wyszedł na zakurzone pole, kierując się w stronę samotnego drzewa, i znalazłszy odpowiednio ukształtowany korzeń, położył się w cieniu zwisających gałęzi.

Popatrzyłem na Sterlinga i wzruszyłem ramionami. On również wzruszył ramionami, po czym krzyknął z pobocza drogi do pustelnika, a jego głos w skwarным powietrzu późnego poranka przetoczył się na niewielkiej odległości głośnym echem. Nasze ramiona zwisały bezwładnie wzdłuż ciała.

Pustelnik coś odkrzyknął, a kiedy to zrobił, tłumacz przekazał nam jego słowa z pedantycznym opóźnieniem, co pogłębiło jeszcze zamieszanie; głosy tłumacza i pustelnika odbijały się echem w taki sposób, że ogarnęło mnie przez moment *déjà vu*.

– On mówi, że już raz przeszedł tę drogę i nie ma ochoty pokonywać jej ponownie.

Nim wybrzmiały ostatnie słowa w pidżynowym angielskim tłumacza, ponownie rozległ się głos siedzącego w niewielkim oddaleniu mężczyzny. Spojrzeliśmy zdziwieni na tłumacza, który powiedział: „Sprawdźcie tam”, wskazując palcem zarośnięty skrawek u podnóża minaretu.

Sterling machnął na tłumacza ręką.

– Dobra, a teraz spierdalaj. Wracaj do reszty.

– Sam nie wiem, sierżancie. Coś tu nie gra. Nieciekawie to wszystko wygląda – powiedziałem. – Zdaje mi się, że to pułapka.

Sterling popatrzył na mnie z niezmaconym spokojem.

– Dajcie spokój, szeregowy. Sądziłem, że do tej pory zdążyliście się już zorientować. Jak „coś tu nie gra”, to znaczy, że znaleźliśmy to, czego szukamy.

Czekałem.

– A kurwa, pieprzyć to! – powiedział. – Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Szukaliśmy go ze wszystkich sił: tego jednego chłopaka, jednego nazwiska, jednego numeru na liście. W chwili, gdy tamten człowiek wyciągnął wskazujący palec, nasze obawy stały się faktem, nasze nadzieje zgasły i ucichły. Wtedy, w jakiś osobliwy sposób, skapitulowaliśmy. Ale przed czym? Sami nie wiedzieliśmy. Od czasu do czasu z oddali wciąż dobiegały odgłosy wystrzałów. Miasto znowu pokryje się łuskami. W zrujnowanych budynkach pojawią się nowe dziury. Krew rozleje się ulicami i spłynie do ścieków, zanim my skończymy to, co mieliśmy do zrobienia.

Spojrzeliliśmy na starca w polu, który odpoczywał w cieniu drzewa, i po raz pierwszy dostrzegliśmy bezmiar jego wieku, jego czarnych oczu oraz skrywanych przez nie tajemnic. Jego biała szata zatrzepotała, a on

roześmiał się, odpędzając dłonią kilka pszczoł. Odwróciliśmy się i ruszyliśmy w kierunku okalającego wieżę młodnika, porośniętego drzewami i krzakami.

Drzewa i łodygi kwiatów u stóp wieży były cienkie i całkowicie wyschnięte. Sama wieża pięła się w górę, wzniesiona niebezpiecznie nad samą rzeką. W upalnym południowym słońcu Sterling i ja okrążyliśmy podstawę wieży, której ogrom wyłaniał się z kurzu oraz martwej flory niczym jakiś pradawny okrzyk. W końcu znaleźliśmy Murpha, spoczywającego bez ruchu w kępie przywiedłych hiacyntów, w cieniu trawy i niskich gałęzi.

Ogarnięty ostateczną niemocą, z połamanymi kośćmi, leżał na tym skrawku roślinności, który okazał się kresem jego wędrówki; jego ciało, spoczywające u podnóża różowej, połyskliwej wieży, było powykręcane w absurdalny sposób. Usunęliśmy suche gałęzie, które rzucił na niego wiatr albo jakiś przechodzień. Najpierw odsłoniliśmy stopy. Były małe i zakrwawione. Sierżant z zaopatrzenia przyjrzały się im i orzekł, że to rozmiar czterdzieści, ale Murph nie potrzebował już butów. Wystarczyło spojrzeć na szczyt wieży, by stało się jasne, że spadł z okna, do którego przymocowano dwa głośniki wzmacniające śpiew muezina.

Daniel Murphy nie żył.

– Nie tak znowu wysoko, gdy się nad tym zastanowić – odezwał się Sterling.

– Co takiego?

– Prawdopodobnie już nie żył, kiedy stamtąd wypadł. Nie jest to jakaś wielka wysokość.

To prawda, że nie był to upadek z dużej wysokości: kości były pogruchatane bardziej, niż można by oczekiwać, nie było śladów żadnej próby stawiania oporu ani zamortyzowania upadku; gdy ciało spadało w dół, chłopak już nie żył, sam upadek o niczym nie przesądził.

Wyswobodziliśmy Murpha z płataniny gałęzi i ułożyliśmy go w pozycji, która miała w sobie choć cień godności. Potem staliśmy i przyglądaliśmy mu się uważnie. Był połamany, posiniaczony i pokaleczony, i wciąż blady, z wyjątkiem twarzy oraz rąk, wydłubano mu oczy, po których zostały tylko dwa puste oczodoły, wyglądające jak czerwone, złowieszcze korytarze, prowadzące do jego umysłu. Jego gardło zostało niemal przecięte na wylot, a głowa wisiała bezwładnie, kiwając się na boki, przytwierdzona do reszty ciała jedynie cudem nietkniętymi kręgami. Wyciągnęliśmy go z zarośli jak zastrzelonego jelenia, bezskutecznie starając się, by nagie ciało nie uderzało po drodze o ziemię i nie odbijało się od niej w sposób, który na zawsze wryłby się w naszą pamięć. Uszy Murpha odcięto. Jego nos również. Został niestarannie wykastrowany.

Spędził z nami dziesięć miesięcy. Miał osiemnaście lat. Teraz stał się anonimowy. Na zrobionym podczas szkolenia zdjęciu, które pojawi się w gazecie, Murph będzie ubrany w mundur wyjściowy, a na jego podbródku będzie widać kilka pryszczki. My już nigdy nie będziemy mogli wyobrazić go sobie w ten sposób.

Wyjąłem z plecaka ocieplane ponczo i przykryłem nim Murpha. Nie mogłem dłużej patrzeć. Większość z nas widziała już śmierć w wielu odmianach: oślizgły chaos po wysadzeniu się terrorysty samobójcy, bezgłowe ciała zgromadzone w rowie niczym kolekcja zepsutych lalek na dziecięcej półce, a czasem nawet naszych chłopców, którzy krwawili i płakali, kiedy stawało się oczywiste, że odgłos helikoptera ewakuacyjnego dobiega z miejsca o trzydzieści sekund za daleko. Ale żaden z nas nie widział czegoś takiego.

– Co powinniśmy z nim zrobić? – zapytałem.

Wypowiedziane przeze mnie słowa wydały mi się niezrozumiałe. Moje myśli krążyły wokół znaczenia tego pytania, po raz pierwszy mierząc się z faktem, że decyzja będzie należeć do nas. Dwójka chłopaków –

dwudziestocztero- i dwudziestojednolatek – miała zdecydować o tym, co stanie się z ciałem innego chłopaka, który zginął i został zmasakrowany w służbie swojemu krajowi w jakimś nieznanym zakątku świata. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśli zabierzemy go z powrotem, pojawią się pytania. Kto go znalazł? Jak wyglądał? Jaki był?

– Kurwa, mały... Nie musiałeś tak kończyć – powiedział Sterling do ciała leżącego u jego stóp. Potem klapnął na tyłek na wyschniętej trawie i zdjął hełm.

Usiadłem obok Murpha i zacząłem drzeć, kołysząc się to w przód, to w tył.

– Wiesz, co musimy zrobić.

– Nie w tym stanie, sierżancie.

– Taka nasza rola. Bez względu na okoliczności. Wiesz o tym, Bart.

– To tylko pogorszy sprawę.

– Nie my o tym decydujemy. To sprawa tych, którzy lepiej od nas zarabiają.

– Sierżancie, niech mi pan zaufa. Nie możemy pozwolić, żeby to się stało.

Obaj wiedzieliśmy, czym jest owo „to”. W życiu niewiele jest prawdziwych tajemnic. Ciało przetransportowano by samolotem do Kuwejtu, gdzie zostałyby pocerowane i zabalsamowane na tyle, na ile udałoby się to ludziom ze służby pogrzebowej. Zwłoki, umieszczone w prostej metalowej trumnie, tkwiącej w stosie takich samych trumien, wylądowałyby następnie w Niemczech, gdzie samolot zatankowałby paliwo. Potem wylądowałyby w Dover, a później ktoś by je odebrał, razem z flagą i ze słowami podziękowań od wdzięcznego narodu. A potem przyszłaby chwila słabości, w której jego matka uniosłaby wieko trumny i ujrzałaby swojego syna, Daniela Murphy’ego, i zobaczyłaby, co mu zrobili, a potem Murph zostałby pogrzebany i zapomniany przez wszystkich prócz niej, codziennie przesiadującej samotnie do późnej nocy

w swoim bujanym fotelu, gdzieś w Appalachach, i zapominającej o sobie, przestającej się kąpać i sypiać, i palącej papierosa, z których popiół niemal zawsze spadałby na jej stopy. My także byśmy pamiętali, ponieważ bylibyśmy tymi, którym kiedyś nadarzyła się okazja, by do tego nie dopuścić.

Sterling wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem.

– Zastanówmy się na tym przez chwilę – powiedział. – Zapalę sobie...

Dałem mu papierosa i sam również zapaliłem. Trzęsły mi się dłonie, płomień zapalniczki gasł na wietrze, a wiatr zdmuchnął ponczo, odkrywając to, co pozostało z twarzy Murpha. Sterling wpatrywał się w puste oczodoły. Ponownie nakryłem ciało. Mijały kolejne minuty. Słysząc było śpiew kilku ptaków, które na przemian wlatywały i wylatywały spomiędzy wyschniętych gałęzi. Szum rzeki stał się wyraźniejszy.

– Lepiej, żebyś miał rację.

Nie potrafiłem myśleć. Chciałem wszystko cofnąć.

– To takie popierdolone, sierzancie.

– Wyluzuj, człowieku. Po prostu wyluzuj, dobra? – powiedział i zamyślił się przez chwilę. – Zrobimy tak: weźmiesz radio i każesz tłumaczowi przysłać tu hadziego z wózkiem. I powiesz im, że nie znaleźliśmy Murpha.

Po chwili zdołałem wziąć się w garść. Sterling kontynuował:

– Będziemy musieli załatwić to tak, jakby to się nigdy nie wydarzyło.

Wiesz, co to znaczy, tak?

– Tak. Wiem.

– Jesteś pewien?

– Jestem pewien.

Czekaliśmy. Między nami zapanował dziwny spokój. Słońce upraszczało peryferia do abstrakcji kształtów i kolorów. Wszystko, na co nie patrzyliśmy bezpośrednio, zamieniało się w rejestrowane kątem oka niewyraźne plamy. Zobaczyliśmy nadchodzącego pustelnika, który

poklepywał lekko w zad swojego muła. Poruszał się powoli w panującym upale i jedynym wyraźnym obrazem w polu naszego widzenia był wyłaniający się z mglistego mirażu mężczyzna oraz jego utykający muł, a wszystko inne było mętne lub odwrócone, lub rozdwojone. Muł stąpał delikatnie na swej dosztukowanej przedniej nodze, a mężczyzna wiódł go cierpliwie w naszą stronę. Kiedy podszedł bliżej, dostrzegliśmy dwa podążające za nim kundle, widziane przez nas już wcześniej. Pustelnik podszedł do nas i kolejno spojrzął nam w oczy, zupełnie jakbyśmy stali w szeregu, gotowi do inspekcji. W końcu poprosił:

– Daj mi papieros, *mister*.

Podąłem mu jednego, a on zapalił, wciągnął dym głęboko do płuc i uśmiechnął się.

Sterling chwycił jedną nogę Murpha i spróbował go dźwignąć. Nie mieliśmy szansy tego odwołać. Tak naprawdę to nigdy jej nie mieliśmy, ani przez chwilę. Zupełnie tak, jakbyśmy już to kiedyś zrobili, w jakimś innym życiu, które pamiętałem jak przez mgłę. Decyzja zapadła. Podszedłem do Sterlinga i chwyciłem Murpha pod ramiona. Przebiegł mnie szybki dreszcz. Moje serce waliło jak szalone. Podnieśliśmy Murpha, strącając z jego skóry tańczące muchy. Staraliśmy się nie patrzeć na jego puste oczodoły, kiedy kładliśmy go na wózku, pośród gliny, kamieni i słomianych lalczek.

– Zabierzemy go nad rzekę – powiedział Sterling. – Tam go zostawimy. Daj zapalniczkę, Bart.

Dałem. Sierżant zapalił moje zippo i rzucił na suchy chrust u podnóża wieży.

– Idziemy – zakomenderował.

Do rzeki nie było daleko. Szliśmy za pustelnikiem, który prowadził muła w tempie przypominającym z grubsza kłus. Podążaliśmy w tej osobliwej procesji, złożonej z człowieka, muła oraz psa, przez jakieś pół kilometra.

Wreszcie dostrześliśmy brzegi rzeki. Woda uderzała o nie z chlupotem, a w ich cieniu lekko falowało sitowie.

Sterling puknął mnie w ramię, pokazał na coś za moimi plecami, a ja ujrzałem minaret w językach ognia, które buchały z płonących u stóp wieży suchych zarośli. Spalić to. Spalić do szczytu to skurwysyństwo. Kiedy wieża zapłonęła niczym migocąca świeca, słońce zaczęło opuszczać bezlitosny zenit. Przeszło mi przez myśl, że przez tę jedną wieżę możemy spalić całe miasto. Poczulem nagły przypływ wstydu, ale szybko zapomniałem, jaki był jego powód.

Sterling spojrzał na mnie.

– Pierdolić ich, człowieku. Pierdolić wszystkich na świecie – wyszeptał, głównie do siebie samego.

Amen. Podążyliśmy za wózkiem wzdłuż szerokiej alei, prowadzącej nad brzeg rzeki. Przy ulicy rosły rzędem topole i leżały ciała, pokłose naszych poszukiwań; cienie w intensywnych odmianach brązu, w najróżniejszym wieku i najróżniejszego rodzaju. Wiele z tego, co mijaliśmy, stało już w płomieniach. Cienkie, sękate drzewa i kwiaty zdawały się chłonać ogień i w promieniach zachodzącego słońca przypominały ciągnący się wzdłuż alei szpaler starożytnych drogowskazów, które płonąc i rzucając kręgi światła na rozsiane między nimi ciała, rozpraszały ciemność.

Schodziliśmy coraz niżej, mijając mieszkańców miasta, starych i bezdzietnych lokatorów ruder, intonujących w swoim świergotliwym języku orientalne żałobne pieśni, z których każda brzmiała tak, jakby wyśpiewywano ją specjalnie po to, by ukarać nasze uszy. Na ciele Daniela Murphy'ego odbijał się pomarańczowy blask, migotliwa paleta barw ognia nadawała kolorytu jego cienkiej, pergaminowej skórze. Na jego bladej postaci tańczyły cienie i tylko chwiejny krok kalekiego muła oraz chybotanie się wózka sprawiały, że ciało Murpha wydawało się poruszać i być czymś więcej niż ledwie płótnem dla płomienistego obrazu.

Odprowadziliśmy zwłoki na wózku aż do brzegu rzeki. Pustelnik obszedł wózek, stanął u jego tyłu, pogłodził muła po boku, a następnie objął Murpha i uniósł go do góry. Sterling i ja chwyciliśmy Murpha za nogi, wspólnie przenieśliśmy go tych kilka ostatnich kroków, które dzieliły nas od rzeki, i złożyliśmy ciało do wody. Murph szybko odpłynął, niesiony wartkim prądem, a kiedy mijał sitowie, małe sadzawki utworzyły się tam, gdzie kiedyś były jego oczy.

– Tak, jakby to się nigdy nie zdarzyło, Bartle. To jedyne wyjście – przypomniał Sterling.

– Tak, wiem.

Wpatrywałem się w ziemię. Kurz kłębił się wokół moich butów. Wiedziałem, co się za chwilę stanie.

Sterling strzelił do człowieka z wózkiem raz, prosto w twarz, i starzec upadł na ziemię. Nie miał nawet czasu, by dać się zaskoczyć. Muł zaczął ciągnąć wózek, bez żadnej zachęty, jakby z przyzwyczajenia. Dwa psy podążyły za nim w nadciągającą noc. Obejrzelśmy się ku rzece. Murph zniknął.

11

KWIECIEŃ 2009

Fort Knox, Kentucky

We wszystkich rozpieszczonych miastach Ameryki znowu nastąpiła wiosna. Zima przeminęła, po tym jak ponura odwilż dogrzebała się wreszcie do jej kresu. Czuję jej smród, wpadający przez moje okno. Był wtedy kwiecień, siódmy kwiecień wojny, a zarazem trzeci i ostatni, jaki przypadał na czas mojego uwięzienia. Moje życie stało się tak zwyczajne, jak tylko mogłem sobie tego życzyć. Byłem szczęśliwy. Więzienie zaliczało się do kategorii II, przeznaczonej dla skazanych odsiadujących wyroki nie dłuższe niż pięć lat; był to jeden z okręgowych wojskowych zakładów karnych, przez wszystkich żołnierzy nazywanych „zakładami opieki dziennej dla dorosłych”. Śmieszyło mnie to.

Towarzyszyło mi przyjemne poczucie bycia zapomnianym przez niemal wszystkich. Personel pozwalał mi wypożyczać książki z całkiem przyzwoicie prowadzonej więziennej biblioteki. Nauczyłem się, że kiedy już je przeczytam, mogę ułożyć je w stos na wystającym ze ściany metalowym stoliku i będę wtedy w stanie wyglądać przez okno, które było na tyle duże, by wpuszczać do celi światło, ale znajdowało się zbyt wysoko, by dało się cokolwiek przez nie zobaczyć bez pomocy czegoś, na czym można by stanąć. Miałem dobry widok na spaceriak oraz na rosnące za ogrodzeniem ze zwojów drutu kolczastego pasmo drzew, które z grubsza wyznaczało granice więziennego terenu – i mogłem cieszyć się nim tak długo, jak długo byłem w stanie balansować na stosie książek o coraz bardziej sfatygowanych grzbietach. Poza linią drzew rozciągał się nieciekawo świat, który ignorował naszą niewielką wojenną niedogodność.

Podczas pierwszych miesięcy odsiadki spędziłem wiele czasu na próbach ułożenia wojny w jakiś wzór. Wyrobiłem w sobie nawyk robienia na ścianie celi znaku za każdym razem, gdy przypominałem sobie jakieś szczególne wydarzenie; sądziłem, że nieco później będę mógł do niego nawiązać i ostatecznie uda mi się połączyć wszystkie znaki w historię, która nabierze sensu. Nawet po długim czasie wciąż pamiętam znaczenie niektórych z nich: długa, kredowobiała rysa pod lustrem, obok napisu „pieprzyć armię”, oznaczała tamtego dzieciaka, który zginął w sadzie i którego głowę tulił wtedy w ramionach Murph. Znak naniesiony nad pryczą symbolizował nagłą myśl, która przyszła mi do głowy w jednej z uliczek Al Tafari, w skwarze mojego pierwszego spędzonego tam lata, kiedy cienie rzucone przez płataninę przewodów wysokiego napięcia przynosiły nam drobną ulgę, ilekroć pod nimi przechodziliśmy, a ktoś, kto był tego dnia na szpicy, skręcił za róg jako pierwszy, po czym zobaczyłem, jak Sterling odwraca się i machnięciem ręki daje mi i Murphowi znak, żebyśmy wyszli na otwartą przestrzeń ulicy, i wtedy właśnie przyszło mi do głowy, że Murph miał wybór, że były dwie ścieżki, między którymi mógł wybrać, a ja byłem jedną z nich, więc potem zadawałem sobie pytanie, czy zasłużyłem, by powierzyć mi to zadanie, i zastanawiałem się, czy właśnie to miała na myśli jego matka, kiedy poprosiła mnie, żebym się o niego zatroszczył, i czy dlatego zdecydowała się mnie o to poprosić? W chwili, gdy rysowałem tamten znak, o ile dobrze pamiętam, złamała się kreda, przez co wyszedł znacznie krótszy, niż planowałem; czy oznaczało to, że tamten wybór był iluzją, że wszystkie wybory są iluzoryczne, a jeśli nawet nie są, to iluzoryczna jest co najmniej ich siła, ponieważ każdy wybór musi rywalizować z wyborami wszystkich pozostałych, którzy w tym samym momencie podejmują jakieś decyzje? Znak, który wtedy narysowałem, przypominał rozbłysk, eksplozję pyłu kredy na pomalowanym jasnozieloną farbą betonie moich ścian. Któż może założyć, że jego wola urzeczywistni

się wbrew temu wszystkiemu? A co z tymi wyborami, których nawet nie dane jest nam dokonać: tak jak w przypadku Murpha, który nie mógł i już nigdy nie będzie mógł wybierać, ponieważ zginął; tak jak w moim wypadku, gdy stałem się tym, czego nie wybrałem? Niby to głupie, ale pamiętam tamten znak oraz to, co oznaczał. W końcu uświadomiłem sobie, że znaków nie da się połączyć w żaden wzór. Każdy był przypisany do swojego miejsca. Połączenie ich ze sobą byłoby czymś niewłaściwym. Znaki, odzwierciedlające przypadkowość wojny, powstawały w tej samej chwili, w której przypominałem sobie dane wydarzenie: dominował więc chaos. Na czterech metrach kwadratowych wszechświata mojej pojedynczej celi narastała entropia. Ostatecznie pogodziłem się z faktem, że jedyne niezmiennie równanie wyraża prawidłowość, że wszystko od wszystkiego odpada.

Czasem do mojej celi zaglądał ktoś z więziennego personelu i jego wzrok padał na nowy zestaw znaków. Strażnicy nie byli w stanie odróżnić nowych od starych, ale kilku z nich miało jakieś ogólne pojęcie co do ich ilości, zatem po czterdziestoósmiogodzinnej przerwie w służbie albo po powrocie z urlopu dostrzegali przynajmniej tyle, że obszar chaosu się powiększył. Dziś już rozumiem, dlaczego dopatrywali się w moich znakach jakiegoś wzoru – być może zresztą był w tym wszystkim jednak pewien wzór, bo muszę sam przed sobą przyznać, że gdyby tylko mój pobyt w więzieniu potrwał jeszcze przez rok lub dwa, to ściany celi zostałyby całkiem wypełnione i nie byłoby już żadnych znaków, tylko jednolita warstwa, rodzaj nowej patyny, która pobieliałaby ściany śladami moich wspomnień, zebranymi tuż obok siebie, zupełnie jakby wspomnienia chciały stać się murami, w których byłbym uwięziony, i miałem poczucie, że taki wzór warto byłoby stworzyć. Ale nie tak miało się stać. Wszystko się urywa. Strażnicy wydawali się rozumieć, że rysowane przeze mnie symbole mają

jakieś znaczenie; to, że mylnie je interpretowali, można im z pewnością wybaczyć.

– Zbliża się najwcześniejszy możliwy termin twojego zwolnienia, co? – pytali.

– Tak – odpowiadałem. – Na to wygląda.

– No właśnie. Jesteś na dobrej drodze do przedterminowego zwolnienia, wzorowy z ciebie więzień.

– Zobaczymy, jak to będzie, ale dzięki.

– Ile dni ci zostało? – pytali, wskazując znaki na ścianach, a ja zdałem sobie sprawę, że można je było uznać za metodę zliczania mijających dni. – Coś między dziewięćset osiemdziesiąt trzy a dziewięćset dziewięćdziesiąt, zgadza się? Prawie tysiąc, co? – dodawali z uśmiechem.

– Nie da się ukryć – odpowiadałem, myśląc o Murphie, który przez jakiś czas nie był uwzględniony w rachubach; zastanawiałem się, jaki przypadłby mu numer, gdybym nie skłamał na temat tego, co się wydarzyło.

Pewnego dnia odwiedziła mnie jego matka. Było to wiosną przed moim zwolnieniem. Zauważyłem, że musiała płakać, kiedy czekała na mnie w sali odwiedzin.

– Nie wolno wam się dotykać, ale mogę wam przynieść kawę, jeśli macie ochotę – poinformował strażnik.

Początkowo nie wiedziałem, co mam jej powiedzieć, ale wydało mi się niesprawiedliwe, że musi to znosić, że to na niej miałyby spocząć odpowiedzialność za rozpoczęcie tej rozmowy, że tak daleka droga dzieli ją od ukojenia i zrozumienia. I jeśli będzie mnie oskarżać, to znaczy, że zasłużyłem na bycie oskarżonym. To ja ponosiłem winę za to, że Murph nie spoczywa w rodzinnej mogile. To ja zostawiłem go w tamtej rzece. To ja zląkłem się prawdy w jej imieniu, a przecież nie miałem prawa podejmować za nią tej decyzji. Ale oskarżanie nie leżało w jej naturze. Jej

zał był pełen godności oraz skryty, jak to zwykle bywa z żalem – po części to właśnie dlatego zawsze jest go pod dostatkiem.

– Sama nie wiem, po co tu przyjechałam – odezwała się.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Po prostu potrzebowałam zrozumieć, wiesz, co mam na myśli?

Opuściłem oczy, wpatrując się w linoleum.

– Nie. Oczywiście, że nie wiesz.

Zacząła swą opowieść od tego, jak w grudniu tamtego roku po ich mieście jeździł powoli czarny sedan. Jedna z jej przyjaciółek zadzwoniła, by jej o tym powiedzieć. Zauważyła, że mężczyzna w fotelu pasażera ubrany był w wojskowy mundur, i powiedziała pani Murphy, że ludzie w samochodzie błędzą, ale że niedługo do niej przyjadą.

Spróbowałem wyobrazić sobie państwa Murphych wyglądających przez kuchenne okno. Z pewnością padał wtedy śnieg, tak jak przez cały wieczór, prószył na dach nad werandą i na wzgórze i pokrywał gałęzie drzew. Świat był czysty i pozbawiony ostrych krawędzi. Żadnych kantów, żadnych wyrazistych konturów. Zza ostatniego zakrętu drogi wyłonił się samochód, ale nie przyjęto go do świadomości, tak jakby w ogóle nie został dostrzeżony.

Pani Murphy i jej mąż widzieli samochód, to na pewno, ale jakaś część tego obrazu nie została zarejestrowana. Stali przy oknie niczym dotknięci jakimś dziwnym porażeniem. Milczeli, a cała sceneria pozostawała niezmienna, z wyjątkiem śniegu, który zaczął sypać nieco intensywniej, i czarnej plamy samochodu, która stawała się coraz większa, w miarę jak przesuwała się po pustym płótnie. Mimo to wciąż trwali wpatrzeni. Nawet kiedy samochód zatrzymał się na niewielkim kolistym podejździe ich domu – dźwięk silnika na jałowym biegu był cichy, ale ponad wszelką wątpliwość słyszalny – oni ani drgnęli. Nie odeszli od okna także wtedy, gdy kapitan wraz kapelanem zdjęli czapki i zapukali do drzwi. I choć delikatne

uderzenia ich kłykci stanowiły potwierdzenie faktu, że obaj goście są całkowicie i w pełni realni, państwo Murphy pozostali przy oknie, wpatrując się w samochód, zupełnie jakby był jedną z niepoznawalnych boskich tajemnic.

Kiedy dwaj mężczyźni delikatnie sami otworzyli sobie drzwi, pan Murphy ucałował żonę, nałożył płaszcz i kapelusz, po czym opuścił dom tylnym wyjściem. Gdy mężczyźni powiedzieli: „Z żalem zawiadamiamy, że państwa syn, Daniel Murphy, został zabity”, pani Murphy, stojąca z założonymi na piersi rękami, popatrzyła na nich tak, jakby oczekiwała nagłego pojawienia się jakiejś niewidzialnej trzeciej osoby. Nic takiego się nie wydarzyło. Goście, wypełniwszy swój obowiązek z całą klasą oraz szacunkiem, jakich można było oczekiwać od mężczyzn, na zakończenie swojej wizyty pozostawili w dłoniach pani Murphy wizytówkę, na której widniał adres miejsca, gdzie wynajęli pokoje, by przeczekać załamanie pogody. Był tam też numer telefonu, pod który mogła zadzwonić, gdyby miała jakiegokolwiek pytania.

Gdy matka Murpha mówiła, zastanawiałem się, gdzie byłem w tamtej konkretnej chwili, ale nie potrafiłem połączyć się w różnicy czasu, nie umiałem też rozróżnić tych wszystkich patroli, na które wyruszałem chłodnym przedświtem i które wypełniały okres mojej służby po śmierci Murpha. Pani Murphy powiedziała, że po wszystkim stała całymi godzinami w tym samym miejscu. Właściwie to stała tam tak długo, że ciepło z jej ciała zaczęło wpływać na to, jak śnieg osadza się na szybie, przez co na szkle powstał niewielki, pozbawiony oblodzenia kontur jej postaci. Kiedy wreszcie się poruszyła, był już prawie wieczór. Wyszła na zewnątrz przez wciąż otwarte na oścież tylne drzwi i znalazła pana Murphy’ego, siedzącego po turecku w śniegu, który miotany porywami wiatru sięgał mu miejscami aż do pasa i na podobieństwo całunu gromadził

się na jego kapeluszu oraz ramionach. Potem siedzieli tam razem w milczeniu. Nadeszła noc. Wciąż sypało.

Zanim skończyła opowiadać mi o tamtym dniu, kawa zdążyła wystygnąć, para rozwiała się i rozproszyła na tle upływających godzin. Pani Murphy wzięła oba nasze kubki, po czym w roztargnieniu zlała resztki do trzeciego i podała mi go.

– Nie chciałem, żeby to wszystko tak się potoczyło – powiedziałem.

– Cóż, to, czego chciałeś, niczego już nie zmieni.

– Nie. Ma pani rację.

Armia ostatecznie machnęła na nią ręką, na jej walkę o prawdę i sprawiedliwość, walkę o to, by dowiedzieć się, jakim cudem status jej syna tak szybko zmienił się z „zaginionego w akcji” na „zabitego” i dlaczego otrzymywane wyjaśnienia nigdy się nie zgadzały. Ale oni wiedzieli, że jeśli tylko odczekają wystarczająco długo, ludzie zapomną o jej bólu. Po analizie potencjalnych strat i zysków, doszli do wniosku, że teraz mogą nareszcie spławić ją niewielkim kosztem. Sprawa jej walki dawno już zdążyła zniknąć z telewizyjnych wiadomości i zajmowały się nią już tylko brukowce, opatrując swoje artykuły jarmarcznymi, absurdalnymi tytułami oraz zdjęciami pani Murphy, siedzącej na bujanym krześle, z papierosem zwisającym z kącika jej wąskich ust. Koniec końców przystała na zwiększenie kwoty odszkodowania z żołnierskiej polisy na życie oraz wyrok więzienia dla mnie, gdy nikt już jej nie słuchał, gdy Ameryka, jak to ma w zwyczaju, szybko zapomniała o jej mało znaczącej historii i zajęła się innymi tragediami, gdy przyjaciele zaczęli doradzać jej z protekcyjnym uśmiechem: „LaDonno, musisz po prostu odnaleźć w tym wszystkim własną prawdę”.

Tak mi przynajmniej powiedziała.

– Tak jakby moja była inna od twojej, jakbym ja miała jedną, a ty drugą. Do diabła, co to w ogóle znaczy: własna prawda? – zapytała.

Nie wiedziałem. Przez chwilę żadne z nas nie odzywało się i wydawało się to w porządku.

– Chciałabym tylko, żeby on nigdy nie wyjechał z domu – powiedziała pani Murphy. Przypatrywała mi się przez moment. – A co z tobą? Masz jakieś wielkie plany, kiedy już stąd wyjdiesz?

– Nie wiem – odrzekłem.

Tak naprawdę, to nigdy nie przywiązywałem wagi do tego, gdzie skończę, nie zajmowałem się tym, na co mógłbym mieć jakiś wpływ i co było naprawdę ważne. Lubiłem myśleć, że gdybym otrzymał choćby cień szansy, potrafiłbym dokonać dobrego wyboru. Zawsze jednak robiłem coś innego: zamiast patrzeć przed siebie, wciąż oglądałem się wstecz, ku nicości, jaka pozostała w mojej pamięci. Nigdy nie poukładałem sobie tego jak należy. Wiedziałem tylko tyle, że chcę wrócić do normalności. Jeśli nie zdołałbym zapomnieć, to miałem nadzieję, że przynajmniej ja sam zostanę zapomniany.

Byłem zadowolony z jej wizyty. Nie z powodu jakiegoś nieoczekiwanego pojednania, ale dlatego, że nie była do mnie uprzedzona, a jednocześnie odnosiłem wrażenie, że faktycznie pragnie zrozumieć, co stało się z jej synem i dlaczego sprawiłem, by stojąc w śniegu, przeczytała tamten nieprawdziwy list. To ja byłem ostatnim świadkiem, który widział jej syna jako człowieka. Teraz był już tylko materia, ale nie bardzo wiedziałem, co o tym sądzić. Wydaje mi się, że wszystkie słowa, jakich użyłem, próbując jej to wytłumaczyć, miały się nijak do tego, co widziałem. Doceniałem jednak, jak zareagowała na moje wyjaśnienia, choć mówiłem ogólnikowo, a związki pomiędzy faktami okazywały się zawodzić, podobnie zresztą działo się z nimi codziennie na ścianie mojej celi. Nie potrafię powiedzieć, jaka właściwie była jej reakcja; na jej twarzy wciąż utrzymywał się ten sam apatyczny wyraz straty, biorący się z uczuć zogniskowanych na czymś, co teraz będzie musiała zweryfikować. Nawet po sześciu godzinach rozmowy

nie dałbym głowy, że odczuła jakąkolwiek widoczną ulgę. Nie zaoferowała mi przebaczenia, a ja o przebaczenie nie prosiłem. Ale po tym, jak wyszła, poczułem, że moja rezygnacja, a być może także i jej, zyskała rację bytu, co i tak stanowi dość duży krok w dzisiejszych czasach, kiedy nawet usprawiedliwiona rezygnacja bez wahania odrzucana jako coś sentymentalnego.

Wszystko to miało miejsce dawno temu. Moje poczucie straty również przemija i nie mam pojęcia, w co właściwie się zamienia. Myślę, że w jakimś stopniu ma to związek z tym, że robię się coraz starszy, wiedząc, że Murpha ten proces nie dotyczy. Czuję, jak Murph oddala się ode mnie wraz z upływem czasu i wiem, że przyjdzie taki dzień, że nie będę już wcale myślał ani o nim, ani o Sterlingu, ani o wojnie. Póki co zwolniono mnie z więzienia i podarowałem sobie prezent w postaci spokojnej kwarantanny w chacie na wzgórzach, leżących u podnóża Pasma Błękitnego. Czasem zdarza mi się poczuć zapach Tygrysu, który już na zawsze pozostanie w mojej pamięci, niezmienny, płynący zawsze tak samo, jak tamtego dnia, ale wrażenie to szybko znika, wypierane zimnym, czystym powietrzem, opadającym po górskich zboczach, pomiędzy porastającymi skalne tarasy sosnami, wiecznie pnącymi się ku górze.

Znowu czuję się zwyczajnie. Wydaje mi się, że każdy dzień staje się powszedni. Szczegóły świata, wśród których żyjemy, zawsze będą drugorzędne wobec faktu, że musimy pośród nich żyć. Jestem więc całkiem zwyczajny, za wyjątkiem kilku dziwactw, których prawdopodobnie już nigdy się nie pozbędę. Nie chcę oglądać ziemi, która rozpościera się przede mną aż po horyzont. Nie chcę pustyni. Nie chcę prerii ani równin. Nie chcę otwartego terenu. Wolę już patrzeć na góry. Albo na przesłaniające mi widok kępy drzew. Mogą być dowolnego gatunku: sosny, dęby, topole, to bez znaczenia. Potrzebuję czegoś poddającego się kontroli i skończonego,

czegoś zdolnego podzielić ziemię, wyodrębniając z niej fragmenty wystarczająco małe, bym mógł stawić im czoła.

Kiedy mama Murpha odwiedziła mnie w więzieniu, podarowała mi mapę Iraku. W celi, oglądając ją po raz pierwszy, pomyślałem, że to dziwaczny gest. Składałem ją i rozkładałem, i zmagalem się z arbitralnie wytyczonymi liniami zgięć, wzdłuż których mapa sama się zginała, kiedy nocą usiłowałem rozwiesić ją na ścianie. Na mapie znajdował się fragment przedstawiający w powiększeniu Al Tafari oraz przyległe tereny. Po jakimś czasie przestało mi się to wydawać zabawne. Pokryta siatką współrzędnych okolica sprawiała wrażenie obcej i nieprecyzyjnej. Miejsce na mapie wyskalowane ze swej egzystencji.

Pierwszego dnia pobytu w mojej nowej chacie wypakowałem i rozłożyłem na starym polowym łóżku w ponurym oliwkowym kolorze wszystkie rzeczy zakupione w wojskowym sklepie obok bazy, w której mieściło się więzienie. Nie było tego wiele, trochę ubrań, a do tego mapa, którą dostałem od pani Murphy. Na rogach mapy nakleiłem taśmę, po czym przyłożyłem ją do ściany i rozprostowałem najlepiej, jak potrafiłem; zagięcia jednak pozostały. Pamiętam, jak wodziłem palcem po linii załamania papieru, która przebiegała dokładnie wzdłuż małego odcinka Tygrysu. To tu rzeka przepływa przez Al Tafari. Poszperałem w torbie i znalazłem jeden z moich medali, który następnie przypiąłem możliwie najbliżej miejsca, gdzie zostawiłem Murpha. Moja mapa, tak samo, jak każda inna, wkrótce się zdezaktualizuje, o ile już się tak nie stało. Powiązana była jedynie z ideą miejsca, abstrakcją uformowaną ze wspomnień zbyt skąpych i ulotnych, by oprzeć się działaniu czasu: ze wspomnień wiatru, omiatającego równiny Niniwy i wzbijającego kurz swoimi potężnymi porywami czy ze wspomnień rzeki, wgryzającej się coraz to głębiej w swoje zakole, godzina po godzinie, rok po roku; mapa w coraz mniejszym stopniu będzie obrazem rzeczywistości, a w coraz

większym nędną próbą przeniesienia pamięci w przestrzeń dwóch wymiarów. Przypominało mi to mowę: to, co się mówi, nigdy nie jest całkowicie zgodne z tym, co się myśli, tak samo jak to, co się słyszy, nigdy nie jest dokładnie tym samym, co zostało powiedziane. Nie było to zbyt pocieszające, ale przecież każda rzecz ma w sobie jakąś niewielką wadę, a mimo to jakoś sobie z tym radzimy.

Wyszedłem na zewnątrz i pochodziłem po okolicy. Wokół panowała cisza. Uciałem sobie drzemkę w górach, pod jasnym słońcem. Usłyszałem szmer sukna zdejmowanego z niewielkiego pomnika w jakimś zakątku Ameryki. Usłyszałem też cichy szmer głosów.

A potem zobaczyłem Murpha takim, jakim widziałem go po raz ostatni, ale pięknego. Jego rany w jakiś sposób uległy wygładzeniu, a oszpecenia na jego ciele zmieniły się w deklarację niezmienności. Niesiony powolnym prądem Tygrysu opuszczał Al Tafari, a jego sine ciało oczyściły po chwili wielkookie stworzenia, pływające obojętnie pod spokojnym lustrem wody. Trzymał się cało, nawet wtedy, gdy wody wiosennej odwilży, spływające z gór Zagros, pchnęły go dalej w dół rzeki, a on przepłynął przez zieleniącą się kolebkę świata, która następnie obróciła się w pył. Zobaczyło go dwóch żołnierzy, odpoczywających pośród trzciny i sitowia, jeden z nich spał, a drugi zaczął wołać do poturbowanego ciała, nie zdając sobie sprawy, że Murph był kiedyś jednym z nich, i biorąc go za ofiarę jakiejś innej wojny, której oni nie czuli się częścią, a głos wołającego narastał powoli w panującym upale i zabrzmiał niczym śpiew, gdy żołnierz krzyknął: „Pokój z tobą, skurwysynu”, uczyniwszy to wystarczająco głośno, by obudzić swojego kolegę, ale ciało, do którego krzyczał, było już wtedy niewiele więcej niż tylko szkieletem, bo rany Murpha zostały starte do czystej, białej kości. Latem dotarł do Szatt al-Arab, gdzie pewien rybak, który widział, jak Murph wypływa na szerokie wody w miejscu, gdzie Tygrys bierze zaślubiny z Eufratem, musnął nieświadomie jego szczątki

żerdzią, popychając swą maleńką płaskodenną łódkę po płytkich wodach moczarów. I wreszcie ujrzałem, jak ciało Murpha rozpada się w pobliżu ujścia zatoki, gdzie cienie palm niczym długie, ciemne zasłony opadły na jego kości, teraz już rozproszone, i zmiotły je do morza, ku linii fal, które w chwili, gdy on między nie wstępuje, zamykają się nad nim na wieczność.

Podziękowania

Książka ta została pierwotnie napisana samodzielnie. Jednak proces przekształcania tamtych prywatnych starań w to, co właśnie przeczytaliście, wymagał współpracy wielu osób. Podziękowania winien jestem przede wszystkim mojej matce i mojemu ojcu, za ich nieskończoną cierpliwość. Przez całe życie miałem wyjątkowych nauczycieli: w tym miejscu wielkie podziękowania należą się Patty Strong, Jonathanowi Rice'owi, Gary'emu Sange'owi, Bryantowi Magnumowi, Deanowi Youngowi oraz Brigit Pageen Kelly; wasze poświęcenie, przenikliwość i życzliwość są zdumiewające. Jestem bardzo wdzięczny za szansę daną mi przez Michener Center for Writers na University of Texas; w szczególności chciałbym podziękować Jimowi Magnusonowi, Michaelowi Adamsowi oraz Marli Aiken, za ich wskazówki i słowa zachęty. Za lekturę pierwszych wersji tej powieści oraz za przyjaźń jestem dłużnikiem Philippa Meyera, Briana Van Reeta, Shamali Gallagher, Virginii Reeves, Bena Robertsa, Fiony McFarlane, Caleba Klacesa oraz Matta Greena. Słowa podziękowania należą się też wszystkim z wydawnictwa Little, Brown, a zwłaszcza Michaelowi Pietschowi, Vanessie Kehren, Nicole Dewey i Amandzie Tobier. Dziękuję także Drummondowi Moirowi oraz Rosie Gailer z wydawnictwa Sceptre. Nie potrafię wyobrazić sobie lepszego zespołu ludzi, którym mógłbym powierzyć efekt mojej pracy, zarówno w kraju, jak i za granicą. Jestem również wdzięczny wszystkim w agencji literackiej Rogers, Coleridge and White, za ich niestrudzone wysiłki na rzecz wydania tej książki, a zwłaszcza Stephenowi Edwardsowi i Laurence Laluyaux. Wreszcie, dziękuję Peterowi Strausowi – to dla mnie zaszczyt. Nie ma już nic więcej do dodania. Spisanie kompletnej listy ludzi, wobec których mam dług

wdzięczności, byłoby niemożliwe. I choćby tylko z tego jednego powodu uważam, że mam olbrzymie szczęście.

Nota o autorze



Kevin Powers urodził się i wychował w Richmond w Wirginii, ukończył studia na Virginia Commonwealth University i jest magistrem sztuk pięknych University of Texas w Austin, gdzie otrzymał stypendium poetyckie fundacji Jamesa A. Michenera. W latach 2004 i 2005 służył jako strzelec karabinu maszynowego w armii amerykańskiej w Iraku, w miastach Mosul i Tal Afar. *Żółte ptaki* to jego pierwsza powieść.